

KONKRETY

nr 51/52

Tygodnik PZPR • Legnica • Rok XII
Nr 646/1 • 21 28 grudnia 1984 r. • 20 zł
Pl ISSN 0137 4680 • Nr ind 36272

Pogody ducha na święta!



Robert Szecówka

Mniej kłopotów, więcej radości w Nowym 1985 Roku!

Fakty

● 19 BM. OBRADOWAŁA EGZEKUTYWA KW PZPR W LEGNICY. Było to ostatnie posiedzenie w bieżącym roku. Poświęcono je zaplanowaniu pracy partyjnej na pierwsze półrocze 1985 roku.

Egzekutywa zapoznana się także z informacją o usuwaniu skutków wichury, jaka przeszła nad Legnickiem 23-25 listopada br. podziękowano załogom i kierownikom zakładów pracy, które włączyły się do akcji usuwania szkód, zwłaszcza pracownikom energetyki. Wyłączono też informacje o wdrażaniu nowych systemów placowych w niektórych zakładach w Legnickim. Stwierdzono, iż w roku 1984 zarysowała się nieprawidłowa tendencja wyprzedzającego wzrostu płac średnich w stosunku do wzrostu wydajności pracy. Nieprawidłowy układ tych relacji w większości jednostek przemysłowych woj. legnickiego jest niepokojący i świadczy że istniejące obecnie systemy placowe nie są odpowiednio powiązane z wynikami produkcji. Uznano bezwzględną konieczność powszechnego stosowania zasady uzależniającej poziom zarobków od wyników i jakości pracy poprzez stosowanie odpowiednich rozwiązań systemowych.

Egzekutywa wysłuchała także informacji wicewojewody legnickiego Kazimierza Burtnego (ZSL) na temat realizacji styczniowej uchwały Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR, w nadzorowanym przez niego sektorze. Tym samym zakończono tegoroczny cykl politycznej oceny kadry kierowniczej w administracji wojewódzkiej.

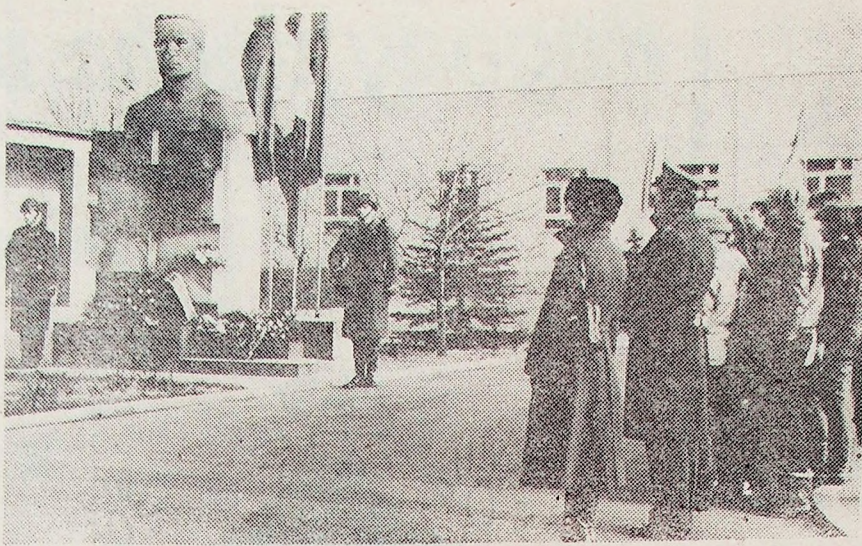
Pozytywnie oceniono korzystne zmiany w niektórych sektorach gospodarki, zwłaszcza w rolnictwie, rzemiośle i drobnej wytwórczości. Zwrocono uwagę na konieczność większej ofensywności w kierowaniu pracą handlu i większego zdecydowania w polityce kadrowej.

● NA COKWARTALNEJ NARADZIE spotkali się przedstawiciele aktywności polityczno-gospodarczej woj. legnickiego 18 bm. w Legnicy. W obradach które prowadził pierwszy sekretarz KW Jerzy Wilk wzięło udział 80 partyjnych aktywistów. Omówiono aktualną sytuację społeczno-gospodarczą wskazując, że do pozytywnych zjawisk należy zaliczyć ponad 7-procentowy wzrost sprzedanej produkcji przemysłowej w KGHM dynamika ta była jeszcze wyższa i wynosiła 8 proc. Aż o jedną piątą wzrosła produkcja przemysłu drobnego, lecz jej udział w globalnej produkcji województwa wynosi zaledwie 14,5 proc. Pozytywne tendencje zanotowano w eksporcie, który powiększył się o 26,5 proc. w stosunku do roku ubiegłego. Wzrost wydajności pracy odpowiada zwiększeniu się rozmiarów produkcji. Pogorszyło się natomiast wykorzystanie nominalnego czasu pracy, co nastąpiło przy okazji zwiększonego zainteresowania pracą w godzinach nadliczbowych. Na każdego robotnika przypada w Legnickim aż 237 nie przepracowanych godzin w roku. Spadł również wysoki niegdyś poziom jakości. Ani jeden towar produkowany w Legnickim nie posiada znaku Q, a ponad 120 wyrobów odebrano ostatnio znak jakości „1”. Kary za złą jakość wzrosły o 138 proc. Wartość nowoczesnych nie wykorzystywanych maszyn wynosi 34 miliardy zł.

Podczas narady stwierdzono, że mimo wysiłków budowlanych nie udało się wykonać rocznego planu mieszkaniowego, zakładającego wybudowanie 3600 mieszkań i 550 domków jednorodzinnych. Mieszkań będzie o 100 mniej, zaś domków o 250.

● OSTATNIE W TEJ KADENCJI plenarne posiedzenie Rady Legnickiej Chorągwi ZHP odbyło się 19 bm. Tematem obrad było omówienie roli ZHP w wychowaniu gospodarczym i edukacji ekonomicznej dzieci i młodzieży. Rada podjęła uchwałę w sprawie dalszej intensyfikacji działań w tym zakresie. Przyjęto również materiały na III Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą oraz sprawozdanie Rady Chorągwi Legnickiej za mijającą kadencję 1981-1984 oraz projekt uchwały konferencyjnej.

● Autor notatki pt. „Karatecy górą” („Konkrety” nr 50/84) nie miał na myśli konkretnych osób, tudzież konkretnej sekcji karate o nazwie „Kyokushinkai”, lecz tylko domorosłych, bliżej mu nieznanymi pseudokaratek. Zainteresowanych przepraszamy.



Fot. Wincenty Kołodziejcki

W 36 rocznicę powstania PZPR

Uroczysty koncert w Klubie Dziewiarz w Legnicy był 14 bm. jednym z głównych punktów programu obchodów 36 rocznicy zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego w naszym województwie. Przybyli weterani ruchu robotniczego i przedstawiciele władz wojewódzkich. Część oficjalną prowadził Tadeusz Cyborowski — przewodniczący komisji KW PZPR do spraw działalności ruchu robotniczego Okolicznościowe przemówienie wygłosił sekretarz KW PZPR Zbigniew Korpaczewski. W trakcie uroczystości Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Władysław Lesiak, Franciszek Prędkiewicz i

Bernard Szymański Krzyżem Kawalerskim OOP odznaczono Samuela Indendykera. „Medalami 40-lecia PRL” udekorowano 57 działaczy ruchu robotniczego. W części artystycznej wystąpili uczniowie II LO w Legnicy. Uroczystość rocznicowa odbyła się także 14 bm. w godzinach przedpołudniowych w Centralnym Ośrodku Szkolenia Wojsk Łączności. U stóp pomnika Marceliego Nowotki kwiaty złożyły delegacje RW PRON. Wojska Polskiego zakładów pracy, organizacji młodzieżowych i społecznych.



Fot. Janusz Budnicki

Z Lubina do Wrocławia szybciej

5 grudnia uruchomiono nową obwodnicę na drodze nr 42 okalającej Prochowice. Nowy odcinek (4,5 km) ruchliwej trasy Zielona Góra — Wrocław wyeliminuje uciążliwy przejazd krętymi i wąskimi ulicami Prochowic. Inwestycja pochłonęła 294 mln zł. Budowę prowadziły: Oddział Lubinski Poznańskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych, Re-

jon Budowy Dróg i Mostów w Oławie, Rejon Dróg Publicznych w Legnicy, Kieleckie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych oraz Rejon Dróg Publicznych we Wrocławiu i Wołowie. Projekt przygotowały: Biuro Projektów Dróg i Mostów w Krakowie, Pracownia Projektowa DODP we Wrocławiu i „Transprojekt” w Poznaniu.

Konkursowe remanenty

W ostatnich dniach rozstrzygnięliśmy dwa konkursy ogłoszone na naszych łamach: „Poznaj Kraj Rad” i „Konkurs PKO”.

Na konkurs „Poznaj Kraj Rad” („Konkrety” nr 45/84) wpłynęło 3641 rozwiązań, w tym 1113 prawidłowych.

Rozlosowano następujące nagrody: 1. wycieczka do ZSRR — Ryszarda Jagodzińska, ul. Karkonoska 5/10 Legnica, 2. radio tranzystorowe — Robert Bzdyna, ul. Hutników 18/5 Legnica, 3. wazon kryształowy — Urszula Wiśniewska, ul. Odrodzenia 13c/4 Lubin, 4. wazon okolicznościowy plus dres sportowy — Mariusz Daum, ul. Rymarska 22 Legnica, 5. komplet pościeli — Anna Tarasiewicz, ul. Głogowska 91/4 Legnica, 6. komplet pościeli — Elżbieta Jadczyk, ul. Bójowników o Wolność i Demokrację 4/6 Legnica, 7. dwa bezpłatne zaproszenia na bal sylwestrowy w DP — Paweł Morawski ul. Jaworzyńska 37/6 Legnica, 8. książki — Robert Kliszewski, ul. Mickiewicza 23/1 Legnica, Marian Jedliczek, ul. Paganiniego 12/84 Lubin, Czesław Borowiec, ul. Grabowa 5 Krzeczyn Wielki, Robert Janik, ul. Sasnowa 13 Lubin, Czesław Muzio, ul. 22 Lipca 48/1 Brzeg Dolny.

Dla porządku prawidłowe odpowiedzi: 1. Dzierżyński, Marchlewski, Hanec-ki, Kon, Unslicht, Kozłowski. 2. Bro-

nisław Chromy. 3. Maksym Gorki: „Foma Fadiejew”, „Troje”, „Matka”. 4. 7-16 listopada 1917 r. 5. 21 kwietnia 1945 r. 6. „Komsomolskaja Prawda”, ukazuje się od maja 1925 roku. 7. Ob, Lena, Amur, Jenisej, Wołga. 8. Nikołaj Miaskowski. 9. Moskwa — Ostankino. 10. Widok na moskiewski Kreml od strony rzeki Moskwy.

Nagrody można odbierać codziennie w godzinach 8-15 w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Legnicy przy ul. Lampego 9 — Dom Przyjaźni.

Na konkurs PKO („Konkrety” nr 41/84) nadesłano 5350 rozwiązań prawidłowych. Właściwa odpowiedź brzmi: „Kaźda forma oszczędzania w PKO przynosi korzyści w postaci odsetek”.

Rozlosowano następujące nagrody: radio tranzystorowe — Eugeniusz Łomnicki, 59-330 Ścinawa pl. PZPR 16/3; zegarek na rękę — Elżbieta Obecna, ul. Jowisza 6/2, 59-220 Legnica; aparat fotograficzny — Beata Niedospiał, ul. Nowa 3/4, 59-325 Przemyków; premiiowy bon oszczędnościowy — Andrzej Lis, ul. Mickiewicza 45, 59-300 Lubin; premiiowy bon oszczędnościowy — Iwona Konopa, ul. Jagiellońska 12/5, 59-220 Legnica.

Nagrody do odebrania codziennie w godzinach 8-12 w dyrekcji Narodowego Banku Polskiego w Legnicy, ul. Lampego, pokój nr 14.

Przełamać bariery

Wspólne posiedzenie prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, sekretariatu KW PZPR oraz kierownictwa Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy odbyło się 17 bm. na temat programu rozwoju budownictwa w województwie legnickim do 1990 roku.

Kompleksowe ujęcie tego zagadnienia powstało z potrzeb społecznych; celem podstawowym jest skrócenie okresu oczekiwania na mieszkania w perspektywie do 5 lat w województwie, gdzie nie tylko następuje wzrost urodzeń, lecz utrzymuje się stały napływ ludności.

Zebrani zgodnie uznali za najistotniejsze — zapewnienie harmonijnego rozwoju województwa, umożliwienie wzrostu zatrudnienia dla już istniejącego przemysłu, aktywizację małych ośrodków miejskich oraz stworzenie warunków dla racjonalnego wykorzystania środków przez osoby pragnące podjąć się budowy domków jednorodzinnych.

Stwierdzono, iż przy pełnej mobilizacji sił i środków możliwe jest osiągnięcie w 1987 r. optymalnego poziomu budownictwa w województwie — budowy corocznie 5 tys. mieszkań w budownictwie wielorodzinnym oraz przekazywania do użytku 1000 domków jednorodzinnych. Ten program był poddany szerokiej konsultacji społecznej w województwie, jego podstawowe założenia zyskały również aprobatę i zapowiedź pomocy władz centralnych. Stąd też na posiedzeniu skupiono uwagę na dyskusji i sposobach przełamania barier, jakie występują przed realizatorami programu budownictwa w województwie legnickim do 1990 roku.

Za sprawy o kluczowym znaczeniu uznano: rozwój niezbędnej infrastruktury technicznej (np. produkcja wody, budowa źródeł ciepła) oraz zwiększenie potencjału biur projektowych. Poza tym sporo miejsca w rozważaniach o programie poświęcono uwarunkowaniom decydującym w efekcie o wielkości budownictwa: zapewnienie terenów, wzrostowi potencjału przedsiębiorstw budowlanych, zaopatrzeniu materiałów w aspekcie wykorzystania lokalnych możliwości, a więc zależnych również od ambicji i inicjatyw terenowych.

Prezydium WRN w Legnicy zaakceptowało w pełni cele społeczne programu budownictwa w województwie legnickim i jego podstawowe założenia do 1990 roku przyjmując jako podstawę do opracowania terenowego planu perspektywicznego na lata 1985-1990.

Reporter zanotował

● 13 bm. prokurator rejonowy aresztował Andrzeja Sz., ściganego za to, że w porozumieniu z innymi osobami włamał się do mieszkania Kazimierza K. Zginęło wówczas mienie — biżuteria, odzież, pieniądze — o wartości 4 milionów 200 tys. zł.

● 13 bm. w czasie kontroli transportu materiału wybuchowego dla potrzeb PBKR Częstochowa, ujawniono brak 12 kg amonitu skalnego.

● 13 bm. podczas komisijnego rozładunku wagonu pociągu relacji Małaszewicze — Legnica, ujawniono brak 65 par obuwi damskiego. PKP poniosły straty w wysokości 208 tys. złotych.

● 13 bm. do kiosku „Pewexu” w Polkowicach wpłynął sfalszowany banknot 50-dolarowy. Przekazano go do ekspertyzy.

● W nocy z 13 na 14 bm. dokonano włamań do restauracji „Śródmiejska” w Legnicy. Złodzieje przecięli kraty w oknie, a następnie wyłamali drzwi do magazynu. Zabrali kawę naturalną oraz koniaki o łącznej wartości 100 tys. zł.

● 16 bm. funkcjonariusze MO złapali na gorącym uczynku włamywacza pijanego Józefa D. Ustalono, że wybił szybę wystawową lubińskiego supersamu i zabrał dwie butelki wódki.

● W nocy z 14 na 15 bm. skradziono samochód marki „Polonez”, nr rej. LGD-4538. Samochód zaparkowany był w Głogowie przy ul. Wojska Polskiego.

● 15 bm. o godz. 22.40 na drodze Lubin — Polkowice wydarzył się tragiczny wypadek drogowy. Autobus „Berliet” wiozący pracowników KGHM powracających z drugiej zmiany najechał na zaparkowany samochód ciężarowy „Tatra”. W wyniku wypadku śmierć poniosło trzech pasażerów, zaś 8 innych jest ciężko rannych. Zatrzymano do dyspozycji prokuratora kierowcę autobusu oraz kierowcę zaparkowanej „Tatry”.

Rachunki i porachunki

Władysław Loranc

Mija piąty rok zmagania, w których także Polska poddana warunkom narzuconej światu polityki konfrontacji i wymuszania zbrojeń, toczy trudna i kosztowna walka. Toczy ją o zachowanie ustalonego w Poczdamie ładu po faszystowskim kataklizmie, o kontynuowanie reform bez których trzeba by wrócić do Niemcy, wyniszczającej naród polski przed wrześniem 1939 roku, o skuteczne wykorzystanie każdej pary robotniczych rak, każdego kawałka ziemi, każdego talentu, w którego przygotowanie włożyło społeczeństwo wiele wysiłku i wiele nadziei.

W tej walce uczestniczymy wszyscy, ale nie wszyscy po tej samej stronie. Pożegnaliśmy jednak piąty rok zmagania, które nas podzieliły, świadomości, że sprzeczności i konflikty będące ich wyrazem, straciły na ostrości tak dramatycznej pod koniec 1980 i 1981 roku, że obecnie inne są niż były wtedy proporcje sił, że doświadczenie szesnastu miesięcy skutecznie niż słowa zadecydowało o dokonanych zwrotach politycznych.

Wyborcy do rad narodowych potwierdzili wolę ogromnej większości społeczeństwa, by aktywnie współtworzyć specjalistyczne instytucje państwowe. Zmniejsza się liczba tych, którzy dystansują się od obywatelskiego zaangażowania a pełnym marginesem stały się siły antysocjalistyczne z coraz mniejszym powodzeniem maskujące niekiedy złośliwym z obszaru „czwartej demokracji”, ten trwały fakt, że są tylko osłami zaurzeczonymi w rydwan polityki konfrontacji. Udała się nie ciagna, ale powoła, bo przecież właściciel pojazdu dał im bat, który według własnego uznania mogą chłostać wszystkich po których rydwan polityki konfrontacji, dyktatu i restrykcji jedzie wzdornie i bez żadnego ryzyka dla właściciela.

W trudnych i kosztownych zmaganiach kończącego się roku nie tylko sukcesy mamy do zanotowania. Partia popełniła w latach siedemdziesiątych błędy w sferze polityki i gospodarki na tyle duże, by ich skutki nie przeszły jeszcze do historii. Polityczni przeciwnicy wykorzystali te błędy tak rozległe i z takim poparciem, że zdołali uwikłać energię społeczną nie w proces tworzenia, a w odruch niszczenia. Dokonując obrachunku warto zatrzymać uwagę na oczywistej różnicy między partią a „Solidarnością” z robotniczego punktu widzenia. Partia, od 1944 roku, krok po kroku budowała gospodarkę, wraz z nią budowała liczebność, awans i siłę klas

sy robotniczej. Polityczni liderzy „niezależnego” ruchu uderzyli przede wszystkim w gospodarkę, niszczyli ją, pozbawiając robotników ich siły i osłabiając ich znaczenie. Samych robotników wystawili na długotrwałe skutki krótkotrwałej historii strajkowej. Ten fakt zasadniczego znaczenia ukazuje różnicę między nami i nimi.

W rachunku spraw przed którymi pozostaniemy i w Nowym Roku utrzymać się na pierwszym miejscu, nadal najważniejsze.

Pierwsza, to potrzeba sprostania konfrontacji. Nie napawa nas lekkiem rywalizacją między kapitalizmem a socjalizmem. Nie lekamy się zmagania o wpływ na kształtowanie ludzkiej świadomości — to naturalny stan. Świadomości jesteśmy, że Zachód zdecydował się na propagandową aresję, na łamanie wszelkich tradycji rycerskiego prowadzenia tej walki. Ryzyko tkwi obecnie w tym, że z ust R. Reagana padają słowa, które czynią wojnę prawdopodobną. Przypomnijmy: „imperium zła”, „antykommunistyczna krucjata”. Przypomnijmy ocenę kardynała Ratzingera, prefekta Kongregacji ds. Doktryn Wiary, który przy okazji potępienia „teologii wyzwolenia” nie kraje dołknie bezwzględna grabieża ich pracy, ale kraje socjalistyczne nazywa „hańbą naszych czasów”. Z tamtej strony w ocenie przeciwnika brak śladu obiektywizmu. Brak ocen innych niż totalne. Całe narody stają się złe, jeśli nie wymuszają na swej władzy podziwu dla Ameryki i do hasła proponowanych przez twórców ideologii krucjaty. Sytuacja jest nowa i niebezpieczna. Rzuca się takie hasła i takie oceny, by oswoić z wojną, by było łatwo wezwać do nowej, oczywiście „świętej wojny”.

Nie tesknimy do wojny nosząc w sobie głębokie blizny po poprzedniej. Nie mamy celów do których byłaby nam potrzebna, ale gdy zwołuje się armie krucjaty i otwarcie uzasadnia jej celowość alternatywa dla nas jest prosta. Trzeba też budować siłę, zarówno polityczną, wojskową, jak i moralną, taka by zaszachowała autorów krucjaty, czy sporalizowała ich cele i przygotowania. Oni respektują tylko silnych. Słabym każda się obsługiwać i podziwiać. Ochrona pokoju nabrała znaczenia dramatycznego. Trzeba nadal wychowywać dla pokoju, ale nade wszystko trzeba go codziennie i dosłownie ochraniać.

Drużna potrzeba to umocnienie państwa tak, by było zdolne nie tylko gwarantować ładu i praworząd-

ność, ale skutecznie wywierać swe funkcje wobec gospodarki. W warunkach naszego ustroju słabość państwa za sobą zuchwałost wszelkich żywiołów chętnych do jego zniszczenia, to oczywista prawda. Wznieś się od niej jest jednak ta, która mówi, że osłabienie państwa, gdy następuje o zniszczeniu wielkiej własności środków produkcji, oznacza najpierw i przede wszystkim nieskuteczna organizację gospodarstwa narodowego. Słabość państwa materializuje się w funkcjonowaniu gospodarki i w tej właśnie sferze stan słabości kładzie się długim cieniem, dramatyzując warunki istnienia osób, klas, narodów.

Ze zrozumiałych przyczyn, myślę o trwałym już parę lat osłabieniu prawa, a przede wszystkim w konsekwencji brutalnego ataku na praworządność mówi się mniej i wzajemnym związku między siłą państwa a sprzeczności gospodarki, a on właśnie stanowi jeden z filarów politycznych decyzji XVII Plenum KC PZPR. Osiągnięcie sprawnego funkcjonowania gospodarstwa narodowego, składającego się z tak silnie zróżnicowanych struktur, jest nie do pominięcia bez umocnienia socjalistycznego państwa, które — jeśli pomysłimy o klasach na których się wspiera — jest organizacją nieomal całego narodu. Drogę wiodącą w te strony wskazać można wiele, ale o jednej powiemy w tym miejscu dobitnie. Każda powstająca inicjatywa socjalistycznej demokracji, każda ustawa lub uchwała rady narodowej ma sens, o tyle o ile sprzyja skutecznej pracy i owocnemu tworzeniu. Gdy zaś odnawia tę nie politycznych tradycji, która umożliwiała teoretycznie każdemu, a praktycznie nielicznym, możliwość orzeszkadzania i to orzeszkadzania bezkarnego — jest głęboko szkodliwa i niebezpieczna. Te prawdy trzeba wkomponować we wspólny, coraz powszechniejszy wysiłek by umocnić nasze państwo.

Co w tym wysiłku ma naprawę znaczenie? Odpowiedź zamyka się w jednym słowie: praca. Każdy praktyczny krok, każde słowo wywołujące energię dla społecznych celów, skłaniające do wysiłku, do pracy, jednocy nas, ma wielką wartość moralną, albowiem w obecnych warunkach państwa niestety nie jest zachowaniem tylko egoistycznym. Zawsze ma w sobie element służby innym ludziom, jest w niej cząstka tak potrzebnego nam altruizmu. Te ważna część doświadczeń, ostatnich zwłaszcza lat, przeniesmy z troską i szacunkiem na Nowy Rok.

Polska Wigilia

Lech Winiarski

Słyszałem to określenie podczas zeszłorocznej gwiazdki i zapamiętałem je do dziś. „Wigilia — to porozumienie narodowe w rodzinach”.

Ileż w nim głębokiej mądrości! Co prawda już w chwili, gdy je sformułowano, znalazł się ostry oponent. Wzruszył ramionami i stwierdził: „Też mi odkrycie — wigilia była zawsze okazją do zbliżenia się rodzin, do pogodzenia waśni, porozumienia”.

Oponent co prawda miał rację, ale mijala się ona z istotą pierwszej wypowiedzi. Oponent był człowiekiem młodym i po prostu nie zauważył w tej wypowiedzi słowa: „narodowe”. Nie zwykłe, rodzinne, ale „narodowe w rodzinach”. Przed 40 laty, kiedy nie było jeszcze Polski odrzonej na fundament ludowy, inne były rodzinne spotkania wigilijne. Przebiegały w od dawna zamkniętych układach społecznych, wyjątkowo tylko naruszanych przez nieliczne jednostki. Były więc wigilie robotnicze, chłopskie, a także dworskie.

Owszem, mogli się znaleźć przy wspólnym stole ludzie z kręgów fabrykanckich i obszarńskich. Nigdy jednak nie zasiadali z nimi mieszkańcy folwarcznych czworaków czy nędznych kamienic czynszowych.

Owszem, wigilie tamtych lat zacieśniały więzy rodzinne, sprzyjały porozumieniu najbliższych. Nie było to jednak nigdy porozumienie narodowe. A obecnie? — Nie mam zamiaru prowadzić taniej agitacji „za socjalizmem”. Chcę jednak zaakcentować kosmiczną różnicę w składzie dzisiejszych uczestników polskich spotkań pod choinką i tamtych sprzed lat 40.

Różnice te jednak nie oznaczają wcale, że przy wigilijnych stołach panuje większa harmonia niż wtedy. Wprost przeciwnie! W tych właśnie najmniejszych komórkach społecznych dokonuje się zderzenie różnych ocen, różnych stanowisk i postaw, a nawet różnych interesów.

Robotnicy z miasta uskarżają się na wystawianie w kolejkach po kawałek mięsa czy rastopu. Odpowie na to siostra czy szwagierka ze wsi: „Może się zamienimy? Kiedy przyjdzie ci dziennie przynieść kilkadziesiąt wiader wody dla świń, dla bydła, zobaczysz wtedy jak krzyż boli...”

A ileż raz stary ojciec robotnik czy chłop powie do synów: „Ty, Stachu byłeś pilny, zostałeś inżynierem. Józek uciekał od książki. Ledwie podstawówkę skończył. I popatrz ile on zarabia w akordzie, a ile ty?”

Odbijać się będą w rodzinnych rozmowach nonsensy wywołane kryzysem i błędami dawnych lat. Także obecne niedociągnięcia organów władzy. I wynikające stąd zale nie będą kierowane tylko „pod niebiosa”. W niejednej rodzinie znajdzie się obok „szarego człowieka pracy” — minister.

Wigilijne rozmowy będą więc nieraz ostre, gorzkie, pełne wzajemnych żaliw, animozji. Nie zapominajmy także i o takich rodzinach, w których spotka się milicjant z krewniakiem, który opuścił więzienie dzięki amnestii, ale który wciąż krzywo patrzy na wiele spraw w kraju, na politykę władz.

Kryzys, niedostatki rynkowe, koncepcje naprawy Rzeczypospolitej, odnowy demokratycznej i wciąż utrzymujące się niedowierzanie władzy, rezerwa, apatia społeczna — wszystkie te tendencje przechodzą przez polskie rodziny. Nieraz bardzo boleśnie. Jednak zarazem na tej rodzinnej platformie pojawia się życiowa, naturalna potrzeba wielkiego porozumienia Polaków. Polaków pracujących, a więc bliskich sobie, mających mimo wielu różnic — wspólny cel: wyrwanie kraju z biedy, zapewnienie wewnętrznego spokoju, zapewnienie prawdziwej sprawiedliwości.

Jesteśmy skazani na porozumienie. Bez niego wróciłibyśmy znów nad krater wulkanu. Prawdę tę rozumiemy coraz powszechniej. To nie optymistyczny slogan. To logiczny wniosek z czerwcowych wyborów do rad narodowych, z umacniania się idei samorządu społecznego, ze stopniowego odradzania szacunku dla pracy. Z pełniejszych pótek w sklepieniu.

A pewno i te iskry nadziei pojawiać się będą w naszych wigilijnych rozmowach. Nie będą one ani sympozjami naukowymi, ani seminariami na temat „dobrej roboty”. Jeśli jednak pozwolą tylko na lepsze zrozumienie różnych stanowisk, różnych uwarunkowań naszych poczyniń i szans — dodadzą nam życiowej mądrości i otuchy. A to jest fundament patriotycznej aktywności.

Podglądy



-TERAZ NIC CI NIE DAM, BO MAMY KRYZYS, ALE JAK MI NIE DOSTANIESZ DUZO WIĘCEJ...

rys. Zbigniew Jujka

Fakty '84

Pracował: Czesław Pańczuk

STYCZEŃ

■ Pracownicy rozpoczęli nowy rok strażacy. Tylko w Sylwestra i 1 stycznia pożary wyrządziły straty w wysokości 4,5 mln zł. ■ 9.01. zainaugurowano cykl telefonicznych spotkań przedstawicieli wojewódzkich władz partyjnych ze społeczeństwem. ■ 11.01. Egzekutywa KW oceniła stan zaopatrzenia rolnictwa i wsi w wodę, zapoznano się także z programem obchodów 40-lecia PRL w Legnickiem. ■ Plenum RW PRON obradowało nad projektem ordynacji wyborczej. ■ Na koncertach w Legnicy wystąpił słynny gitarzysta rockowy Pekka Pohjola. ■ WKO podsumował działalność wojskowych grup operacyjnych, które kontrolowały wiele dziedzin naszej gospodarki w grudniu 83. ■ 181 milionów złotych zysku osiągnęły w 1983 roku PGR-y. ■ W KGHM odbyło się wyjazdowe posiedzenie wojewódzkiego zespołu poselskiego i komisji do spraw samorządów pracowniczych WRN. ■ Przewodniczący WRN i wojewoda legnicki zaapelowali do mieszkańców ziemi legnickiej o utrzymanie ładu, porządku, o poprawę stanu sanitarnego i wyglądu estetycznego miast i wsi. ■ 23.01. 268 delegatów reprezentujących ponad 26-tysięczną rzeszę członków PZPR w Legnickiem zebrało się na wojewódzkiej konferencji programowo-wyborczej. I sekretarzem KW PZPR wybrano Jerzego Wilka. ■ „Lefana” wypuściła nowość — sztucze ze stali inkrustowane porcelaną. ■ Plenum WK ZSL omówiło 27.01. plan społeczno-gospodarczy województwa na rok 1984.

LUTY

■ Egzekutywa KW oceniła sytuację społeczno-polityczną w zagłębiu międzywiesnym. ■ Redakcję „Konkretów” wyróżniono listem I sekretarza KW PZPR w Legnicy Jerzego Wilka, w którym są słowa uznania „za szeroką prezentację na łamach najważniejszych problemów legnickiej wojewódzkiej organizacji partyjnej w minionej kadencji”, a zwłaszcza przed Wojewódzką Konferencją Partyjną. ■ 3.02. na posiedzeniu Wojewódzkiej Komisji Współdziałania Partii Politycznych omówiono program obchodów 40-lecia w Legnickiem. ■ Jak zwykle uroczystości obchodzone rocznicę wyzwolenia Legnicy. Wśród laureatów tegorocznych nagród honorowych Legnicy znalazła się również redakcja „Konkretów”. ■ 15.02. Egzekutywa KW oceniła stan ładu, porządku i bezpieczeństwa w województwie. ■ I sekretarz KW Jerzy Wilk spotkał się z dziennikarzami z Dolnego Śląska, którym podziękował za ich pracę przed wojewódzką konferencją sprawozdawczo-wyborczą PZPR. ■ 21.02. uroczyste obchody 66 rocznicy powstania Armii Radzieckiej. ■ 22.02. narada aktywów partyjnego pracującego w rolnictwie i przedsiębiorstwach gospodarki żywnościowej. ■ Pod Złotoryją tragiczny wypadek na nie strzeżonym przejeździe kolejowym: autobus PKS wpadł pod pociąg. Wielu pasażerów ciężko rannych. ■ 29.02. uroczyste realizacji zadań zawartych w uchwale wspólnego plenum z marca 1982 roku poświęcone były obrady Egzekutywy KW PZPR i Prezydium WK ZSL.

MARZEC

■ Stanisław Graczyk — nauczyciel z Głogowa został laureatem pierwszej nagrody w konkursie „Gazety Młodych” na plakat antywojenny. ■ 7.03. plenum KW PZPR omówiło założenia programowe i podstawowe kierunki działania w zakresie ochrony zdrowia w latach 84—90 i perspektywnie do roku 1995. ■ 14.03. Egzekutywa KW oceniła sytuację ekonomiczną zakładów przemysłu rolno-spożywczego. ■ 21.03. na posiedzeniu Egzekutywy KW zapoznano się z informacją o pracy delegatów województwa legnickiego podczas obrad Krajowej Konferencji Delegatów PZPR. ■ 21.03. Komisja Współdziałania Partii Politycznych omówiła przygotowania do wyborów do rad narodowych. ■ Obradowała ostatnia sesja WRN w niniejszej kadencji. ■ 27.03. WKO zajmował się problematyką bezpieczeństwa, porządku publicznego i dyscypliny społecznej. ■ Uroczystości obchodzone Międzynarodowy Dzień Teatru. W plebiscycie „Sło-

wa Polskiego” Złotą Iglicę otrzymała Krystyna Hebda, srebrną — Mariusz Olbiński a brązową — Marian Czerski, wszyscy z Teatru Dramatycznego w Legnicy. ■ 30.03. spotkanie przedstawicieli aktywów partyjnego Legnickiego w celu określenia działań po Krajowej Konferencji Delegatów PZPR.

KWIECIEŃ

■ 1.04. o godz. 13.13 rozpoczął się kolejny „Satyrykon”. ■ 2.04. zainaugurowano obchody Miesiąca Pamięci Narodowej. ■ Od 9 do 13.04. przebywał w Legnickiem słynny skrzypek radziecki Wadim Brodski. ■ W Lubinie przebywała delegacja Komitetu Miejskiego Bułgarskiej Partii Komunistycznej z Kazanliku. ■ Obradował zespół do spraw opracowania wojewódzkiego programu wyborczego. ■ Egzekutywa KW oceniła działania zmierzające do ograniczenia rozmiarów przestępczości gospodarczej. ■ Powstała Wojewódzka Komisja Wyborcza pod przewodnictwem Kazimierza Jaśnikowskiego — prezesa Sądu Wojewódzkiego w Legnicy. ■ Ukonstytuował się komitet honorowy obchodów 40-lecia PRL w Legnickiem. Przewodniczącym wybrano Jerzego Wilka — I sekretarza KW partii. ■ Na swoje święto leśnicy i drzewiarze zadeklarowali uczestnictwo w czynie „40 tysięcy drzew i krzewów — darem na 40-lecie PRL”. ■ 17.04. Plenum WK SD poświęcone udziałowi członków stronnictwa w nadchodzących wyborach do rad narodowych. ■ 18.04. Plenum KW PZPR wytyczyło kierunki pracy partyjnej z klasą robotniczą. ■ Zakład Wzbogacania Rudy przy ZG „Rudna” obchodził 10 rocznicę powstania. ■ 25-lecie istnienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk podsumowano na dwudniowej sesji naukowej. ■ W ZG „Rudna” dyskusja na temat reformy gospodarczej z udziałem prezesa PTE — T. Afeltowicza. ■ Egzekutywa KW oceniła stan przygotowań do obchodów Święta Pracy 1. Maja. ■ 25.04. forum młodych wyborców zainaugurowało cykl spotkań konsultacyjnych. ■ Uroczystości obchodzone Dzień Transportu. ■ 30.04. przebywał w Legnickiem członek Biura Politycznego KC PZPR, sekretarz KC Tadeusz Porębski.

MAJ

■ W radosnym nastroju obchodzono w całym zagłębiu międzywiesnym 1-majowe święto. W wojewódzkiej manifestacji w Legnicy wzięło udział 25 tys. ludzi. ■ 3 maja instancje SD w województwie obchodziły święto stronnictwa. ■ Rozpoczęły się V Jaworskie Biesiady Literackie. ■ Egzekutywa KW analizowała realizację zadań budownictwa mieszkaniowego z uwzględnieniem budownictwa zakładowego i jednorodzinnego. ■ 3—4.05. w Legnicy obradowało I Zgromadzenie Przedstawicieli Zakładowych Organizacji Związkowych Górniczego Odkrywkowego. ■ Na koncertach w Legnickiem gościł Marek Biliński — polski muzyk elektroniczny numer jeden. ■ W Wądrożu odsłonięto obelisk dla uczczenia 40 rocznicy powstania Polski Ludowej. ■ Uroczysta akademicka z okazji Dnia Hutnika odbyła się w hucie „Głogów”. ■ Rozpoczęło się sprawdzanie list wyborców. ■ Koncertem zainaugurowano 8.05. obchody 39 rocznicy zwycięstwa. ■ Rozpoczął się 16 festiwal chórów „Legnica Cantat”. ■ Legnicy zaczęły swoje „Filonalia 84”. ■ 16.05. Plenum KW PZPR. Omówiono sprawy wewnętrzne organizacyjne, podsumowano partyjne działania w pierwszym etapie kampanii wyborczej do rad narodowych. ■ Egzekutywa KW omówiła zjawiska zachodzące w wojewódzkiej organizacji partyjnej i oceniła pracę z kadra kierowniczą przedsiębiorstw. ■ Nad istotą i celami socjalistycznej odnowy debatowano podczas konferencji ideologicznej zorganizowanej przez KW PZPR. ■ Odbyła się wojewódzka akademicka z okazji Dnia Strażaka. ■ Ze stanem legnickiej kultury zapoznał się przebywający w Legnickiem kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Witold Nawrocki. ■ WKO z udziałem członka BP, sekretarza KC Tadeusza Porębskiego oceniło sytuację społeczno-polityczną w województwie. ■ W Głogowie tradycyjny festiwal przedświąteczny „Reksio”. ■ Na inauguracyjnym posiedzeniu zebrała się rada redakcyjna tygodnika „Konkrety”. Prze-

wodniczącym wybrano sekretarza KW PZPR Piotra Czaję.

CZERWIEC

■ Spotkania z uczestnikami zakończonego 3.06. w Łodzi XVI Plenum KC PZPR odbywały się 4.06. w Legnickiem. Swymi wrażeniami dzieliło się 12 przedstawicieli robotniczych środowisk. ■ W zagłębiu międzywiesnym przebywali kombataneci ze Starej Zagory. Podpisano porozumienie o współpracy między ZW ZBoWiD w Legnicy a organizacją kombatancką ze Starej Zagory. ■ Egzekutywa KW oceniła 6.06. rozwój ruchu racjonalizatorskiego i wynalazczego w województwie. ■ Głównym akcentem obchodów Święta Ludowego był wiec w Kunicach, podczas którego GK ZSL wręczono sztandar ograniczający. ■ Legnicka Szkoła Podstawowa nr 7 otrzymała imię Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. ■ agrodę „Konkretów” 7a najlepsze rozwiązanie techniczne w dziedzinie poprawy warunków pracy otrzymał zespół z ZG „Rudna”. ■ Komisja Współdziałania Partii Politycznych oceniła pozytywnie przebieg przygotowań do wyborów. ■ Zbioreczna Szkoła Gminna w Prochowicach otrzymuje imię Mikołaja Kopernika. ■ Egzekutywa KW 20.06. oceniła realizację inwestycji z dziedziny ochrony środowiska. ■ W Okręgowym Muzeum Miedzi nowa ekspozycja „Mauzoleum Piastów — z dziejów Piastów Śląskich”. ■ W Teatrze Dramatycznym w Legnicy premiera sztuki Ireneusza Iredyńskiego „Terrorysty” w reżyserii Józefa Jasieńskiego. ■ 26.06. Plenum KW PZPR pozytywnie oceniło przebieg wyborów w Legnickiem. Omówiono także sposoby załatwiania skarg, listów i wniosków obywateli wpływających do instancji partyjnych.

LIPIEC

■ Załogi KGHM przekroczyły zadania półroczne o 5,6 proc. ■ 5.07. Egzekutywa KW omówiła przebieg szkolenia partyjnego w roku 1983/84 i przyjęła założenia na rok oświatowy 84/85. ■ W zagłębiu międzywiesnym przebywała delegacja Kombinatoru Tytanowo-Magnezowego z Zaporozia. ■ Na zgrupowania obozów ZHP w Wygnańcach i Zaborówcu przybyli pionierzy z Bułgarii, Czechosłowacji i NRD. ■ Rolnicy przygotowują się do żniw. ■ W Legnickiem przybył nowy rezerwat przyrody — staw i las zarządzane przez Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Przemkowie. ■ Zakończyły się badania mieszkańców naszego regionu żyjących na terenach objętych szkodliwym działaniem przemysłu. Badania prowadził „DOLMED”. ■ Praca ZSMP w województwie była 18.07. przedmiotem obrad Egzekutywy KW. ■ Obradowało po raz pierwszy w nowej kadencji Prezydium WRN. ■ Zespół redakcyjny „Konkretów” wyróżniono nagrodą prezesa Zarządu Głównego RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ■ Najbardziej zasłużeni dla regionu ludzie zostali wyróżnieni podczas spotkania w Akademii Rycerskiej. Uroczystość odbyła się z okazji Święta Odrodzenia i 40-lecia PRL. ■ Wśród wyróżnionych w Belwederze ludzie zasłużonych znalazł się Marian Kowal — były dyrektor głogowskiej cukrowni, który otrzymał Order Budowniczych Polski Ludowej.

SIERPIEŃ

■ Stan realizacji programów antyinflacyjnego i oszczędnościowego był tematem obrad Egzekutywy KW PZPR 1.08. ■ Na dwa tygodnie wyjechała do Pragi 80-osobowa grupa legnickich harcerzy. ■ Na festynie w ośrodku wypoczynkowym HM „Głogów” w Sławie gościła popularna audycja „Lato z radiem”. ■ Z problemami zakładów przemysłu lekkiego, odzieżowego, dziewiarskiego i chemicznego zapoznał się przebywający w Legnickiem minister Edward Grzywa. ■ Wskutek ulewy podtopionych zostało kilkadziesiąt gospodarstw (zwłaszcza w gminie Milkowice). ■ W Zagrodnie otwarto nowy ośrodek zdrowia wzniesiony ze środków NFOZ. ■ „Aria” — taką nazwę otrzymał nowy model elektrycznej gitary solowej wyprodukowanej przez lubiński „Defil”. ■ Rozpoczęły się egzaminy wstępne do otwartego po latach Studium Nauczycielskiego w Legnicy. ■ Realizacja uchwały IX Plenum KC PZPR i plenum KW w sprawie młodzieży była przedmiotem oceny Egzekutywy KW. ■ Gospodarze województwa I sekretarz KW Jerzy Wilk i wojewoda legnicki Ryszard Jeloniek odwiedzili obozy harcerskie.

WRZESIEŃ

■ W 40 rocznicę wyzwolenia Bułgarii przebywał w Legnickiem ambasador nadzwyczajny i pełnomocny LRB Georgiew Georgiew. ■ Centralna dolnośląska akademicka kolejarzy z okazji ich święta odbyła się tym razem w Legnicy. ■ Harcerski rok zainaugurowano w Głogowie. ■ W czasie obrad Egzekutywy

KW oceniono wyniki finansowe i gospodarcze jednostek rolnictwa uspołecznionego. ■ Cały tydzień trwało w Legnickiem doroczne święto „Gazety Robotniczej”. ■ W czasie narady aktywów społeczno-gospodarczego oceniono 14.09. sytuację ekonomiczną i gospodarczą przemysłu. ■ 16.09. powstało Towarzystwo Miłośników Legnicy. ■ Plenum KW PZPR omówiło problemy rozwoju przemysłu drobnego w Legnickiem. ■ 20.09. zainaugurowano nowy rok oświaty partyjnej. ■ Delegacja Ludowej Republiki Afganistanu z sekretarzem KC LDPA Mahmudem Barylai przebywała w Legnickiem 21 i 22.09. ■ W Tagoszynie odbyły się młodzieżowe dożynki — III zlot młodych przodowników czynu zniwnego przygotowany przez ZW ZSMP. ■ 40-lecie powstania MO i SB poświęcono była sesja zorganizowana przez WUSW i Okręgowe Muzeum Miedzi.

PAŹDZIERNIK

■ Stan realizacji wniosków zgłoszonych na Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej dotyczących oświaty, wychowania, kultury, sportu, turystyki i środków masowego przekazu oceniła Egzekutywa KW. ■ W konkursie na najlepszy ośrodek wczasowy zwyciężył: ośrodek „Barbórki” w Świnoujściu, „Argentyt” w Dąbkach i „Relax” w Wieleniu. ■ W zagłębiu międzywiesnym przebywał z krótką wizytą wicepremier Zbigniew Messner. ■ „Warszawa walczy” — ekspozycję pod takim tytułem przygotowaną w głogowskim Zespole Szkół Hutniczych. ■ Centralne obchody 40-lecia LOK odbyły się w Legnickiem. Prezes ZG LOK gen. dyw. Zygmunt Huszcza otworzył nowy ośrodek LOK w Lubinie. ■ Pod hasłem „Za nasz spokojny dom” obchodziliśmy 40 rocznicę utworzenia MO i SB. ■ Wyjazdowe posiedzenie Sekretariatu KW kierownictwa UW odbyło się w Chojnowie. ■ Kulminacyjnym punktem obchodów 41-lecia powstania LWP była akademicka, która odbyła się w legnickim klubie garnizonowym. ■ Wojewódzka inauguracja roku kulturalnego odbyła się 18.10. w Akademii Rycerskiej. ■ Lubin otrzymał nową, elektroniczną centralę telefoniczną. ■ Stan przygotowań do zimy był przedmiotem obrad prezydium WRN. ■ Funkcjonowanie transportu i komunikacji w zagłębiu omówiła 24.10. członkowie Egzekutywy KW. ■ Z kilkudniową wizytą gościła w Legnicy delegacja zakładów „Natalia” ze Starej Zagory. Podpisano porozumienie o współpracy między „Hanką” i „Natalią”.

LISTOPAD

■ Wysokie tempo wydobywania i produkcji utrzymują załogi KGHM. Zadania 10 miesięcy przekroczono o 5 proc. ■ Wiele uroczystości i imprez uświetniło obchody 67 rocznicy wybuchu Rewolucji Październikowej. ■ 12.11. legnickie Pogotowie Ratunkowe otrzymało nową siedzibę. ■ Sesja popularnonaukowa poświęcona historii i współczesnym problemom przemysłu międzywiesnego obradowała 9 i 10.11. ■ Stan wykonania zadań w budownictwie mieszkaniowym i towarzyszącym oceniła 21.11. Egzekutywa KW PZPR. ■ W Głogowie przekazano do użytku Państwowy Dom Renkistów. ■ W Gromadce uruchomiono nowy ośrodek zdrowia. ■ W zagłębiu międzywiesnym gościliśmy delegację z obwodu zaporoskiego. ■ Trwają wybory do organów samorządowych. ■ Odbyły się zakrojone na szeroką skalę ćwiczenia obrony cywilnej „Jesień 84”. ■ Problem rolnictwa poświęcono była narada aktywów partyjnego i gospodarczego, która odbyła się 28.11. ■ Utworzono Wojewódzki Komitet Pomocy Szkole pod przewodnictwem Edwarda Rippela. ■ Nowym prezydentem Legnicy został Franciszek Stasiak, a Lubina Ryszard Maraszek. ■ Kilkudniowe wichury wyrządziły wiele strat. Rannych zostało kilkanaście osób.

GRUDZIEŃ

■ Tadeusz Kustosz — sztygar oddziałowy ZG „Konrad” został zwycięzcą jedenastego plebiscytu o miano najpopularniejszego górnika zagłębia międzywiesnego roku 1984. ■ Centralne uroczystości barbórkowe odbyły się w Lubinie. ■ Ocena realizacji uchwały Plenum KW z kwietnia w sprawie kierunków pracy partyjnej z klasą robotniczą była przedmiotem oceny Egzekutywy KW. ■ Milionową tonę miedzi w koncentracji wyprodukował 10.12. Zakład Wzbogacania Rud w ZG „Lubin”. ■ Nowym szefem Wojewódzkiej Rady Przyjaciół Harcerstwa został Eugeniusz Barczyński. ■ Redakcja „Konkretów” wyróżniła została listem naczelnika ZHP z podziękowaniem za olbrzymią pomoc redakcji udzielaną harcerzom podczas organizacji letniego i zimowego wycieczek.

Mój rok 84/85



ZENON PARASIEWICZ — starszy sierżant sztabowy RUSW w Głogowie:

Trafiliśmy, gdy koledzy żegnali uroczysto pana Zenona, a szef Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Głogowie wręczał mu wspaniały puchar. — Zenon, to uosobienie historii głogowskiej milicji, pierwszy komendant posterunku w Żukowicach — mówili o nim koledzy.

Rok 1984 zapisał się w życiorysie sierżanta sztabowego rezerwy Zenona Parasiewicza szczególnie. W połowie sierpnia świętował swoje trzydzieste w Milicji Obywatelskiej, a 1 grudnia przeszedł na emeryturę.

— Poza tym był to rok obfity w grzyby i ubogi w ryby. Ważne dla mnie, ponieważ jestem zawziętym wędkarzem (członkiem Polskiego Związku Wędkarskiego) i grzybiarzem. Pobitem nawet swoisty rekord — przez dwadzieścia trzy lata urlopy zawsze wykorzystywałem we wrześniu. Z powodu grzybów.

W życiu rodzinnym rok był spokojny. Nie wydarzyło się nic szczególnego. Synowie są już samodzielni, a żona pracuje jako nauczycielka.

Jakie plany na rok przyszły? Przede wszystkim muszę zapisać się do naszego klubu emerytów. Nie zamierzam całkowicie zerwać kontaktu z kolegami, lecz w miarę możliwości pomagać im w służbie konwojowej. Poza tym pozostańmy wierni swoim pasjom. Bardzo szybko przystosuję się do nowych warunków, więc myślę, że życie emeryta inauguruje bezboleśnie.

JÓZEF STEPIEN — dyżurny ruchu nastawni PKP w Legnicy.

— Do czerwca pracowałem się normalnie, bez nerwów. Wykonywałem po prostu swą podstawową pracę. W dru-



giej połowie roku zaczęły się problemy spowodowane elektryfikacją trasy Wrocław — Legnica. Wiele torów było zajętych, a mimo to trzeba było zapewnić normalny ruch pociągów. Kursowały zarówno osobowe jak i towarowe. Na szczęście ten wyjątkowo trud-

ny okres mamy już za sobą i z optymizmem wkraczamy w kolejny rok. Otwarcie linii ma nastąpić 28 grudnia br. i wreszcie wszystko powinno wrócić do normy. Na elektryfikacji wszyscy skorzystają. Pociągi będą jeździć szybciej i sprawniej. Uruchomi się kilka zestawów trójczłonowych co powinno w znacznym stopniu rozładować panujący dotychczas tłok. Elektryfikacja ułatwi też kierowanie ruchem (nie mówiąc już o dużych oszczędnościach), ale boję się — zwłaszcza w pierwszych miesiącach — o bezpieczeństwo pasażerów. Przez dłuższy czas będą musieli się przyzwyczaić do wsiadania i wysiadania z nieznanymi im wagonów. Mogą się zdarzyć jakieś wypadki (takowe mają miejsce na trasach dawno już zelektryfikowanych). Mam jednak nadzieję, że podroźni dostosują się do nowej sytuacji i będą przestrzegać podstawowych zasad jazdy trakcją elektryczną.

JÓZEF BUJAK — górnik przodowy w oddziale wydobywczym G-1 Zakładów Górniczych „Rudna”.

— Mijający rok był dla oddziału, a więc i dla mnie, bardzo pomyślny. Sprzyjało nam górnicze szczęście, zdarzyły się — odpukać! — tylko dwa niegroźne wypadki. Fedrowało się nam doskonale. Mieliśmy urabiać 24 tony na roboczości, urabialiśmy 37 ton. W ten sposób już 16 listopada Wykonaliśmy roczny plan wydobywania. A szczerze mówiąc nawet przekroczyliśmy. Mieliśmy ufedrować 600 tysięcy ton, ktoś sprawę przegapił i meldunek złożyliśmy



w chwili, kiedy stuknęło 671 tys. Afe nie jest to powód do zmartwienia.

W życiu prywatnym też wszystko układało się pomyślnie. Po raz trzeci zostałem dziadkiem z czego się bardzo cieszę. Bo rodzina górnicza musi być duża. Jeżeli czegoś pragnę to tego, żeby się wnuczek dobrze i zdrowo chował, bo to najważniejsze.

Czego oczekuję w przyszłym roku? W pracy nadal górniczego szczęścia — dla siebie i dla wszystkich kolegów. Nadchodzący rok będzie trudny. Zaczniemy fedrować złożę szesnastometrowym systemem „Rudna IV” na podszkawkę. Dla wielu z nas będzie to coś zupełnie nowego, trzeba będzie wiele się nauczyć, poznać inne zasady pracy. Nałożono nam nieco ulgowy plan wydobywania 2700 ton na dobę, żeby przynajmniej na początku było łatwiej. Ale tak nie będzie wiecznie i plan będą nam podnosić. A więc nie będzie lekko. Ale myślę, że damy radę. Stanowimy bardzo dobry, zgrany, rozumiejący się kolektyw — taką kopalnianą rodzinę.

A prywatnie? W przyszłym roku odchodzę na emeryturę. Od 1958 roku pracuję pod ziemią, cały czas w przodku — mówią, że już czas odpocząć. Z jednej strony cieszę się, a z drugiej kombinuję, żeby jeszcze zostać, może

rok, może dwa. Szczerze mówiąc nie bardzo sobie wyobrażam co ze sobą zrobię, jeśli już nie będę musiał chodzić do pracy.

WERONIKA ROSICKA — dyrektor KMPiK w Legnicy:

— Miniony rok był dla mnie bardzo pracowity. Po okresie dwuletniej stag-



nacji klub wznowił wiele form działalności i z wielokrotną ilością imprez. Dużą frekwencję notowaliśmy zwłaszcza podczas spotkań z ciekawymi ludźmi, oprócz tego wracamy do takich form działalności, jak „popołudnia z rodziną”, poradnictwo z zakresu urządzania wnętrz, pielęgnacji urody itp. Moim marzeniem jest uruchomienie w nowym roku salonu wystawowego KMPiK. Galeria „Okno”, która podyktowała życie, zaczyna się w witrynach klubu, kończy w... kawiarni. Dodatkowe pomieszczenia są także bardzo potrzebne do prowadzenia nauki języków obcych, w tej dziedzinie zapotrzebowanie ze strony mieszkańców znacznie przewyższa nasze możliwości. Cieszy mnie, że działalność klubu, który w lutym mijającego roku obchodził XV-lecie istnienia, jest zauważana i doceniana: 5 grudnia ZG TPPR przyznał dla KMPiK Medal im. Wandy Wasilewskiej. Liczę na to, że nadchodzący rok przyniesie większe zainteresowanie naszymi propozycjami, zwłaszcza ze strony młodzieży. W tej chwili obserwujemy jakiś niesamowity marazm w wielu dziedzinach życia, między innymi bardzo źle pracuje legnicki handel. Chciałabym, aby nastąpiła tu jakaś widoczna poprawa i nie trzeba było, jak dotychczas, po zakupy jeździć do Wrocławia czy Łodzi. Prywatnie — chciałabym skończyć w przyszłym roku rozpoczęty remont mieszkania — i nie mieć wady „na kartki”, przez kilka godzin na dobe...

JERZY MIELOCH, prezes Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Legnickim Polu.

— Mijający rok oznaczał przede wszystkim poprawę gospodarności naszej spółdzielni. Pamiętać musimy, że to gospodarstwo było kiedyś strasznie zapuszczone. Konsekwentna praca w ostatnich latach dała znaczne efekty i dziś opinie o nas są bardzo pozytywne. 47 spółdzielców gospodaruje ogółem na 450 hektarach. Uprawiamy głównie zboża, rzepak i okopowe. Jeśli chodzi o produkcję zwierzęcą, specjalizujemy się w hodowli krów i opasów.

Możemy się pochwalić, że po raz pierwszy wydajność zboża osiągnęła 40 kwintali, a od każdej krowy uzyskaliśmy o 1200-litrów mleka więcej niż w roku ubiegłym. Przewiduje się roczny zysk przekraczający 12 milionów złotych.

Nie zapomnieliśmy o sprawach społecznych. Trzy rodziny otrzymały nowe mieszkania, dwie inne wprowadziły się do lokali gruntownie wyremontowanych. Rozpoczęliśmy również budowę świetlicy i pomieszczeń biurowych.



Investycja ta będzie kontynuowana w roku przyszłym. Zamierzamy również postawić osiem domków jednorodzinnych dla pracowników i dokończyć remontu jednego mieszkania.

Oczywiście gospodarka rolna będzie naszym głównym celem. Zastosowaliśmy w tym roku nowe odmiany zbóż, które powinny dać po 45 kwintali ziarna z hektara. Nadal chcemy podnosić wydajność mleka i przyrosty wagowe opasów.

Dobry gospodarz powinien dobrze wyglądać. Dlatego też nadchodzący rok chcemy potraktować jako okres estetyzacji i porządkowania wszystkich naszych obiektów. A jest tu wiele do zrobienia.



Mjr. Henryk Bartłomiejczyk — kierownik Służby Prewencji Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Legnicy:

— Niestety, w minionym roku zanotowaliśmy same rekordy. Niechłubne. Wybuchło bowiem aż 1000 pożarów, co jest liczbą nie notowaną w historii województwa. Przyczyną są bardzo prozaiczne. Lekkomysłowość, brak wyobraźni i nierozwaga w obchodzeniu się z ogniem. Ludziom się wydaje, że za ochronę przeciwpożarową odpowiadają tylko dyrektory i kierownicy przedsiębiorstw. Tymczasem ustawa nakłada na każdego obywatela ten sam obowiązek. Każdy w równym stopniu odpowiada za zapobieganie pożarom. A, niestety, nie troszczymy się o bezpieczeństwo przeciwpożarowe nawet we własnych domach. Ciągłe tam mamy do czynienia z ofiarami w ludziach. Zginęło wiele dzieci. To jest wymowne i smutne. Jak widać stare hasło: zapalki plus dzieci równa się pożar nie straciło ze swej aktualności.

Moje życie prywatne całkowicie porządkowałem służbie. Obrywam za to od żony. Ale zawsze mam wytłumaczenie. Po prostu służba nie drużba. I biegnę do roboty. Cieszy mnie, że córka rośnie. Szkoda, że w tak ciasnym M-2. Ale już na początku nowego roku mam dostać nowe mieszkanie. Myślę więc, że wiele nerwów i pieniędzy pójdzie na urządzenie nowego lokalu.



Nie dawać-żle dawać- jeszcze gorzej...

Ze ZDZISŁAWEM BUTMAN-
KIEWICZEM — dyrektorem urzę-
du telekomunikacyjnego w Lubinie
rozmawia Janusz Dobrzański.

• Sytuacja w jakiej znalazł się lubiński urząd jest wręcz paradoksalna. Otóż pańskich kolegów z innych urzędów w kraju obwinia się o to, że nie instalują telefonów, zaś pan jest krytykowany za to, że instaluje...

— Jest to rzeczywiście paradoks, zawierający niestety trochę prawdy. Jesteśmy nietypowym urzędem w kraju, instalujemy bardzo dużo telefonów — i to jest fakt. Do końca 1984 roku planowaliśmy uruchomienie 600 aparatów, potem podnieśliśmy plan do 1200. Ostatecznie przybędzie w mieście 1300 aparatów. Mimo to jesteśmy krytykowani. Dlaczego? Moim zdaniem, wzięło się to z nadziei — zupełnie irracjonalnych — rozbudzonej informacją o rozruchu elektronicznej centrali telefonicznej, a kłóci, iż przystąpiliśmy do uruchomienia centrali, ludzie utożsamiali z natychmiastowym otrzymaniem własnego numeru. Tymczasem moment zainstalowania telefonu jest determinowany ograniczoną mocą wykonawczą i barierami natury czysto technicznej. Nasi klienci mają pretensję o to, że instalujemy aparaty u innych, u nich zaś nie, chociaż wszyscy czekają jednakowo długo. I podejrzewają nas Bóg wie o co. A my po prostu nie jesteśmy w stanie zainstalować telefonów u wszystkich jednocześnie. Musimy to robić w określonej kolejności, wyznaczanej głównie względami technicznymi i wykonawczymi.

Jest też drugie źródło krytyki, spowodowane zbyt optymistyczną interpretacją informacji o uruchomieniu nowej centrali. Ludzie przynoszą do nas podania o zainstalowanie telefonów i są zbulwersowani odmową. Oczywiście, bardzo chcielibyśmy dać im telefony od ręki, w ciągu miesiąca lub pół roku. Ale nie jesteśmy w stanie. Wszyscy, którzy zaczęli ubiegać się o telefon po roku 1980 będą musieli poczekać, ponieważ nie zmieszczą się w pojemności nowej centrali. Taka jest brutalna prawda. Aby uczynić zadość prośbom złożonym po roku 1980 musimy podjąć się nowej inwestycji. Ale kiedy to nastąpi nie potrafię dziś powiedzieć. Chcemy, aby nastąpiło to jak najszybciej. Sprawa nie jest jednak prosta. Przy czym nie chodzi tu o pieniądze, bo te zdobylibyśmy bez większych trudności. Najpoważniejszą barierą jest zdobycie urządzeń.

• Wspomniał pan o barierach natury technicznej, które determinują kolejność instalowania telefonów. Na czym one polegają?

— Przyjeliśmy generalną zasadę, że w pierwszej kolejności instalujemy telefony tam, gdzie są najlepsze warunki sieciowe i przetestowane urządzenia. Czyli na obrzeżach miasta. Skoncentrowaliśmy się więc na Przylesiu III, Przylesiu II i Polnym. Globalnie załatwiliśmy wnioski z Przylesia i Polnego złożone do roku 1978, natomiast na Przylesiu II i III, gdzie są wprost idealne warunki sieciowe, zrealizowaliśmy wnioski złożone do roku 1980. W najgorszej sytuacji znajduje się centrum miasta. Sieć kablowa jest tu ograniczona i wymaga rozbudowy. Stąd też zanim nie rozbudujemy sieci, nie będziemy mogli instalować telefonów. Z tej przyczyny centrum jest najpoważniejszym ze źródeł krytyki płynącej pod naszym adresem.

• Iu ludziom nie dać więc pan telefonów?

— Wszystkim tym, którzy złożyli podania w roku 1981 i później czyli około czterem tysiącom. Powtarzam: bardzo byśmy chcieli dać im telefony od ręki, ale jest to po prostu niemożliwe. Będą musieli poczekać.

• Jak długo?

— Postawił pan bardzo trudne pytanie. Obecnie znajdujemy się w fazie realizacji jednej inwestycji. Trudno więc mówić o nowym przedsięwzięciu. Jak powiedziałem nie ze względu na pieniądze, a na kłopoty ze zdobyciem urządzeń. Ale zarys planu już mamy. Zamierzamy budować koncentratory. Właśnie taki koncentrator planujemy zainstalować na Ustroniu II. Jednak nie wcześniej niż w przyszłej pięcioletce. Termin dość odległy, wiem, ale jestem realistą, nie chce składać obietnic bez pokrycia.

• Przeciwnemu zjadaczowi chleba termin „elektronika” kojarzy się z wysublimowaną techniką. Uruchamianie elektronicznej centrali telefonicznej, a więc idąc tym tokiem rozumowania, bardzo nowoczesna. Czy jest ona rzeczywiście nowoczesna? Gdyby miał pan jej klasę odnieść do standardów krajowych czy europejskich jak wypadłoby porównanie?

— Jest to centrala zbudowana w kraju — na licencji francuskiej — przy wykorzystaniu wielu elementów importowanych z zachodu. Wysoki standard europejski, w kraju najwyższy. Podobne centrale mają Poznań, Łódź, Gdańsk i Szczecin.

• Z premedytacją zadałem panu pytanie o standard, ponieważ nowa centrala jest przyczyną szczególnej ostrej krytyki. Stata się nawet przyczyną interpelacji podczas niedawnej sesji plenarnej MRN. Radny, który ją wniósł powiedział mniej więcej tak, że uruchamianie centrali elektronicznej wyraża się w sposób zły i nie do zaakceptowania.

— Złożyło się na to kilka elementów. Pierwszy — przystąpiliśmy do uruchamiania centrali przed ukończeniem jej budowy. Ale był dylemat: albo czekać do czerwca 1985 roku, na całkowite ukończenie inwestycji — i nie dać ludziom telefonów w roku 1984, albo uruchamiać centralę etapami, skazując się na pewne perturbacje z jej funkcjonowaniem — i dać telefony. Wybraliśmy to drugie wyjście, kierując się dobrze pojętym interesem społecznym. No i zbieramy baty. Za co? Uruchamianie urządzeń etapami powodowało konieczność testowania, prób, kontroli itd. Stąd też byliśmy zmuszeni od czasu do czasu wyłączać centralę. Telefony milczały, ludzie się irytowali, mnożyły się interwencje. Wyszło na to, że jest źle, kiedy nie daje się telefonów, ale kiedy się daje jest jeszcze gorzej...

• Drugi element — centrala jest bardzo nowoczesna i abonenci nie potrafią się nią posługiwać.

• Czyżby do posługiwania się aparatem telefonicznym podłączonym do elektronicznej centrali potrzebne były specjalne umiejętności?

— Ależ nie! Chodzi o pewną minimalną wiedzę, absolutnie niezbędną do umiejętnego posługiwania się aparatem włączonym do takiej centrali, pozwalającą wykorzystywać jej ogromne możliwości. Mówiąc najprościej centrala E-10 to jest jeden wielki komputer złożony z szeregu mniejszych komputerów, odpowiednio z sobą połączonych, sterowanych i nadzorowanych przez komputer centralny. System ten jest zupełnie inny od systemu w centralach tradycyjnych z wybierakami elektromechanicznymi.

Abonentów irytuje na przykład tak zwany sygnał marszrutowania, jaki pojawia się w słuchawce po wykręceniu numeru. Tego sygnału nie było w centralach starszego typu. Abonentom wydaje się, że ta marszruta przedłuża moment połączenia z wybranym numerem. Nic bardziej błędnego. Ta marszruta oznacza, że połączenie zostało przez centralę zrealizowane i należy oczekiwać na wybranie żądanej relacji przez pamięć

logiczną i komputer. I nie trwa to wcale tak długo. Wystarczy to porównać z taką samą operacją w centrali tradycyjnej, policzyć trzaski w słuchawce po wykręceniu każdej cyfry i zmierzyć czas. Wystarczy też porównać jakość pracy obu central. Tradycyjne wcale nie pracują idealnie. Elektroniczna centrala realizuje połączenia bezbłędnie i jest niezawodna. Urządzenia są dublowane — w przypadku awarii następuje automatyczne zastąpienie uszkodzonego podzespołu przez zespół dublujący. Taka centrala może pracować praktycznie bez obsługi, a do marszrutu trzeba się przyzwyczaić. To jest po prostu stary element w nowoczesnych centralach i w kraju, i w świecie.

Może jeszcze o błędzie popełnianym nagminnie przez abonentów, a wynikającym z nieznaności rzeczy. Otóż abonenci posługują się tarczą numerową taką jak w centralach starszego typu. A więc wykręcają cyfry i... czekają. To czekanie doprowadza do sytuacji tragicznych przy próbach połączenia w automatycznej komunikacji międzymiastowej. Abonent chce zatelefonować do Wrocławia. Wykręca więc prefix „0” i numer strefy 71 — i czeka. Czekają na sygnał „kierunkowy”. A po dłuższej chwili miły damski głosik z automatu informuje, że „połączenie nie może być zrealizowane”. No i co? Oczywiście irytacja. A tymczasem jest to błąd. W aparacie podłączonym do centrali elektronicznej należy wybrać żądany numer lub ich kombinację bez czekania na sygnały. Bo wybierając go wprowadza się informacje do pamięci logicznej, a resztą zajmuje się komputer. Przerwa w wybieraniu numeru — oczekiwaniu na sygnał — powoduje reakcję centrali. Przerywa się bowiem programowanie pamięci i dlatego panienka z automatu informuje, że połączenie nie może być zrealizowane.

• Skoro prowadzimy rozmowę w konwencji irytacji, jeszcze jedno pytanie w tym duchu. Dlaczego z Lubina do Legnicy trzeba obecnie telefonować za pośrednictwem numeru kierunkowego, a nie jak przedtem — bezpośrednio?

— To bardzo proste. Lubin przed zakwalifikowaniem do systemu E-10 był w strefie numeracyjnej Legnicy. Numer kierunkowy był więc zbędny. Przechodząc do systemu otrzymał własną strefę numeracyjną. Jeżeli kiedyś Legnica zaczęła pracować w tym systemie to do Lubina będzie się telefonować przez 0-70. Pragnę dodać, że podział na strefy nie jest niczym nowym, ani w kraju, ani w Europie. Jest on zgodny z wytycznymi Unii Telekomunikacyjnej. I należy go przyjąć jako rzecz zupełnie naturalną, tak jak sygnał marszrutowania w nowoczesnych centralach. Ma to zresztą szersze znaczenie, bo decyduje o dopuszczeniu do automatycznego ruchu międzymiastowego i międzynarodowego.

• Czyżby z Lubina można już było telefonować do Paryża w ruchu automatycznym?

— Tymczasem jeszcze nie. Na razie nie można jeszcze zatelefonować na przykład do Gdańska. Choć z pozoru wydawałoby się to oczywiste. Będzie to możliwe dopiero wówczas, kiedy wejdziemy do systemu ACMM, bo dopiero wtedy uzyskamy prefixy praktycznie ze wszystkimi ośrodkami w kraju posiadającymi urządzenia automatycznych centrali międzymiastowych. Kiedy to będzie? Wszystko wskazuje na to, że już w 1985 roku. Ale nie mogę tego zagwarantować, bo nie zależy to od nas. Włączenie nas do systemu ACMM będzie możliwe po uruchomieniu automatycznej centrali międzymiastowej we Wrocławiu.

Pytanie o Paryż nie było jednak tak całkiem bez sensu. Projekt techniczny centrali E-10 w Lubinie zakłada połączenia automatyczne z 12 krajami, przez prefix „00”. Ale trudno mi dziś powiedzieć kiedy to nastąpi.

• Kiedy dobiegną końca wszystkie prace przy uruchamianiu centrali E-10 i jaki będzie ich ostateczny rezultat?

— Prace uruchomieniowe — testowe chcemy prowadzić tak, aby do końca pierwszego półrocza 85 r. zakończyć, przełączając trzy tysiące telefonów na system E-10. Zależnie od tego, jak będziemy dopuszczani do kolejnych kierunków międzymiastowych, będziemy przełączali starą centralę na system E-10. Jeżeli nie zostaniemy dopuszczeni do wszystkich kierunków, jakie zakładamy chcielibyśmy przełączyć numery o początkowych cyfrach „43”. W każdym razie celem strategicznym jest całkowita likwidacja starej centrali do końca 1985 r. i przejście na jednolitą sześciocyfrową numerację. Do końca 1986 roku chcemy zainstalować telefony wszystkim tym, którzy złożyli podania do roku 1980 włącznie. W ten sposób osiągniemy projektowe wykorzystanie nowej centrali i zaczniemy myśleć o nowych inwestycjach.

• Dziękuję za rozmowę.

Polemiki

„A sera brak.”

W artykule Jacka Broszkiewicza „A sera brak!” („Konkrety” nr 44 z dn. 2.11.84 r.) wyrażono pogląd, iż „wice-wojewoda powinien baczej przyjrzeć się puli i jej podziałowi...”

Wyjaśniam, że zgodnie z decyzją nr 1 ministra handlu wewnętrznego i usług z 2 stycznia 1984 r. sery dojrzewające są objęte centralnym rozdzielnictwem. Za zgodą resortu w okresie od marca do sierpnia br. odstąpiono od tej zasady ze względu na dobry skup mleka. Dostawy serów twardych i topionych w tym okresie realizowane były zgodnie z potrzebami rynku. Miesięczna sprzedaż tych artykułów spożywczych kształtowała się w granicach 140—165 ton w całym województwie.

We wrześniu br. przywrócono centralne rozdzielnictwo serów dojrzewających, które jest dokonywane w oparciu o wskaźniki demograficzne. Województwo legnickie otrzymało we wrześniu przydział 110 ton, zaś w październiku — 100 ton. Choć Jackowi Broszkiewiczowi „włos się jeży na samą myśl o urzędniczej operatywności” — to jednak dzięki zabiegom urzędników — smagani biczem pryncypialnego dziennikarza — dostawy były w ciągu dwóch ostatnich miesięcy większe o 35 ton od pierwotnego rozdzielnictwa.

Pragnę jednocześnie poinformować, że Legnica po uwzględnieniu preferencji, czyli osób kupujących w mieście, a nie będących jej mieszkańcami, otrzymała w październiku 25,7 tony serów twardych, tzn. 0,23 kg na osobę, tak jak wszystkie pozostałe jednostki administracyjne województwa legnickiego. Nie jest możliwe odstąpienie od tej zasady, która zresztą obowiązuje również przy podziale innych artykułów spożywczych. Trudno się więc zgodzić z tezą, iż podział puli serów twardych jest dokonywany bez dostatecznego rozeznania. Problemem podstawowym — o czym pisał autor publikacji „A serów brak” — jest konieczność rozbudowy i modernizacji przemysłu mleczarskiego, aby nie występował okresowo brak serów twardych. Aktualnie w kraju buduje się 8 nowych mleczarni, zaś w województwie legnickim budowa OSM ruszy w 1986 r.

Kwestią do rozważenia na rok przyszły jest gromadzenie serów twardych w okresie letnim, jeśli byłaby społeczna akceptacja częściowego ich ograniczenia w sprzedaży (w okresie letnim łatwiej uzupełnić niedobór innymi produktami) na korzyść zapewnienia większych dostaw w czasie jesienno-zimowym. Dotychczas takie próby wywoływały sprzeciw społeczny, podsyłany zresztą przez środki masowego przekazu relacjami z magazynów, które próbowano zapełnić w ten obecnie tak poszukiwany towar.

Wicewojewoda legnicki
KAZIMIERZ BURTNY

Szanowny Panie Wojewodo! Przede wszystkim chciałbym nieśmiało zwrócić uwagę, że w swym artykule dość wyraźnie poinformowałem Czytelników o tym, że sery twarde są dzielone centralnie. Nie ma więc czego wyjaśniać.

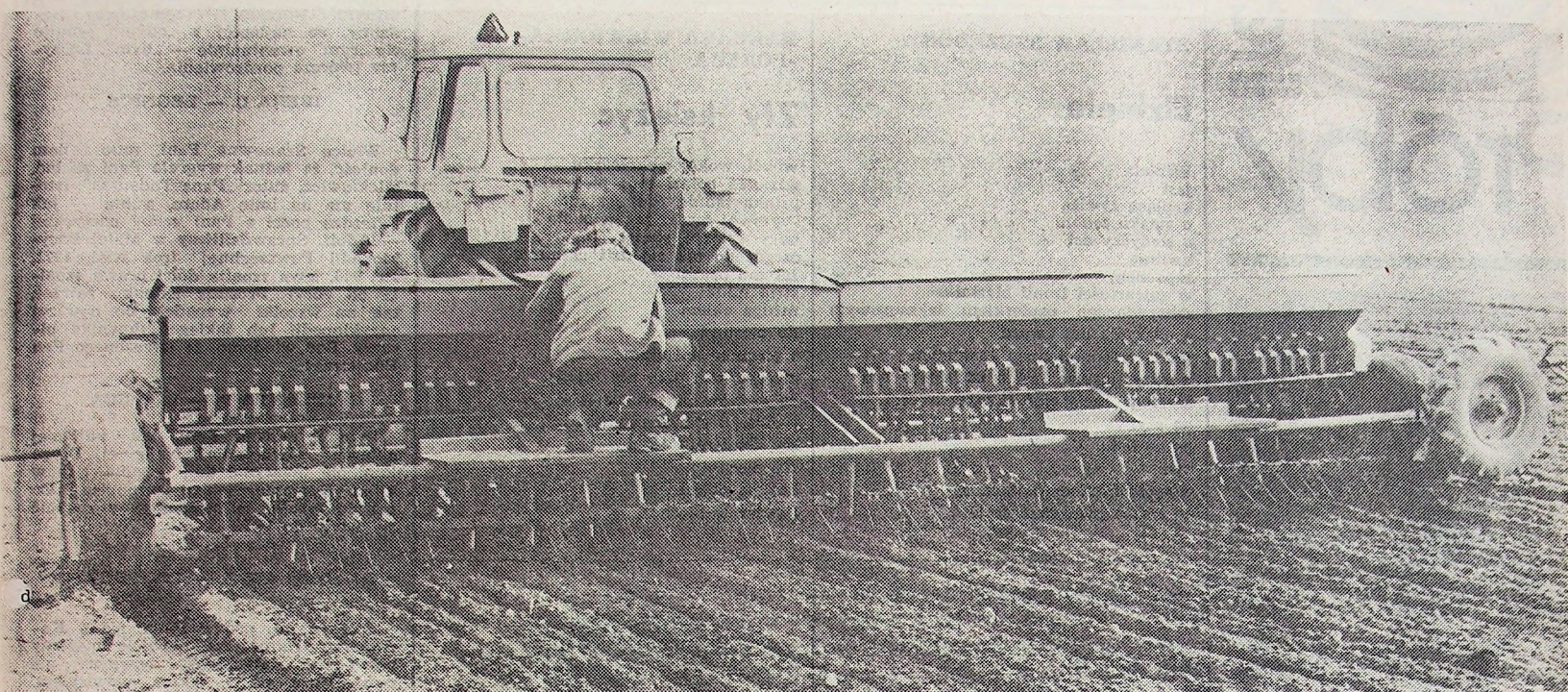
Otóż nie od dziś wiadomo, że rok bieżący jest rekordowy pod względem produkcji i skupu mleka. Wiemy, także, iż wobec niedostatku innych produktów spożywczych (m.in. mięsa) wystąpił wzmocniony popyt na inne, w tym wypadku uzupełniające artykuły. Dla przeciętnego zjadacza... sera ważne jest tymczasem nie to, ile przypada go na statystyczną głowę, a to, czy ser będzie na sklepowych półkach. I tu właśnie sprawa „urzędniczej operatywności”. Ostatni przykład Wrocławia, gdzie mimo centralnego rozdzielnictwa potrafią jednak poprawić sytuację.

Pisze Pan, że „kwestia do rozważenia jest gromadzenie serów twardych w okresie letnim (...). Dotychczas takie próby wywoływały sprzeciw społeczny, podsyłany zresztą przez środki masowego przekazu...”. Jest to chyba jeden z nielicznych przypadków, kiedy odpowiedzialne służby aż do tego stopnia przejęły się głosem opinii publicznej i owych środków. Myślę, że w imię wspólnej sprawy warto by zastosować te metody, którymi posługują się inni — szukać, podkupować innych, walczyć w centrali o zwiększenie przydziałów, bo przecież nie od dziś wiadomo, że są one niskie.

Na koniec — dziwi mnie nieco obrażony ton nadesłanej odpowiedzi, bowiem intencją publikacji nie było i nie jest poddawanie w wątpliwość kompetencji urzędników, pisze Pan przecież wyraźnie, że właśnie dzięki niej „...dostawy były w ciągu dwóch ostatnich miesięcy większe o 35 ton od pierwotnego rozdzielnictwa”. A więc jednak można.
JACEK BROSZKIEWICZ

Ile optymizmu na hektar?

Antoni Neczyński



W ostatnich latach, jak jeszcze nigdy dotąd, gospodarka rolna wnikliwie obserwowana jest przez całe społeczeństwo. Podawane w prasie liczby, mierniki oceny rolnictwa, wszelkie koncepcje jego rozwoju oraz prognozy ekspertów komentowane są i dyskutowane natychmiast, zyskują aprobatę lub sprzeciw. Słowem — naród nie pozostaje obojętny wobec przemian, jakie zachodzą na polskiej wsi.

Postawa taka jest uzasadniona o tyle, że praktycznie nikt nie może zrozumieć, jak kraj o tak wielkich możliwościach w dziedzinie gospodarki rolnej; kraj, który przez wieki był liczącym się eksporterem zboża na rynki europejskie, może mieć problemy z wyprodukowaniem niezbędnej ilości żywności dla siebie, nie mówiąc już o eksporcie.

Właściwie przyczyna jest powszechnie znana. Rolnictwo wszystkich sektorów, traktowane przez lata po macoszemu, bez wsparcia przez wielki przemysł, pozostało w zasadzie na tym samym niskim poziomie. Brak środków inwestycyjnych oraz inwestycje chybione dopełniają obrazu.

Dopiero kryzys gospodarczy udowodnił nam błędy polityki rolnej popelniane w latach siedemdziesiątych i zgubny wpływ zapatrzenia się na Zachód, jako miejsce, gdzie można kupować żywność. Uniemożliwienie nam kredytowych zakupów okazało się zbawienne dla polskiego rolnictwa. Zmusiło bowiem do zupełnie odmiennego na nie spojrzenia. Wreszcie zrozumiano, że miast szukać rynków importowych, należy tak ustawić własną gospodarkę, by była w stanie zaspokoić krajowe potrzeby. Stwierdzenie, że „Polska musi wyżywić się sama” postanowiono konsekwentnie wprowadzić w życie.

I rzeczywiście kolejne lata przyniosły zmiany. Dzięki zamówieniom rządowym i reorientacji w samych przedsiębiorstwach, przemysł zaczął wydajniej pracować na rzecz rolnictwa, na polach pojawiło się zdecydowanie więcej sprzętu, nawozów, środków ochrony roślin. Reforma gospodarcza objęła uspołeczniony sektor rolnictwa, gdzie wreszcie ludzie zaczęli liczyć się z pieniędzmi i gospodarować w taki sposób, by przy istniejących możliwościach lokalnych, zarobić jak najwięcej. Wreszcie zasada corocznej weryfikacji cen skupu i ustalenie ich według potrzeb państwa zmieniła na korzyść strukturę upraw i hodowli.

Już tylko te zmiany dały efekty, których nie spodziewał się nikt. Dość po-

wiedzieć, że po raz pierwszy w historii, osiągnięta w tym roku wydajność zboża przekroczyła 30 kwintali ze statystycznego hektara, a mówi się już głośno o tym, by w najbliższym czasie uzyskać 35 kwintali. W skali kraju jest to sukces ogromny.

Ale do zrobienia jest jeszcze dużo. Prawa struktury agrarnej, rozbudowa przemysłu przetwórczego, bazy magazynowej, doskonalenie agrotechniki, wprowadzanie wydajnych odmian roślin uprawnych, właściwego nawożenia i ochrony upraw, wreszcie generalna poprawa w zakresie hodowli — oto generalne hasła, do których zależne jest nasze rolnictwo. Za każdym z tych słów kryją się miliardowe nakłady i mądra praca tysięcy ludzi. Konsekwencji nie może w tym względzie zabraknąć.

Legnickie rolnictwo już od wielu lat plasuje się w krajowej czołówce, jeśli chodzi o jakość gospodarowania i uzyskiwane wydajności. Owszem, podobnie jak w całym kraju nastąpił znaczny regres w latach 80—81, ale już rok następny i kolejne przyniosły — zwłaszcza w produkcji roślinnej — zdecydowaną poprawę. Znaczenie lepiej w ostatnich latach gospodarują państwowe gospodarstwa rolne i rolnicze spółdzielnie produkcyjne, wyższe efekty uzyskują rolnicy indywidualni.

Przeciętny plon zboż osiągnął w skali całego województwa rekordowy poziom 38 kwintali z hektara, to jest o ponad trzy kwintale więcej niż w roku ubiegłym i prawie pięć więcej od średniej wieloletniej. Zebraliśmy 424 tys. ton ziarna. Dzięki odpowiedniej polityce cenowej, rolnicy zdecydowali się sprzedać do państwowego aparatu skupu więcej niż w latach ubiegłych. W sumie do elewatorów spłynęło 160 tys. ton co również jest wielkością rekordową.

Plon ziemniaków, według szacunków wycinkowych wynosi 188 q z hektara, to jest o 29 q więcej niż w 1983 r. i o 30 q więcej niż średnia z ostatnich kilku lat. Podobnie plony buraków przewyższają o 20 q zbiory ubiegłoroczne, o 26 q plon średni i wynosi 298 q z hektara.

Również rzepak obrodził obficie, niż zwykle. Z każdego hektara gospodarze zebrali 24,5 q ziarna.

Tak więc produkcja głównych w naszym rejonie ziemniaków zanotowała w tym roku znaczny postęp. Jeśli porównamy podane wyżej liczby do średniej krajowej, możemy mieć powód do satysfakcji. Nie o to jednak chodzi, by równać do średniej, patrzeć trzeba na

najlepszych, a ci są daleko w przodzie. Generalnie większej troski wymagają uprawy okopowych. W niektórych województwach bez większych problemów osiąga się ponad 400 q buraków, a sam z zainteresowaniem oglądałem w województwie leszczyńskim pole, na którym plon ziemniaków przekroczył 400 q. A więc rezerwy w tej dziedzinie są jeszcze spore.

Na podstawie tegorocznych zbiorów, oraz stopnia przygotowania pól i zasiewów pod następne zniwa, ocenia się, że sytuacja w dziedzinie upraw polowych jest dobra, a nawet bardzo dobra.

Mniej optymistycznie przedstawia się produkcja zwierzęca. Tu regres z początku lat osiemdziesiątych jest jeszcze ciągle widoczny. Poglówie zwierząt spadło wówczas tak znacznie, że o całkowitej odbudowie stada będzie można mówić dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych.

Czerwcowy spis gospodarczy wykazał wzrost pogłowia trzody o dwa proc. w stosunku do roku ubiegłego i spadek ilości bydła o siedem proc., w tym krów o pięć proc. Dzięki polepszeniu sytuacji paszowej, zdecydowana poprawa nastąpiła w produkcji drobiarskiej. Mimo znacznego spadku ilości krow, wzrosła ich produktywność. Lepsze żywienie i dbałość o stan inwentarza sprawiły, że krowy dają więcej mleka. Skupiono go w sumie 130 milionów litrów, czyli o cztery proc. więcej niż w roku ubiegłym.

Lepiej niż planowano przebiegał skup żywności. Korzystnym zjawiskiem jest zmniejszanie się ilości krów i macior przeznaczonych na rzeź, co wskazuje na postępującą odbudowę stanów inwentarza żywego.

Aktualna sytuacja w produkcji zwierzęcej jest ciągle jeszcze złozone. Przewiduje się, że w roku przyszłym zostanie definitywnie przełamany postępujący regres, jednak o powrocie w tej dziedzinie do najlepszych lat siedemdziesiątych, będzie można mówić dopiero pod koniec dekad, o ile korzystne tendencje zostaną utrzymane.

Skup owoców rolnych uwiódnił zaoficę. Korzystnym zjawiskiem jest zmniejszanie się ilości krów i macior przeznaczonych na rzeź, co wskazuje na postępującą odbudowę stanów inwentarza żywego.

przypadki wstrzymywania skupu w poszczególnych punktach. Powierzchnia magazynowa PZZ i Gminnych Spółdzielni wynosiła jedynie 113 tys. ton, natomiast skup, przekroczył 160 tysięcy.

Z tych samych powodów już w końcu lipca wstrzymano kontraktację rzepaku na rok przyszły.

Dysproporcje te spowodowały podjęcie energicznych działań zmierzających do rozszerzenia bazy magazynowej. Odpowiednie programy podjęto zarówno u producentów — w pegeerach i rolniczych spółdzielniach jak i u odbiorców — PZZ i GS. Systemem gospodarczym i poprzez nowe inwestycje znacznie rozbuduje się istniejące magazyny. Planuje się również budowę potężnego elewatora na 50 tys. ton ziarna.

O pozytywnych tendencjach zachodzących w legnickim rolnictwie świadczą również inne działania. Systematycznie następuje przekazywanie gruntów z PFZ w ręce najlepszych gospodarzy, oraz dziedziczenie w zamian za rentę gospodarstw przez młodszych następców. Poprawiło się zaopatrzenie w techniczne środki produkcji. Dziś jeden ciągnik przypada w naszym województwie na 23 hektary ziemi, podczas gdy średnia krajowa oscyluje w granicach 40 hektarów. Podobnie zdecydowanie więcej zużywamy nawozów mineralnych, wapna, środków ochrony roślin.

Czy na podstawie tych danych jednoznacznie świadczących o dobrym roku legnickiego rolnictwa, można wyciągać optymistyczne wnioski i prognozy dotyczące lat przyszłych? Z pewnością oceny należy stawiać ostrożnie.

Jedno nie ulega wątpliwości. Przez ostatnie trzy lata daje się zauważyć ogromną konsekwencję w spojrzeniu na całą gospodarkę rolną. Nie podejmuje się już decyzji obliczonych na błyskotliwy efekt, przeciwnie — stabilizująca się sytuacja daje gospodarzom możliwość rozsądnego długoterminowego planowania, co w rolnictwie jest niezbędne. Rozwijająca się współpraca przemysłu z rolnictwem, dziedziczenie ziemi przez młodych, wykształconych ludzi wreszcie mądrze kształtowane bodźce ekonomiczne zainteresowania, stanowiące o opłacalności produkcji, to z pewnością argumenty, na których mogą optymiści się wesprzeć.

literackie Próby



**Autorom pod choinkę
od ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA - redaktora
niniejszej kolumny**

ZOFIA KOŚCIAŁKOWSKA

* * *

panu Stanisławowi D.

kiedy nocą stąpam w mroku
moje oczy nie syt kroków
błądzą kędyś wzdłuż ulicy
widzą ciemne kamienice
a nad nimi niebo w czerni
bądźmy sobie zawsze wierni
wierni wierni wierni
my ludzie mizerni

URSZULA GRUBA

* * *

Za oknem noc już ciemna
Bo księżyc blade świeci
Pogoda jest wciąż zmienna
I czas tak szybko leci
Gdy przymknę tylko powieki
Twój obraz się pojawia
Chcę go zatrzymać na wieki
Bo widok ten radość mi sprawia
Choć jutro stąd odjadę
Chcę byś na zawsze pamiętał
Że nasza miłość była jak sen na jawie
Choć w jednym miejscu zamknięta



BEATA MARKIEWICZ

Oczekiwanie

Jak łania
Leżę na rykowisku
W oczekiwaniu
Jego
Mego
Kochanka najdroższego
Wyimaginowanego
Weź mnie w ramiona
Mój drogi

STANISŁAW SZCZĘDOR

Elżbieta

Elżbieta
jest
kapiącą żywicą
o smaku fenolu
o słodyczy ust
kwitnie
zapachem
w zawartości ironii blasku
zabarwionego papierkiem lakmusowym
o odczynie ust kwasu
jesteś wspomnieniem zawartym
między paszczą lwa a uściskiem boa
dlaczego zacisnęłaś obrożę śmierci
na szyi
po co było
było
opuszczać miecz damoklesa
na szafot gasnącego życia

BOLESŁAW KMITA

* * *

Legnico
przepiękna czarownico
czyżżeś mnie omotała
żeś serce mi zabrała
jam sługa twój
rab boży
ty moją duszę nożem
zostaw mnie proszę
daruj
ruj ruj ruj

I unieś w rodzinne progi
Zona ci będę
Ty mężem
Pieścić mnie będziesz
I bawić
Swym niepokonanym orężem
Wejść w mą chuć
stałą pożądania
gwiazdą istnienia
gwiazdą wstawania
Ja kochać będę na twoim łonie
Z rozkoszy sztywnieć będą me dłonie
Daj matko bosko
Dużo radości
W imieniu naszej wielkiej miłości

BARBARA WIEWIÓRKA-
-PORĘBA

Zły księżyc

wokół, wokół wokołeczku
gdzieś polazi mój pieseczek
psinka ładnie zupkę zjadła
i w swój pieski sen popadła
bury księżyc stanął w górze
czegoż on tak się dziś chmurze
żał mu psinki
stroji minki
mruka okiem
do piesinki
a piesinka ani zipnie
księżyc zaś mało nie kipnie
bo księżyc nie lubi dzieci
i dlatego chmurnie ściwi
zły księżycu
zły niecoto
bój się dzieci
i patrz w błoto



BRONISŁAW ŻUROWSKI

Miłość

Miłość
Ty dzięki zwierzę
Ale ja wciąż w ciebie wierzę
Wierzę z rana i wieczora
W nocy wierzę w każdą porę
Daj mi wieczne spoczywanie
Kiedy mi cię już nie stanie

Mini-Encyklopedia Medycyny

pod redakcją Andrzeja Lipińskiego

Tom I. Niezwykle poważny.

Abrakadabra — zaklęcie. W starożytności i średniowieczu wielce skuteczny lek psychotropowy. Dziś zupełnie zapomniany. Patrz dobre słowo.

Bakterie — organizmy żywe świata niewidzialnego. Patrz fatamorgana.

Cholera — wulgarne przekleństwo uznane oficjalnie przez medycynę za chorobę zakaźną.

Dobre słowo — współczesna, rzadko stosowana w medycynie odmiana słowa abrakadabra.

Emerytura — okres w życiu człowieka przeznaczony na stałe pogłębianie wiedzy z medycyny.

Fatamorgana — halucynacje wzrokowe powstające w wyniku załamywania się promieni świetlnych. Zjawisko to wykorzystano przy konstrukcji mikroskopu. Patrz mikroskop.

Gen — skrót od słowa geniusz. Człowiekowi do życia wystarczą zupełnie geny. Geniusz nie jest konieczny.

Haczyk — patrz haczyk w życiorysie.

Haczyk w życiorysie — jednostka chorobowa utrudniająca zrobienie kariery. Duże haki uznaje się za niewulgarne.

Koltun — rodzaj uczesania w stylu retro

Lumbago — choroba naśladująca niewiernych małżonków. Odchodzi i powraca.

Mikroskop — przyrząd optyczny do wytwarzania halucynacji wzrokowych.

Obrażenia — patrz obrażenia cielesne.

Obrażenia cielesne — rękodzieło wymagające opieki lekarskiej.

Przeszczep — przywłaszczenie cudzej własności.

Skleroza — sposób tłumaczenia się ze swoich zaniedbań i braku pamięci.



Pocztą

ANDRZEJ W. — CHOJNÓW

Drogi Panie, w trakcie tworzenia wiersza utknął Pan na słowie „gdym”, nie wiedząc, jaki dobrać do niego rym. Pyta Pan więc, czy możemy i zechcemy pomóc? Możemy i chcemy, choć zaiste nielato nam to przyszło. Jednak po trzech dniach usilnych poszukiwań, po licznych konsultacjach z wybitnymi twórcami — znaleźliśmy! Sądzimy, że najlepiej z „gdym” rymuje się „rym” ewentualnie — „bym”. Łączymy twórcze pozdrowienia.

IRENA C. — LEGNICA

Wielce Szanowna Pani, miło nam donieść, że jednak wygrała Pani zakład. Mickiewicz, autor „Pana Tadeusza”, istotnie ma na imię Adam, a nie — jak twierdzą poeci z Pani grupy poetyckiej — Adolf. Sprawdziłszy w Małej Encyklopedii Powszechnej (rok wyd. 1971, str. 648, lewa szpalta dół i prawa szpalta od góry) Prosimy jednak zająć, tak na wszelki wypadek, do nowszej encyklopedii lub jakiegoś słownika pisarzy. Boć wiadomo, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

JOLANTA P. — LEGNICA

Pyta Szanowna Pani, jak najlepiej napisać opowiadanie? Najlepiej, Droga Pani, na maszynie do pisania, i to w kilku egzemplarzach maszynopisu. Co zaś do tytułu, to proponujemy zwrócić się z tym do IBL.

WŁADYSŁAW Z. — PROCHOWICE

Przykro mi, proszę Pana, ale o Kazimierzu Tetmajerze niewiele możemy powiedzieć, dotychczas bowiem nie zetknęliśmy się z takim nazwiskiem. Jednak nasz znajomy, redaktor działu sportowego twierdzi, że gość o tym nazwisku nie był nigdy członkiem kadry narodowej piłkarzy nożnych. A on, ten nasz znajomy, zna się na tym, bo sam kiedyś kopał; co prawda, zaledwie w klasie „C”. Aleć zawsze — kopali!

KAROL P. — LUBIN

W przemiłym liście swym pisze Pan: „Mam wielką ochotę, a sondzę że i wielki talent, do napisania długiej i grubej powieści, ale nie wiem, czy to się opłaca, bo nie wiem, jak i w jakiej walucie płaca”. Szanowny Panie, płacą, niestety, w naszej, miękkiej walucie. Ale jeśli powieść będzie istotnie bardzo długa i bardzo gruba i jeśli, rzecz jasna, potrafi Pan napisać ją w ciągu, powiedzmy tygodnia — to może się opłacać.

ANIELA F. — ZŁOTORYJA

Pyta Pani: „Co to za cholera był ten cały „Skamander”? o którymś gdzieś Pani wyczytała. Sądźmy, że źle Pani wyczytała lub w tekście był błąd drukarski. Przypuszczamy bowiem, że chodziło po prostu o „skafander” (ubiór nurka, pilota, kurtka z kapturem) albo „salamandry” (płazy ogniste). Łączymy poetyckie pozdrowienia.

BOŻENA B. — LEGNICA

Pyta Pani: „Kto to jest William Shakespeare i czy w ogóle był taki”? Ależ, proszę Pani, był! Dyc to on właśnie napisał „Hamleta” i „Komu bije dzwon”, o czym Pani, poetka i powieściopisarka, powinna jednak wiedzieć.

ANONIM Z WOJ. LEGNICKIEGO

W wierszu bez tytułu pisze Pan: „Twoje serce, o miła, dzisiaj nie pamięta / Ze nauczyło me serce bić z całej mocy / Kiedy w ramiona twoje padałem wśród nocy / Kiedy każda łza moja była w niebo wzięta / Nic ci mnie nie przypomni / Pamięć twa umarła / Miłości, która serca nasze zwała / Zdawała się na zawsze, tak była zawzięta / Sam stwórca jej, two serce, dzisiaj nie pamięta”. Nasze gratulacje, piękny wiersz, dużego lotu poezja. Chętnie i z prawdziwą przyjemnością wydrukujemy. Oczywiście pod warunkiem, że zwie się Pan — Musset. Najlepiej Alfred.

S. M.

● Jeśli dobrze pamiętam, roznowa ze świeżo upieczonym wiceprzewodniczącym Piotrem Romanowskim miała miejsce prawie rok temu, już po zjeździe...

— Rok już minął. Zjazd odbył się 22 i 23 listopada ubiegłego roku. A skoro już o zjeździe mowa to rozmawiamy na dwa dni przed I Nadzwyczajnym Zjazdem naszej federacji.

● Nadzwyczajnym? Czy stało się coś aż tak ważnego?

— Ważnego owszem, ale nie, co byłoby sensacją. Minął po prostu rok naszej działalności. Rok zbierania doświadczeń, rok sukcesów, błędów i porażek. Wyciągamy wnioski z własnych błędów, chcemy je podsumować i zreformować działalność.

● Czego ma dotyczyć reforma?

— Poważnych zmian wymaga struktura federacji, ponieważ w obecnej formie nie zdaje egzaminu. Rada Federacji, która obecnie składa się z 25 osób, jest mało operatywna. Nie jest w stanie w krótkim czasie, w ważnych sprawach, porozumieć się z sygnatariuszami, których jest 129. Szwankuje system przekazywania i wymiany informacji. Dlatego chcemy ten system poważnie zreformować i usprawnić. Musi to zrobić zjazd. Nie ukrywam, że skorzystaliśmy tu z cudzych doświadczeń, które sprawdziły się w praktyce. Mamy nadzieję, że sprawdzą się i u nas.

● Kończy się rok 1984. Jak będziecie go wspominać?

— Jako rok bardzo ciężki. Głównie ze względu na to, że musieliśmy się uczyć związkowej roboty w nowych strukturach. Nie była to łatwa nauka. Zwłaszcza tutaj w warunkach Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego. Mamy do czynienia z bezprecedensową sytuacją w polskim ruchu związkowym — w łonie jednego przedsiębiorstwa — myśleć oczywiście o Kombinacie Górniczo-Hutniczym (Miedzi) działają trzy federacje związkowe: Federacja Hutniczych Związków Zawodowych, skupiająca trzy zakłady, Federacja Górniczych Związków Zawodowych — sześć zakładów i nasza — jedenaście zakładów. Ruch związkowy jest zdeintegrowany, a to nie ułatwia pracy. Nie ułatwia jej także koszmarna machina biurokratyczna i obowiązujące ustawodawstwo. W tym roku ukazało się tak dużo aktów ustawodawczych i wykonawczych, że mnóstwo czasu pożerało ich studiowanie i interpretacja. A i tak zdarzały się błędy. Trzeba było jeszcze godzić z codzienną statutową działalnością, czyli rozwiązywaniem pojawiających się zadań i problemów.

● Skoro już mowa o statutowej działalności i problemach. Czym zajmowaliście się, co może pan zakwalifikować po stronie „aktywnych”, a co „pasywnych” federacji?

— Ogólnie mówiąc zajmowaliśmy się całym pakietem spraw gospodarczo-financeowych załóg zakładów pracy skupionych w federacji. Było tych spraw wiele. Jedne udało się załatwić pozytywnie, inne poniżej oczekiwań, a niektóre czekają jeszcze na rozwiązanie. Bez wątpliwości sprawą najistotniejszą, bo dotyczącą górniczych portfeli, było wprowadzenie tabeli „B” i tak zwanej tabeli „drugiej”. Byliśmy pierwszą federacją, która złożyła akty wykonawcze Ministerstwa Górnictwa i Energetyki w kombinackim centrum zarządzania. Ostatecznie tabela weszła z trzymiesięcznym poślizgiem. Dlaczego? Oprotestowaliśmy wersję zaproponowaną przez dyrekcję kombinatu ponieważ zbyt rażąco odstawała od zasad obowiązujących w górnictwie węglowym. Protest wniosła też FGZZ. Ostatecznie doszło do arbitrażu. Po dwudniowych, bardzo trudnych i nie pozbawionych spieków, rozmowach osiągnęliśmy kompromis — i system w górnictwie miedziowym jest bardzo zbliżony do systemu węgla. Wiemy, że w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki pracuje się nad wprowadzeniem tabeli „C”. Trzymamy rękę na pulsie i kiedy tylko ukażą się akty wykonawcze zaczniemy działać. Tym razem chcielibyśmy uniknąć poślizgów.

A teraz sprawa, której na razie nie udało się załatwić. Chodzi o przyznawanie wysokich odznaczeń państwowych. W myśl obecnie obowiązujących zasad na przykład Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski nie można przyznać pracownikowi Zakładu Wzbożania Rudy. Taka sytuacja miała miejsce w „Rudnej”. „Rudna” zwróciła ośmiu wspomnianych odznaczeń, ponieważ wśród górników nie było pretendenta do tak wysokiego wyróżnienia. Wśród przeróbkarzy byli ludzie, którzy na nie zasługiwali, ale ze względów formalnych nie można ich było uhonorować. Uważamy, że jest to niesprawiedliwe. Wystosowaliśmy w tej sprawie wniosek do Rady Państwa, ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Przynajmniej na razie.

Druga sprawa, której jeszcze nie załatwiliśmy dotyczy załogi oddziału wdrożeniowego ZD „Cuprum”. Są to



Fot. J. Budnicki

Wyciągamy wnioski z własnych błędów

Z PIOTREM ROMANOWSKIM — wiceprzewodniczącym Federacji Związków Zawodowych Górnictwa rozmawia Janusz Dobrzański.

ludzie, którzy codziennie pracują pod ziemią i sporadycznie także w wolne soboty. Ale nie otrzymują wynagrodzenia zgodnie z uchwałą 199. Obecny minister Janusz Maciejewicz, będąc jeszcze dyrektorem generalnym kombinatu, obiecał załatwić sprawę pozytywnie. Ale kiedy odszedł, otrzymaliśmy odpowiedź odmowną, już... od ministra Maciejewicza! Uważamy, że tak nie można. Skoro słowo się rzekło, to trzeba je dotrzymać. Nie zamierzamy więc dać za wygraną.

Na zakończenie, bo mówię już chyba za długo, w kilku zdaniach o problemie, który nie został wprawdzie jeszcze rozwiązany, ale znajduje się na dobrej drodze do szczęśliwego finału. Chodzi o akt abolicji, który objąłby ludzi dotkniętych represjami za udział w akcjach protestacyjnych po ogłoszeniu stanu wojennego. Te represje — co jest znane — polegały na zwolnieniu z pracy i ponownym zatrudnieniu. Konsekwencje tego zabiegu są drakońskie. Ludzie nim dotknięci stracili i tracą na zarobkach, bo przyznano im najniższe stawki zaszerogowania. My związkowcy uważamy, że nie można tym ludziom kazać zaczynać wszystkiego od zera. Oni stracili wszystko, czego dorobili się przez lata nienagannej pracy. Wystosowaliśmy w tej sprawie wniosek do Rady Państwa. Został on zaopiniowany pozytywnie przez Komisję Prawną Rady Państwa i prawdopodobnie jeszcze w tym roku ukaże się odpowiedni akt w tej sprawie.

● Wiem, że federacje związkowe, a więc i wasza, służą pomocą także w indywidualnych przypadkach. Czy w mijającym roku był taki przypadek, który z jakichś względów będzie pan długo pamiętał?

— Takich spraw są setki. Dotyczą najczęściej konfliktów pracownik — pracodawca, na tle złej interpretacji bądź po prostu omijania lub łamania prawa pracy. Ale był przypadek, który na długo zapisze się w mojej pamięci ze względu na nietypowość i tragizm. Chodziło o górnika, który uległ wypadkowi w czasie pracy. Miał ciężki uraz czaszki i stan był prawie beznadziejny. Deliberowano jak długo pożyje — kilka godzin czy kilka dni. Zareagowaliśmy natychmiast interweniując w zarządzie kombinatu i dyrekcji górniczej służby zdrowia. Rannego błyskawicznie przewieziono do kliniki we Wrocławiu, gdzie zoperował go wybitny specjalista profesor Skóra. Niedawno odwiedziłem rannego w szpitalu, czuje się dobrze i powoli wraca do zdrowia.

● Na wstępie mówił pan o błędach, jakie popełniła federacja. Jaki z nich uznał pan za najpoważniejszy?

— Przyznawanie się do błędów nie należy do przyjemności, ale spróbuję. Najpoważniejszym błędem, o którym zresztą wspominałem na początku rozmowy, był zły system przepływu in-

formacji — z dołu do góry i odwrotnie. Mimo iż posiadamy własny organ prasowy — informację o tym co robimy, jak robimy i jakie są rezultaty naszej roboty, docierały z opóźnieniem, często mocno okrojone. I to chcemy zmienić. Drugim błędem było czasem zbyt powierzchowne analizowanie załatwianych spraw. Bywało tak, że z pozoru zupełnie nieistotny szczegół, który umknął naszej uwadze lub został po prostu zlekceważony, właśnie dlatego, że wydawał się nam taki drobny i mało ważny — rujnował wielotygodniowy wysiłek i powodował, że trzeba było wszystko zaczynać od początku. Ale wyszło nam to na zdrowie — po prostu jesteśmy bogatsi o to doświadczenie.

● Wspomniał pan o dezintegracji ruchu zawodowego w KGHM, o trzech centralach związkowych działających w tym przedsiębiorstwie. Słyszałem, że podobno Federacja Górniczych Związków Zawodowych, której przewodniczy Stefan Piwoński, wycofała się z Komisji Porozumiewawczej Związków Zawodowych KGHM. Trudno mi uwierzyć, aby ta wiadomość była prawdziwa. Bo jeśli to fakt, to przecież oznaczałaby dalszą dezintegrację?

— Niestety, to prawda. Dla nas to też był szok. Zawsze byliśmy przeciwni federacyjnemu partykularyzmowi. Owszem, są sprawy, które dotyczą jednej czy drugiej federacji i trzeba je załatwiać w tonie tej federacji, ale trzeba pamiętać, że 20 zakładów KGHM stanowi jeden organizm. On jest naszą wspólną sprawą, naszym wspólnym interesem i wspólnym portfelem, z którego się czer-

pie i do którego się wkłada. Mamy jeden układ zbiorowy. Osobiście istniejący podział — mam na myśli związkowe linie graniczne w KGHM — uważam za tragiczne nieporozumienie i totalny bezsens. Tak jak jest tragicznym nieporozumieniem wystąpienie z Komisji Porozumiewawczej KGHM Federacji Górniczych Związków Zawodowych. Ale takie są fakty.

Chcemy przeciwdziałać dezintegracji poprzez stworzenie struktury międzyfederacyjnej w KGHM. Opracowaliśmy taki projekt. W styczniu przyszłego roku, bo czas nagli, chcemy zorganizować wspólne spotkanie wszystkich komisji zakładowych związków zawodowych KGHM w pełnych składach i przewodniczących federacji. Myślę, że argumenty wyluszczone w tak szerokim gronie przemówią do niektórych kolegów, którym na integracji nie bardzo zależy...

● Czego spodziewacie się po Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych?

— Każdy kto przyglądał się funkcjonowaniu ruchu zawodowego w naszym kraju, mógł zauważyć, że sprawy podejmowane przez Kolegium Przewodniczących nie były załatwiane tak, jak tego oczekiwali związkowcy. Kolegium było najczęściej przypierane do muru i kazano mu podejmować decyzje w imieniu wszystkich związków zawodowych. Tak na przykład wyglądały konsultacje w sprawie podwyżki cen. Na pół godziny przed spotkaniem w Urzędzie Rady Ministrów każdemu z nas wręczono pakiet dokumentów i kazano składać podpisy. Jak wiadomo, stanęliśmy okoniem i nic z tego nie wyszło. OPZZ nie będzie można tak potraktować. Porozumienie będzie miało komisyjne problemy zajmujące się konkretnymi dziedzinami. Będzie miało możliwości szerokiej konsultacji i konsekwentnej realizacji opinii i wniosków poszczególnych związków zawodowych wchodzących w skład OPZZ. Właśnie tego oczekujemy.

● Nie jest tajemnicą, że OPZZ utożsamiana jest z CRZZ...

— I to jest błąd wynikający z nieznaności rzeczy. CRZZ była swego rodzaju instytucją, takim super ministerstwem z prawem reprezentowania i podejmowania decyzji, bez pytania zainteresowanych o zdanie i z prawem rozkazywania im. OPZZ ma prawo reprezentowania, ale decyzje podejmuje po konsultacjach. I nie może niczego nakazywać, federacje zachowują pełną samodzielność i niezależność. Jest to ewidentna różnica.

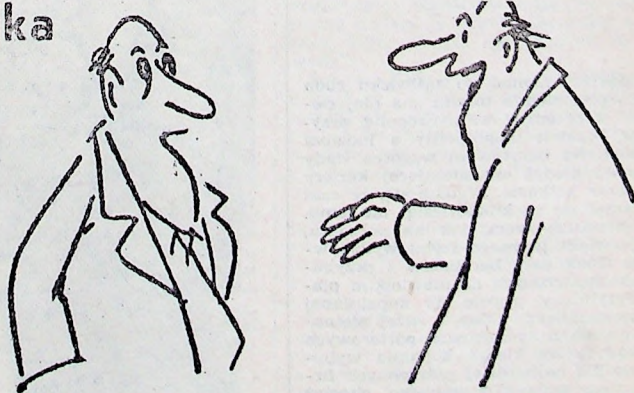
● Jaką sprawę uważa pan za najważniejszą i najpilniejszą do załatwienia w nadchodzącym roku?

— Nasza federacja postanowiła zająć się rozwiązaniem problemu, który osobicie uważam za kompromitujący. Chodzi o górników, którzy odeszli na renty lub emerytury przed 1980 rokiem. Zdecydowana większość z nich przepracowała pod ziemią wiele lat życia — trzydzieści i więcej. Kto pracował lub pracuje w górnictwie, ten wie co to znaczy. I po tylu latach pracy otrzymują renty lub emerytury po siedem, osiem, dziesięć tysięcy. Tylko dlatego, że odeszli przed kryzysem. My, związkowcy uważamy to za niesprawiedliwość, jesteśmy zdania, że ludzie, którzy poświęcili ciężkiemu górnictwu zawodo- wi najlepsze lata swego życia zasłużyli na lepszą, dostateczniejszą starość. Podjęliśmy już konkretne przedsięwzięcia w tej sprawie i mamy nadzieję, że uda się ją doprowadzić do pozytywnego finału.

● Wypada więc życzyć sukcesu. Dziękuję za rozmowę.

P.S. Rozmowa odbyła się 10 grudnia 1984 r.

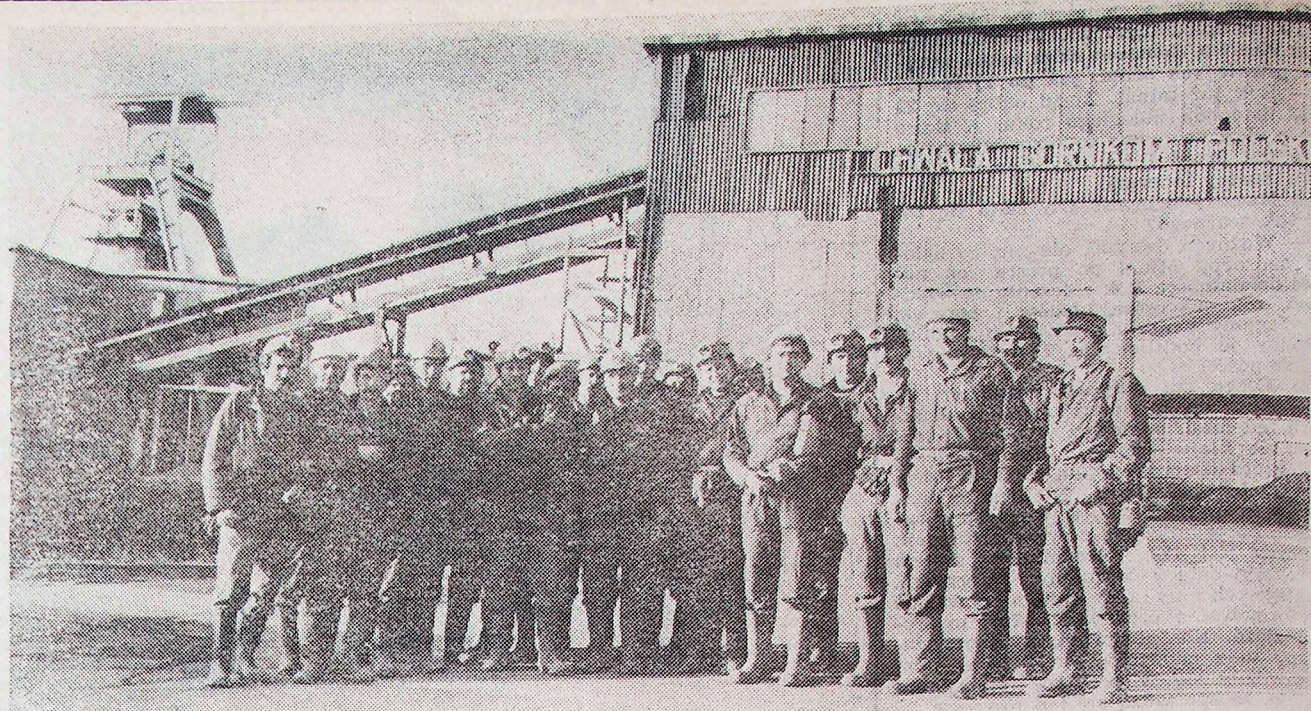
Jujka



- OBY NOWY ROK BYŁ LEPSZY!
- NIE POLITYKUJ PRZYNAJMNIEJ PRZY ŚWIECIE.

Barytowe źródło

Wanda Dybalska



Przez trzydzieści prawie lat nikt nie zadbał, by wybudować do barytowego źródła przyzwoity trakt. Do Stanisławowa dojechać więc niełatwo. Po drodze wąskiej, słabo utwardzonej, miejscami śliskiej i krętej. Aż trudno uwierzyć, że tę samą trasę przemierzają codziennie ciężkie samochody, wypełnione kopalnianym urobkiem. I że wspinają się po niej pracownicze autobusy, dowożące górników na kolejne trzy zmiany. Z Jawora, Złotoryi, Świerzawy, Wałbrzycha i okolicznych wsi. W dni powszednie, soboty i święta.

Nowa epoka i szansa wielkiej kariery zawitały do Stanisławowa już na początku lat pięćdziesiątych. Badania geologiczne dowiodły, że pod naskórkami okolicznej ziemi kłębią się żyły cennego minerału. W 1956 roku pojawiły się na wzgórzach pierwsze górnicze ekipy. Białe kamień „wychodził” niemal na powierzchnię, więc dobierano się do niego od góry — z upadowej i przez szybiki. Stosując najprostsze metody górniczej sztuki, kłasniano kawały ziemi i wybierano partie leżące najpłycej. Dopiero w 1961 roku na „gólej górze”, jak mówią górnicy, zaczął wyrastać szkielet konstrukcji pierwszej szybowej wieży. Do dzisiaj jedynej.

☆

Baryt albo siarczan baru (BaSO_4) potrzebny był i jest w przemyśle. Do produkcji farb mineralnych, gumy, mas plastycznych. W przemyśle papierniczym, cukrowniczym, szklarskim, budowlanym. Jest ciężki i chemicznie obojętny, więc służy jako obciążnik płuczek wiertniczej i płuczka do wzbogacania węgla. Nie przepuszcza promieni rentgenowskich, więc wykorzystywany jest do produkcji osłon ochronnych. Potrzebuje go medycyna i przemysł farmaceutyczny.

W barytowe złoża obfitują Góry Świętokrzyskie, Tatry, Górny Śląsk. Na Dolnym Śląsku okolice Boguszuwa, Jedlinki i Stanisławowa koło Jawora, w województwie legnickim. Zasoby stanisławowskie są podobno najbogatsze. W Polsce, w Europie, a może i w świecie — mówi zawiadowca, Zdzisław Trzyna.

☆

Zalegająca niemal po sąsiedzku ruda miedzi przemieniła miasto „na niej siedzące” w przemysłową metropolię, przynosząc rozkwit niepospolity a ludziom dostatek. Na barytowym wzgórzu ślady kreślonej kiedyś oszałamiającej kariery są jednak znikome. Wydaje się, że czas zatrzymał się tu kilkadziesiąt lat temu. Nad Stanisławowem, jak na początku, góruje wieża jedynej szyby wydobywczej. Obok parę baraczków i przybudówek zgęszczonych na niewielkim placu. Przytulony prawie do kopalnianej bramy spożywcz. sklep, a niżej piętnaście bliźniaczo podobnych parterowych domków, które kiedyś kopalnia wybudowała dla najbardziej potrzebnych firmie fachowców. To wszystko, chociaż ludzie mówią, że i tak na barytowym wzgórzu zmieniło się wiele. — Nie, nie ma w kopalni stołówki, ani gorących obiadów — odpowiadają, pytani o warunki socjalne. — Nie ma też zakładowej przychodni, tylko laboratorium i lekarz dwa razy w tygodniu. Ale za to jest łaźnia. Kiedyś człowiek wracał do

domu usmolony, dzisiaj wykapani i świeży. Jak dyrektor.

Baryt eksploatuje się dzisiaj w Stanisławowie systemem podziemnym. Kopalnia, jak mówi zawiadowca, jest niepyłowa, niegazowa, bardziej bezpieczna niż na przykład miedziowa czy węglowa. Chociaż i tu trzeba się liczyć z tąpnięciami i zawałowym zagrożeniem. Oddział w Stanisławowie jest integralną, ale samodzielną i samofinansującą się, częścią Kopalni Barytu „Boguszów” w Boguszowie-Gorcach koło Wałbrzycha. Wydobywaną tu rudę oczyszcza się wstępnie, oddzielając od niej skały płonne i przesyła do Boguszuwa. Najpierw samochodami do Jawora, na własne bocznice, dalej koleją. W sumie około siedemdziesiąt kilometrów! Ile kosztuje dzisiaj taki transportowy luksus, łatwo obliczyć. Złoża stanisławowskie są wprawdzie bardzo bogate, ale „zanieczyszczone” fluorytem, którego w rudzie jest sporo, dwadzieścia pięć, a nawet dwadzieścia siedem proc. Do tej pory nie oddzielano go z powodu braku technologii. Ostatnio jednak w zakładzie przeróbki barytu w Boguszowie trwają przygotowania doświadczalne i techniczne do odzyskiwania równie bezcennego surowca. Fluoryt, deficytowy i importowany, jest przecież niezbędny (jako topnik) w hutnictwie. Przed Stanisławowem wciąż więc kreślą się wspaniałe perspektywy.

☆

Kopalnia jest płytka, najniższy chodnik wydrążono na głębokości 220 metrów. Trudno ją opisać, gdy wyobraźnia przylgnęła do miedziowych kolosów, kilkusetmetrowych, a nawet kilometrowych

kopalnianych studni, przestrzeni i potężnych wyrobisk, wypełnionych spalinyowymi gigantami. Tutaj wszystko wydaje się pomniejszone, jak w miniatu-rze. Ceremonia przed zjazdem jest jednak podobna — robocze ubranie i obowiązkowy górniczy ekwipunek. I rękawice, których zapomnieć nie można.

W klatce mieści się z trudem sześć osób. Zcieśnieni zjeżdżamy w dół, z prędkością 2 m na sek. i na głębokość stu metrów. Tym samym szybem i tą samą klatką transportuje się również urobek. Po jednym wagoniku i po jednej tonie, kilkadziesiąt razy w ciągu zmiany. „Szola” krąży więc w górę i w dół prawie bez przerwy.

W Stanisławowie pracuje tylko jeden oddział, podzielony jednak na działy — mechaniczny, górniczy i powierzchniowy. Załoga jest nieliczna, około 260 osób, w tym ponad 100 górników dołowych. I młoda, bo młodzież ciągnie jednak „na baryt”, a nawet ucieka tu, po kilku miesiącach pracy „na węglu” czy „na miedzi”. — Bo czy tam jest taki miód? — powie nam później przodowy Kwartnik. — Ukrop jak w piekle i tempo, pęd nie do zniesienia. Tutaj przynajmniej jest czym oddychać.

Barytowcy szatkują ziemię na warstwy, numerując je od góry do dołu. od pierwszej do jedenastej, a nawet piętnastej. Z głównego szybu biją chodniki poziome — równoległe, jeden pod drugim — a z nich do góry pionowe szybiki, prowadzące do kopalnianych przodków. Taki sposób eksploatacji dyktują warunki geologiczne. Baryt zalega prawie stromo, od 75 do 90 stopni po upadzie. Żyły przecinają metamorficzną skalę w pionie, układając się w formie

soczewek. Raz zwężają się, raz rozszerzają — tłumaczy zawiadowca — tak wzdłuż, jak i w szer.

Żeby więc dotrzeć do przodka, w którym pracują dzisiaj przodowy: Mieczysław Kwartnik i Marian Gronczewski, wędrujemy z nadsztygarem Eugeniuszem Walaszczykiem i sztygarem zmianowym Stanisławem Dziubą z góry w dół, zgodnie z kierunkiem eksploatacji. Z wyższego, szóstego „piętra” na „piętro” niższe, dziewiąte. Czepiając się lin i ociosów schodzimy upadową, po drewnianych schodach, kilkadziesiąt metrów niżej. Jeszcze tylko parę metrów poziomym chodnikiem i jesteśmy u wlotu szybika. Teraz ponad dwadzieścia metrów do góry w szybikowym tunelu i powoli wdrapujemy się po drabinach do barytowego jądra.

Przodkowe wyrobiska są niewielkie i ciemne, rozświetlone jedynie górniczymi lampkami. Na każdej zmianie pracuje tu tylko dwóch ludzi — przodowy i pomocnik. We dwóch wiercą, strzelają, obudowują strop, wybierają i transportują urobek do szybikowego wylotu. Siłę mięśni wspomagają najprostsze maszyny — wiertarka udarowa i ładowarka zgarniakowa. Szybik podzielony jest na trzy trzony. — Jednym zsypuje się urobek w dół — tłumaczy przodowy Kwartnik — drugim transportuje materiały, trzeci jest drabinowy. Na niższym poziomie przy drewnianych wysypach czekają wagoniki. Wozacy napełniają je po brzegi, przepychają do następnego wlotu i zsypują w dół. Tam znów pracują wozacy i tak barytowy kamień „plynie” aż do najniższego poziomu, skąd wywozi się go szybową klatką na powierzchnię.

Rozmawialiśmy już z wozakami. Mariusz Mazur „posmakował” węgla, ale wrócił „na baryt”. Mirosław Sacha w Stanisławowie pracuje drugi rok. Nie skarżyli się, że ciężko, pracować przecież trzeba. Nie mówili, że od przepychania ton puchną ręce i drętwieje kark. Przypinają się w nierozdzielalnym duecie do stalowego pudła na kółkach i do przodu. Równie i energicznie, wzdłuż szyn.

Marian Gronczewski „na barycie” pracuje już na emeryturę. Za sobą ma dwadzieścia osiem lat w tej samej kopalni i widzi postęp. Kiedyś rąbał kilofem i machał łopatą, dzisiaj są już ładowarki, tylko zgarniakowe i zasierzutne, ale to też coś. Codziennie na jednej zmianie wyszarpują ziemi czterdzieści, pięćdziesiąt ton barytowego kamienia w jednym przodku.

— Niech pani napisze, że taka kopalnia istnieje — mówi pan Kwartnik. — Bo niedawno słuchałem „Rozmaitości” i o mało nie trafił mnie szlag. Mówił tam jeden, że w województwie legnickim trafiały się kiedyś kryształy barytu. Teraz już jednak nie, bo nie istnieje kopalnia...

☆

Przed drugą zmianą Marian Karolewski ma sporo roboty. Jako szybowy dorabia w Stanisławowie od czterech lat, ale tak na co dzień prowadzi gospodarstwo teścia. Na jedenastu hektarach zająć nie brakuje, więc nie wie, jak długo wytrwa jeszcze na kopalnianej posadzie. Takich jak on jest tu wielu. Żyją i z ziemi, i z barytowego źródła.



Zdjęcia: Janusz Budnicki

Artykuł jest skrótem opracowaniem referatu doc. Danuty Molendy z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN w Warszawie. Zasięg chronologiczny przedstawionej tu historii górnictwa rud miedzi w Polsce obejmuje okres od schyłku wieku XIV do początku XV. Z tego bowiem czasu pochodzą pierwsze informacje ze źródeł pisanych. Co zura końcową opracowania — dla ziem dawnej Rzeczypospolitej — to rozbiory, a więc druga połowa wieku XVIII a dla Śląska — wojny śląskie (też druga połowa wieku XVIII). Oba te wydarzenia spowodowały powstanie odmiennych warunków politycznych i gospodarczych dla całej ekonomiki i także dla górnictwa tych ziem.

Kiedy powstały w Polsce pierwsze kopalnie rud miedzi dokładnie nie wiadomo. Historycy dowiedli, że górnictwo rud miedzi na pewno istniało już u nas w okresie późnego średniowiecza i na początku nowożytności. Przypuszcza się, że wcześniej ruda miedzi była wydobytą na ziemiach polskich, ale jak dotąd brak na to przekonujących dowodów. Ale zanim dojdziemy do historii górnictwa, kilka słów o zastosowaniu miedzi w tych odległych nam czasach.

EPOKA CZERWONEGO ZŁOTA

Miedź zajmowała wtedy pierwsze miejsce wśród metali użytkowanych przez człowieka. Używano jej w postaci czystej, jak i stopów (brąz, mosiądz, spiż). Miedzia pokrywano dachy domów, nie tylko reprezentacyjnych, ale i mieszkalnych. W budownictwie wykorzystywano ją ponadto do wyrobu drutów, płyt, okuć. Nie mogli się bez niej obejść budowniczowie okrętów. Był to wszak okres wielkich odkryć geograficznych i bujnego rozwoju żeglugi. Bez miedzi nie mogło też być mowy o ówczesnym uzbrojeniu. Z jej stopów produkowano kule, lufy armatnie i ręczną broń palną. Ze stopów miedzi ludwisarze odlewali również dzwony. Miedź królowała także w gospodarstwach domowych (miedziane talerze, łyżki). W miedzianych kadziach warzone piwo — podstawowy wówczas napój. Z „czerwonego złota” wytwarzano lichterze, posągi, kraty, chrzcielnice, detale architektoniczne, płyty nagrobne, monety.

Wiek XV i XVI były z całą pewnością epoką miedzi. W całej Europie pracowały setki hut miedzi. Obok nich pojawiały się setki hamrów miedzianych, mosiężnych i brązowniczych. Do największych ośrodków przeróbki miedzi zaliczała się Wenecja, Augsburg, Akwizgran, Kolonia, Lubeka a przede wszystkim Norwimberga.

Na ziemiach polskich w każdym większym mieście pracowało wiele warsztatów rzemieślniczych obróbki miedzi. Na Śląsku miedziane rzemiosło rozkwitało w Wrocławiu, w Świdnicy, Opolu, Legnicy. W Małopolsce wielu rzemieślników miedzi skupiał Kraków. Na pozostałych ziemiach — Łwów, Toruń, Wilno, Poznań. Największym ośrodkiem był jednak Gdańsk.

Mimo tak znacznej roli miedzi, jej produkcja rodzima nie była wcale duża. Wśród znanych wówczas kopalń największe znaczenie dla gospodarki kraju miała sól kamienna, ruda ołowiu i złoto. Sól i ołów, to były ważne towary eksportowe. Natomiast miedź a także cynę i częściowo żelazo musieliśmy sprowadzać spoza granic Rzeczypospolitej. Nasi przodkowie znali bowiem tylko niektóre zasoby kruszców ukrytych pod ziemią. Poszukiwania złóż koncentrowały się wówczas na terenach górystych, ponieważ panowało przekonanie, że to właśnie góry kryją potrzebne człowiekowi skarby. Poszukiwania — jak wskazują na to dawne ryciny — prowadzone były przy pomocy różdżki. Panujący doceniali spółki poszukiwawcy nadając im specjalne przywileje — „litterae inquisitoriae”.

Górnictwo miedzi rozwijało się w trzech rejonach: w Tatrach, w Górach Świętokrzyskich i na Dolnym Śląsku.

KOPALNIE TATRZAŃSKIE

Tatrzańskie złoża rud miedzi znajdowały się w dobrach królewskich w starostwie nowotarskim, głównie w rejonie dolin: Kościeliskiej, Chochotowskiej i Starobociańskiej. Pierwszy zapis o prowadzonych tam pracach górniczych pochodzi z 1417 roku. W końcu XV i na początku XVI wieku budowano tam pięć sztolni, tłucznie, płuczki i jak niedawno odkryto na hali Pysznaj — hutę. Jednak okazuje się, że górników interesowała nie tyle miedź, co zawarte w niej srebro.

W kopalnie inwestowały spółki gwareckie, w których lokowali swoje kapitały bogaci mieszczanie i kupcy krakowscy a także znane rody szlacheckie — Tarnowskich, Szydłowickich. Jednym z udziałowców był nawet król —

Ludziom rycerskim podobni

Aleksander Jagiellończyk, a po nim Zygmunt I Stary. Nadzieje na odkrycie bogatych złóż nie zostały spełnione. U schyłku XV wieku kopalnie tatrzańskie zostały wydzierżawione za roczną sumę 64 grzywien (równowartość 12—17 koni). Zachowane z tego okresu roczne zestawienia wydatków i dochodów dowodzą, że produkowano tam trochę miedzi i srebra, lecz w bardzo skromnych ilościach. Koszty wydobycia i produkcji były tak wysokie, że kopalnie przynosiły niekiedy nawet straty. A oto cytaty z autentycznego ówczesnego dokumentu: „kruszcze byli naieżyli ale im się praca nie zapłaciła” albo „pożytku żadnego nie masz bo nakład większy niż pożytek”.

Kopalnie tatrzańskie ponownie ożyły za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Sprowadzono licznych fachowców krajowych i zagranicznych. Otwarto dawne szyby i sztolnie. Wydobycie jednak nie przybrało większych rozmiarów. W okresie najbardziej intensywnej eksploatacji zatrudniano tam 36 kopaczy. Zachowały się rachunki, z których wynika, że w Tatrach wydobywano tetraedryt o zawartości 15 proc. miedzi i 0,6 proc. srebra. Jak na tamte czasy było to całkiem przeciętne bogactwo.

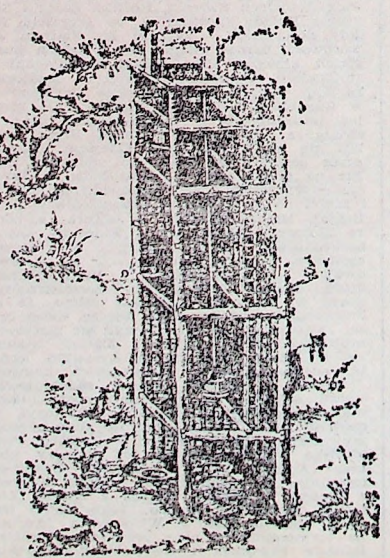
W ciągu kilku lat XVIII wieku z kopalni Ornak (Dolina Kościeliska) uzyskano zaledwie 1,3 tony miedzi i 50 kg srebra. Zamknięcie tatrzańskich kopalń spowodował I rozbiór Polski.

Górnictwo tego rejonu ze względu na ubogie złoża i wysokie koszty eksploatacji nigdy nie miało większego znaczenia gospodarczego. A fakt, że stało do niego powracano świadczy o tym jak duże nadzieje wiązano z poszukiwaniem kruszców na terenie górystym.

USTALY GÓRY MIEDZIANE

W Górach Świętokrzyskich miedź występuje aż w 60 punktach, ale tylko dwa z nich miały kiedyś znaczenie gospodarcze. Były to Miedzianka — wzgórze niedaleko Chęcin w pobliżu Kielc, i Miedziana Góra. Rudy w Miedziance były przebogate: chalkozyn zawierał aż do 72 proc. miedzi, inne rudy od 5—60 proc. i do 0,12 proc. srebra. Archeologowie i geologowie wysuwają przypuszczenia, że już w czasach prehistorycznych człowiek czerpał z tych złóż. Nie ma jednak na to jak dotąd bezspornych dowodów.

Wiadomo, że kopalnie Miedzianki czynne były od końca XV wieku do połowy XVI. Bliższych danych o rozmiarach, intensywności i ciągłości produkcji brak. Wiemy natomiast o trudnościach technicznych związanych z eksploatacją. Mówią o tym fragmenty lustracji górniczej z XVI wieku: „woda nigdy nie szkodzi jego kamień”, „tylko po wierzchu kamienia chodzimy a dalej nic dla niedostatku”. Na pokonanie twardej skały i zejście w głąb ziemi zabrakło funduszy. Kopalnie zamaryły. Nie udało się też wielokrotnie później podejmowane próby ożywienia Miedzianki.



„Wielką miedź kielecką” odkryto ok. 1590—92 roku, w dobrach biskupstwa krakowskiego. Odkrycie złóż odbiło się szerokim echem za granicą — w Słowacji, Saksonii, a nawet w odległej Italii. Do kopalni napływali górnicy z Olkusza i innych rejonów kraju. Powstała osada zwana Miedzianą Górą. W ciągu pierwszych trzydziestu lat kopalnie dawały po 120—180 ton miedzi rocznie. Były to najlepsze czasy dla miedzi kieleckiej. Ale zaczęły się kłopoty z wodą, która poważnie utrudniała i z czasem zahamowała prace górnicze. W dokumencie z 1617 roku czytamy: „Ustały góry miedziane” (góry — w języku staropolskim, to kopalnie). Podjęto co prawda budowę sztolni odwadniającej, ale z braku funduszy prace przerwano.

KRÓLEWSKIE MINISTERSTWO GÓRNICZTWA

Za Stanisława Augusta Poniatowskiego ożyły również kopalnie kieleckie. Początkowo tylko dzierżawione od biskupa krakowskiego, a w 1780 r. upaństwowione, przeszły na skarb narodu. W tym czasie w 1782 roku Stanisław August powołał Komisję Kruszcową, pierwsze polskie ministerstwo górnictwa. Przygotowania do eksploatacji kopalni oparto o naukowe podstawy. Złoża badali ówczesni geologowie. Z prac lustracyjnych zachowały się nawet sprawozdania, raporty i pięknie wykonane mapy. Bogata dokumentacja pozwala dokładnie odtworzyć obraz XVIII-wiecznych kopalni w Miedzianej Górze. Były one głębokie do 50—60 m (dla porównania w XVI i XVII w. w Tyrolu i w Czechach — do 500 m). Zaloga podziemna liczyła 30—40 górników. Wydrążono pięć szybów odwadniających, wodę usuwano przy pomocy kieratów konnych. Zmodernizowano proces wzbogacania miedzi, budując szlamownię i płuczki. W ciągu trzech lat prospekty dwiema hutami dały w sumie 30 ton miedzi i spiżu. „Fabryka Miedzianogórska” (dziś nazywalibyśmy ją kombinatem) zatrudniała około 100 osób. Bez wątpienia był to największy i najnowocześniejszy zakład górniczo-hutniczy na terenie Rzeczypospolitej. Dalszy rozwój Miedzianej Góry przerwał jednak III rozbiór Polski.

Górnictwo kruszcowe Gór Świętokrzyskich nie jest jeszcze do końca zbadane, ale nawet przy dzisiejszym stanie wiedzy można orzec, że był to największy ośrodek produkcji miedzi na obszarze Rzeczypospolitej, od schyłku XVI wieku po koniec XVIII.

MIEDŹ ŚLĄSKA

W rejonie dolnośląskim rudę miedzi wydobywano w dwóch okręgach: w księstwie świdnicko-jaworskim, w okolicy Miedzianki, Janowice i Ciechanowice oraz na południe od Legnicy, w rejonie Łwówka i Złotoryi.

Pierwsze pewne informacje o kopalniach Miedzianki pochodzą z wieku XIV. Są i wcześniejsze wzmianki, ale oparte na legendach. W XVI wieku było tu aż 160 szybów. Wydawać by się mogło, że to dużo, ale żywot wielu z nich trwał nieaz kilka tygodni lub jeszcze krócej. Niektóre pozostawiono nieukończone, gdyż nie natrafili na złoża. W 1519 roku Miedzianka otrzymała prawa miasta górniczego. Należała do starostwa księstwa świdnicko-jaworskiego. Faktycznie jednak znajdowała się w rękach dzierżawców — spółek gwareckich. Byli wśród nich Decjusowie, także Dipoltowie, którzy należeli do najaktywniejszych w XVI w. inwestorów górnictwa w Małopolsce i na Śląsku. W 1539 roku Ludwik Decjusz wydał dla tego rejonu obszerną — 113-paragrafową ordynację górniczą.

W połowie XVI wieku wydobyte w Miedziance ustało. Huty przetapiały jeszcze tylko haldy — liczne i bogate w miedź. O rozmiarach produkcji niewiele wiemy. Szacuje się, że w najlepszym okresie otrzymywano tu 10—12 ton miedzi rocznie. W wieku XVIII Miedzianka raz jeszcze zainteresowała się przedsiębiorcy wrocławscy.

W pozostałych kopalniach tego rejonu: w Ciechanowicach, Radzimowicach, Chelmcu wydobyte nie przybrało większych rozmiarów. Produkcja roczna nie przekraczała 3, 4 ton.

Jeszcze mniej, jak dotąd, mamy informacji o drugim rejonie dolnośląskim. Złoża miedzi w utworach cechstyńskich znane były naszym przodkom tylko w niewielkiej części wysuniętej na połud-

nie w okolicach Złotoryi i Łwówka. Chalkozyn, bornit, chalkopiryt zawierały od 1 do 2 proc. miedzi. Były to rudy ubogie i przy tym bardzo trudne do przerobu. A oto garść fragmentarycznych informacji o górnictwie w rejonie dzisiejszej wielkiej miedzi.

W 1429 roku w okolicy Złotoryi uzyskano ok. 300 kg miedzi niejako przy okazji poszukiwania złota. Także w wieku XVI istniały tu kopalnie rud miedzi. Na niewielką skalę kopano rudę w Nowym Kościele i Biegoszowie. W Kondratowie w latach 1541—1569 czynne były dwie sztolnie, wiadomo nawet, że jedna z nich miała 120 metrów długości. Maksymalna produkcja, to dwie — trzy tony miedzi w roku.

Na Dolnym Śląsku jedynie Miedzianka przez pewien czas była liczącym się ośrodkiem produkcji miedzi — 10 do 20 ton w roku. Pozostałe kopalnie dawały znikome efekty. W sumie na całym Dolnym Śląsku w I połowie XVI wieku uzyskiwano ok. 25 ton miedzi w ciągu roku, a w XVIII wieku już tylko 10—15 ton.

NA TLE EUROPEJSKIM

Eksploatacja rud miedzi na terenach polskich do końca wieku XVIII nie osiągnęła dużych rozmiarów, choć wzbudzała szerokie zainteresowanie. Największym ośrodkiem górnictwa miedzi była Miedziana Góra z maksymalną roczną produkcją poniżej 200 ton. W Europie w najbardziej liczących się centrach — w górach Harzu i w rejonie Mansfeldu uzyskiwano w tym czasie po 4 tys., a nawet do 8 tys. ton miedzi w roku; w środkowej Słowacji — 1—1,3 tys. ton, w Alpach — 1—1,2 tys. ton. Na tym tle wypadaliśmy raczej średnio.

Za to handel miedzią miał dla gospodarki naszego kraju istotne znaczenie. Polska była terenem tranzytu dla miedzi z kopalń słowackich na rynki środkowej i zachodniej Europy. Początkowo transport odbywał się Wisłą do Gdańska, później znaczenia nabrał szlak ślaski — miedź płynęła Odrą, Hawelą, Szprewą i dalej aż do Hamburga. Handel zapewniał stałe i po niskich cenach zaopatrzenie rzemiosła w ten poszukiwany surowiec, jak i przysparzał dochodu — cła, podatki. O jego zyskowności świadczą wojny handlowe, jakie toczyły ze sobą miasta handlujące miedzią.

JEGOMOŚĆ KRUSZEC

O dawnej technice górniczej dowiadujemy się dziś najwięcej ze starych rycin, drzeworytów, miedziorytów, z zachowanych narzędzi i urządzeń. Ale o samej pracy, o stosunku do górnictwa, o dumie zawodowej mówią głównie dokumenty i akta pisane w pięknym staropolskim języku. A oto kilka cytatów z danych autentycznych dokumentów:

O pracy górnika: „Łatwiej orać niż góry kopać”, „Rzemiosło górne nie jednego nie dwu nie trzech lat studium wymaga, do śmierci się go nie nauczy”.

O kłopotach związanych z eksploatacją: „Jegomość kruszec rad w mokrzy siada, pospolicie do wody w głąb ucieka”.

O nakładach potrzebnych na górnictwo: „Do gór potrzeba człowieka nietęskliwego (niepróżniwego — M.K.), dobrej nadziei, a miecha pieniędzy sporego, który ciągnie do szturmu, na tę wodę”.

Już w XVI wieku ugruntowało się u polskich górników poczucie odrębności zawodowej, poczucie specyficznego miejsca w społeczeństwie, jakie zajmują z racji roli górnictwa w gospodarce i obronności kraju. W XVI wieku górnicy przyrzekali:

„Grace a kilofa statecznie a pilnie używać ku każdej rycerskiej potrzebie albo posłudze Rzeczypospolitej lub kopaniu szafców lub podkopywaniu zamków albo innych posługach śpieszyć z pomocą”.

O górnikach mówiono: „Górnicy są podobni ludziom rycerskim, którzy meżnie, a śmiecie z większą ochotą dobywają i przyczyniają do Korony i Rzeczypospolitej (tego) czego pierw nie miała”.

Opracowała:
MARIA KUNCAITIS

Referat został wygłoszony 9 listopada br. w czasie sesji popularyzatorskiej zorganizowanej przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubuskiej z okazji 25-lecia KGHM.

Przed tygodniem ogłosiliśmy już dwunasty (jak te lata szybko leciały) plebiscyt „Konkretów” na dziesięciu najlepszych (a właściwie najpopularniejszych) sportowców i pięciu trenerów województwa legnickiego w 1984 roku. Napływają już pierwsze typowania czytelników. Przeglądając ich propozycje dochodzimy do wniosku, że tym razem nie będzie zdecydowanych faworytów, nie ma też jakiegoś wielkiego pewniaka. Przed laty bywało zupełnie inaczej. Słynna złotoryjska czwórka zdobywała czołowe miejsca (łącznie z pierwszymi) w mistrzostwach świata i Pucharze Świata i nie miała żadnych konkurentów. Czasy te przeszły już, niestety, do historii. Czwórka zajmuje się profesjonalnymi występami na zachodzie Europy, a nowych takiej klasy zawodników (nie tylko w akrobatyce) jeszcze się nie dochowało. Może to nastąpi za parę lat, ale do tego czasu trzeba się zadowalać tymi, którzy są i święcą również znaczące sukcesy.

Każdego roku przedstawialiśmy swoich kandydatów do grona najlepszych z najlepszych w zagłębiu międzywios. Czynimy też to i tym razem, jednak z tym zastrzeżeniem, że nie usiłujemy nikomu „przydzielać” określonych pozycji na plebiscytopis. Ograniczamy się tylko do zaprezentowania tych, którzy — naszym zdaniem — powinni znaleźć się na listach laureatów. O tym jednak jaka będzie ostateczna kolejność zdecydują głosy kibiców i naszych czytelników.

Zbliża się okres zimowy i dlatego też zaczynamy od łyżwiarzy. Przed rokiem pasjonowaliśmy się olimpijskimi występami Lilianny Morawiec w Sarajewie. Była to przecież pierwsza olimpijka w historii województwa legnickiego i zarazem pierwsza z Dolnego Śląska w sportach zimowych. Lilka pojechała do Jugosławii dobrze przygotowana, ale miała dużego pecha. Startowała w trudnych warunkach i w jednym z biegów miała upadek, który przekreślił jej szanse na dobrą lokatę w wieloboju. W sporcie to rzecz normalna i może się powtarzać. Tak też się stało w listopadzie na zawodach otwarcia sezonu w Warszawie. W rywalizacji z Rys-Ferens i Tokarczuk, zawodniczka Zagłębia Lubin wygrała 1.500 metrów, była druga na 500, a w trzecim biegu... znowu upadek. Miejmy nadzieję, że do trzeciej wpadki nie dojdzie, a sympatyczna łyżwiarka święcić będzie jeszcze wielki sukces.

W ślady Morawiec poszedł młody zawodnik lubińskiego Cuprum — Andrzej Makowski. W finałach XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży jeździł jak chciał, zdecydowanie rozprawił się z rywalami. Nie więc dziwnego, że zdobył aż pięć złotych medali! Wszystkie jakie był do zdobycia. Dowcipni twierdzili, że jeżeli Andrzej mógłby startować jeszcze w kilku konkurencjach, to też by nie popuścił. Swą wysoką formę i duże umiejętności potwierdził na mistrzostwach świata juniorów w Holandii, plasując się na wysokiej, siódmej pozycji. Wyrasta więc talent wielkiego formatu.

Podobnie jak Makowski dzielnie spisywali się jaworscy akrobaci: Paweł Biegaj i Piotr Matuła. Nie wystarczyła im już rywalizacja z rówieśnikami w zmaganiach juniorów. Wspólnie z trenerem Piotrem Biegajem, zdecydowali się na start w gronie seniorów. Wystar-

Nie ma pewniaka

Zygmunt Łuszcz

lowali i to bardzo udanie. Za pierwszym podejściem zdobyli tytuł wicemistrzów kraju i na stałe zaaklimatyzowali się w reprezentacji Polski, a fachowcy i kibice nie tylko tej dyscypliny z uwagą śledzić będą ich dalszy rozwój. Być może pójdą w ślady złotoryjskiej czwórki.

Bokserzy Zagłębia Lubin — po dwóch latach karencji — powrócili w sposób nie budzący żadnych wątpliwości do I ligi. W rozgrywkach drugoligowych ich asem był Janusz Zarekiewicz. Nie tylko dobrze spisywał się w ligowej młocce, ale „po drodze” zdobył tytuł mistrza Polski w wadze superciężkiej. Bardzo dobrze zaprezentował się w różnego rodzaju turniejach, a także w meczu ze Stanami Zjednoczonymi. Tak więc po zakończeniu kariery sportowej przez Mieczysława Massiera i Wiesława Niemkiewicza, zagłębiowski region ma znowu pięściarza wielkiego formatu.

Od kilku lat na listach laureatów znajdowali się przedstawiciele jeździectwa z Jarosławki. Duże sukcesy odniósł Paweł Śniegucki, a tym razem zastąpił go Krzysztof Bortko. Wychowanek cenionego szkoleniowca, a zarazem czołowego zawodnika kraju w ujeżdżeniu — Andrzeja Salackiego, wywalczył złoty medal w mistrzostwach Polski juniorów i to w najtrudniejszej konkurencji — Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. W tej samej konkurencji znalazł się w czołówce rozgrywanych w Drzonkowie mistrzostw Europy, nie licząc już sukcesów w różnych imprezach krajowych i międzynarodowych.

W ostatnich latach widoczne postępy poczynili kolarze. Jak dotychczas najlepsze rezultaty odnosił wychowanek Henryka Woźniaka — Jacek Budyk z polkowickiego Górnik. Jacek i tym razem nie zawiodł. Dobrze spisywał się w mistrzostwach kraju, a ponadto zajął — w drużynie — 11 miejsce na mistrzostwach świata juniorów i wywalczył trzecie miejsce w Zawodach Przyjaźni.

Za nim poszli inni. Dotyczy to m.in. Grzegorza Siudaka z legnickiego Legrołu, który wywalczył srebrny medal w mistrzostwach kraju juniorów, w wyszczególnionym. Podopieczny Grzegorza Niwińskiego stoczył wprost heroiczną walkę na trudnej trasie — nie tylko z rywalami, ale także z dużym pechem — i odniósł swój największy życiowy sukces, który był zarazem szczytowym osiągnięciem jego macierzystego klubu.

W kończącym się roku było sporo miłych i przykrych niespodzianek. Do tych pierwszych zaliczyć należy postawę młodych tenisistów ziemnych i pingpongistów. Para legnickiego Startu, Robert Gołębiowski i Dariusz Skrzypczak, wywalczyła mistrzostwo kraju juniorów w tenisowych grach podwójnych. Tego samego wyczynu dokonali tenisiści stołowi Konfeksu Legnica — Mariusz Krzak i Marek Popowicz. Wydaje się, że obu tym dzielnym parom należy się miejsce w gronie laureatów plebiscytu.

W dotychczasowych plebiscytach z reguły nigdy nie zabrakło miejsca dla przedstawiciela najpopularniejszej dyscypliny — piłki nożnej. Różnie mówi się o występach Zagłębia Lubin i Chrobrego Głogów w II lidze, ale wydaje się, że ktoś z ich grona powinien zakwalifikować się do najlepszych. Na premiowane miejsce typujemy bardzo dobrego od lat bramkarza z Lubina, Jacka Wiśniewskiego. Jak prawie żaden z innych jego kolegów przez kilka latnych sezonów potrafił utrzymać dobrą formę i często ratował zespół z groźnych opresji. Jest już weteranem, ale tym również coś się należy.

Nie ma dobrych sportowców bez równie dobrych szkoleniowców. W tej dziedzinie zmiany nie zachodzą z roku na rok i stąd też na plebiscytowych listach pojawiają się „stare twarze”. Tak chyba będzie i tym razem. Nie chcąc niczego sugerować, swoich kandydatów przedstawimy w alfabetycznej kolej-

ności. W proponowanej piątce najwyższe miejsce w „alfabecie” zajmuje Piotr Biegaj. Od lat doskonale szkoleniowiec akrobatycznej młodzieży z Jawora. Wychował całą plejadę doskonałych zawodników, a ostatnio najgłośniej było o duecie Paweł Biegaj — Ryszard Matuła, nie mówiąc już o kilku złotych medalistach mistrzostw Polski juniorów i XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży.

O osiągnięciach Adama Kaźmierczyka nie ma sensu się rozpisywać. Wystarczy podać tylko nazwiska Lilianny Morawiec i Andrzeja Makowskiego, a fakty przemówią same za siebie. Twórca lubińskiego łyżwiarstwa szybkiego nadal znajduje się w wysokiej „formie” i z pewnością — w latach następnych — dużo usłyszymy o jego wychowankach, a zasłużony trener będzie żelanym kandydatem do czołowych miejsc w naszym plebiscyście.

Aż dziesięć lat walczyli piłkarze Chrobrego Głogów o awans do II ligi. Właśnie w 1974 roku, nie przegrywając żadnego meczu, musieli ustąpić Olimpii Poznań. To co im się nie udało wówczas, udało się w bieżącym roku. Zdecydowanie wygrali rywalizację w III lidze i wywalczyli upragniony awans. Jednym z głównych autorów sukcesu był Antoni Konsewicz i jemu też należy się miejsce w honorowej piątce, mimo że już nie prowadzi zespołu. Rozstało się z nim przed samym zakończeniem jesiennej rundy spotkań. Nie wnioskując o szczegóły tej decyzji jedno jest pewne, że nikt nie może zakwestionować zasług Antoniego Konsewicza w oczekiwaniu w Głogowie awansie piłkarzy do wyższej klasy rozgrywek.

Kolejnego kandydata znacznie lepiej znają kibice z bardzo udanych występów w ringu. Mieczysław Massier posiada bogatą karierę, a po jej zakończeniu nie rozstał się z boksem i zajął się trenerstwem. W Legnicy miał widoczne osiągnięcia w pracy z młodzieżą. Od dwóch lat pracuje w Lubinie i już potrafił udowodnić, że nie tylko potrafił dobrze walczyć, ale również dobrze wychowywać swoich następców. Pod jego wodzą (pomaga też w pracy trenerowi kadry narodowej) Zagłębie wróciło do czołowych zespołów kraju, a Massier chce zbudować w Lubinie ośrodek pięściarski z prawdziwego zdarzenia.

Henryk Woźniak ma „pecha”, że tak się nazywa. Zawsze bowiem przy prezentacji kandydatów, występuje na ostatnim miejscu. Rzeczywiście jest zgola odmienną. Przed laty doskonale kolarz, dziś trener dużego formatu. Z uporem maniaka budował polkowickie kolarstwo i dziś może pochwalic się widocznymi efektami swej mozolnej pracy. Jacek Budyk, Wiesław Makuchowski, Mariusz Milek (ci ostatni zdobyli brąz w finałach XI OSM) to tylko niektórzy z jego wychowanków odnoszących znaczące sukcesy — nie tylko w skali krajowej.

Takie są nasze propozycje. Prosimy je traktować jako jeden z licznych głosów w dyskusji. Na ostateczne rezultaty będziemy musieli poczekać do końca stycznia przyszłego roku, kiedy to na tradycyjnym balu sportowym poznamy laureatów dwunastego plebiscytu „Konkretów”. O tym kto znajdzie się w gronie dziesięciu najlepszych sportowców i pięciu trenerów zdecydować wyłącznie głosy czytelników.



Sportowy rok 84

Każdy zbliżający się koniec roku jest doskonałą okazją do podsumowania dwunastomiesięcznego dorobku. Zwraca się szczególną uwagę na najważniejsze zagadnienia i wydarzenia, rozważa realizację wcześniej przyjętych planów, analizuje przyczyny sukcesów i niepowodzeń. Tak też jest w sporcie. Od kilku lat staramy się dokonywać krótkiego bilansu sportowego dorobku zagłębia międzywios. Nie przeprowadzamy szczegółowych analiz (to jest zadaniem specjalistów), ale ograniczamy się do przypomnienia najważniejszych osiągnięć i wciąż występujących niedomagań. Pamięć ludzka jest zawodna i dlatego też warto zbilansować roczne dokonania. A trzeba przyznać, że kończący się 1984 rok obfitował w województwie legnickim w ciekawe i często interesujące zjawiska, a najważniejszym był fakt, że po raz pierwszy w historii regionu i całego Dolnego Śląska doczekaliśmy się pierwszego olimpijczyka w sportach zimowych.

Dobrze pamiętamy nerwową atmosferę panującą przed zimowymi igrzyskami olimpijskimi w Sarajewie. O tym, że pojedzie na nie Elwira Rys-Ferens wiedzieli wszyscy. Ale kto będzie drugą naszą reprezentantką? Lilianna Morawiec czy Zofia Tokarczuk? O tym miały zdecydować bardzo liczne starty zagraniczne i pojedynki z najlepszymi pancernistkami świata. Wszyscy zaciśkali kciuki i życzyli sympatycznej zawodniczce Zagłębia Lubin zakwalifikowania się do ekipy olimpijskiej. Tak też się stało i Lilianna znalazła się w Sarajewie. Sam fakt

zakwalifikowania się do reprezentacji kraju na najważniejszą sportową imprezę świata był już olbrzymim sukcesem lubińskiej łyżwiarki i jej szkoleniowców. Wszyscy niecierpliwie czekali na wielkie osiągnięcia. Te niestety nie przyszły. W jednym z biegów Morawiec miała olbrzymiego pecha, przewróciła się i straciła sporo czasu, co miało decydujący wpływ na końcową klasyfikację. Do występów w Sarajewie przygotowywała się niezwykle solidnie, ale w sporcie bywa i tak, że najwięksi mistrzowie też przegrywają. Kibice obserwujący w telewizji postawę Lilianny, nie mogli mieć do niej żadnych pretensji. Miała po prostu pecha, a to każdemu się może zdarzyć. Fakt pozostał faktem, że zagłębiowski sport w tym roku rozpoczął nowy — 1984 rok — silnym uderzeniem.

Równie silnym, ale mniejszego kalibru, uderzeniem, były wcześniejsze występy kolegi „po fachu” Morawiec, zawodnika MKS „Cuprum” Lubin, Andrzeja Makowskiego. Był on prawdziwą gwiazdą finałów XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w łyżwiarstwie szybkim. Spartakiadę wygrał jak chciał i zdobył komplet — aż pięć — złotych medali. Jego postawa i późniejsze występy Morawiec — napawały optymizmem. W wielu dyscyplinach możemy się rzeczywiście czuć pochwaleni. Dotyczy to w pewnym sensie seniorów, ale przede wszystkim juniorów i juniorów młodszkich, startujących w ogólnopolskiej spartakiadzie i mistrzostwach kraju.

Od bardzo wielu lat akrobatyka sportowa była sztandarową dyscypliną sportową za-

głębia. Szczególny rozgłos zdobyła złotoryjska czwórka, która zawsze plasowała się na medalowych pozycjach w mistrzostwach świata i Pucharze Świata, nie mówiąc już o mistrzostwach Polski. Leszek Antonowicz, Wojciech Świecik, Bogdan Zajac i Sławomir Halada (później — po przejściu Halady do cyrku — zastąpił go Andrzej Jaworowski) bardzo długo byli na ustach wszystkich kibiców. Czas płynął nieubłaganie i złotoryjscy akrobaci zakończyli amatorską karierę. Zaczęli profesjonalnie występować w Republice Federalnej Niemiec, nie mogli już uczestniczyć w mistrzostwach kraju i świata, a ich trener Zygmunt Biegaj znalazł się aż w Kanadzie. Odejście czwórki przez pewien czas zostawiło widoczną lukę. Nie na długo, gdyż — szczególnie w Jaworze — wyrastała grupa następców. Szkolił ją i szkolił nadal (z dużym powodzeniem) Piotr Biegaj. Młodzi akrobaci z Jawora, a także ze Złotoryi, zdołali już w widoczny sposób zaakcentować swoje miejsce w krajowej czołówce. Najwcześniej uczynił to jaworska dwójka — Paweł Biegaj i Piotr Matuła, która zdołała wywalczyć wicemistrzostwo kraju w kategorii seniorów, mimo, że do limitowanego wieku mają jeszcze sporo czasu. Jaworzanie nie przetrzymali jeszcze sporo czasu, utytułowanych kolegów, z marszu znaleźli się w ścisłej czołówce, a specjaliści wrócili im później w ślady złotoryjskich kolegów.

Biegaj i Matuła dobrze zadebiutowali wśród seniorów, a za nimi poszli także młodszy sportowcy z Jawora i Złotoryi. W mistrzostwach Polski juniorów złote medale wywalczyli: Witold Biegaj i Ryszard Matuła (dwójka Victorii Jawor), ich koleśki klubowi Andrzej Struś i Jarosław Świdorski (synchron na trampolinie), Andrzej Kruczek z Victorii i Mariusz Halada z Aurum Złotoryja wywalczyli srebro. Takie samo trofeum zdobyła Elwira Wiśniewska (Aurum) na trampolinie, a brąz przypadł w udziale Renacie Przeździł i Ewelinie Wiśniewskiej z Aurum — również na trampolinie. W finałach OSM złote medale zdobył Marek

Hackiewicz (trampolina) z Jawora i Jacek Wiewiórski (schiełka) ze Złotoryi, na drugim miejscu na trampolinie uplasował się Sławomir Milon z Victorii, a na trzecim Jacek Fortuna (Jawor).

Pod koniec listopada w Przemyslu rozegrano mistrzostwa Polski juniorów. I w tej imprezie wyraźnie widać było jaworzanie, którzy drużynowo zajęli drugie miejsce i zdobyli trzy medale. Złoty medal w klasie mistrzowskiej wywalczyła dwójka Witold Biegaj — Ryszard Pilch. Zwycięstwo odniósł też w synchron (również klasa mistrzowska) Marek Hackiewicz i Sławomir Milon, a srebrny medal przypadł w udziale Hackiewiczowi.

Dzięki tym osiągnięciom akrobatyka utrzymała swą wiodącą rolę w młodzieżowym sporcie wojewódzkim. Nie przyszło jej to zbyt łatwo (tak bywało w poprzednich latach), gdyż zaczęli jej deptać po piętach kolarze. Dotychczas zawsze stylizowaliśmy o osiągnięciach cyklistów Górnik Polkowice i ich opiekuna Henryka Woźniaka. W kończącym się roku głośno też było o zawodnikach Legrołu Legnica i ich trenerze Grzegorzu Niwińskim. Zanim jednak młodzież przystąpiła do mistrzowskich bojów, byliśmy obserwatorami tradycyjnej imprezy organizowanej w zagłębiu międzywios i mającej duży wpływ na popularność kolarstwa wśród młodzieży. Myśle o rozegraniu — już po raz dziewiętnasty — ogólnopolskim wyścigu „Szlakiem Grodów Piastowskich”. Tym razem jego bazą był Głogów, a impreza tradycyjnie już stała na wysokim poziomie sportowym i organizacyjnym oraz cieszyła się wielkim zainteresowaniem mieszkańców całego regionu. Ona to praktycznie zainaugurowała ogólnopolski sezon i dobra pasję sportowców Górnik i Legrołu. Z ich liczego grona na najwyższym poziomie reprezentowali polkowianin Jacek Budyk. Trudno wymienić wszystkie jego znaczące osiągnięcia. Wystarczy tylko stwierdzić, że zajął 11 miejsce w wyścigu drużynowym na mistrzostwach świata juniorów. Ponadto również w dru-



Fot. J. Budnicki

Zwolennicy historii łucznictwa mówią, że Wilhelm Tell mając do dyspozycji nowoczesny sprzęt potrafiłby przetrześcić nie tylko jabłko leżące na głowie syna, ale nawet wiśnię. Tego nikt dziś nie potrafi rozstrzygnąć. Można tylko stwierdzić, że sport ten nie traci na atrakcyjności i uroku, szczególnie kiedy rywalizuje pleć piękna. Ona to właśnie przysporzyła naszemu krajowi wielu sukcesów i dużych wzruszeń.

Sport ten w Polsce uprawiany był już w XIII wieku i przed ponad 700 laty strzelano w Świdnicy do kura. Już w 1926 roku powstał Polski Związek Łuczniczy. Polska była też jednym z założycieli — w 1930 roku — Międzynarodowej Federacji Łuczniczej. Pierwsze mistrzostwa świata odbyły się w tym samym roku we Lwowie, a ich triumfátorem okazał się Michał Sawicki. Był to bodajże jedyny większy sukces naszego reprezentanta. Potem głośno było tylko o paniach. Najlepszą łuczniczką wszechczasów była wielokrotna mistrzyni świata Janina Kurkowska-Spychajowa. Potem duże sukcesy odnosili Katarzyna Wiśniewska, Maria Maczyńska, Irena Szydłowska i Jadwiga Wilejto. Szczególnie w ostatnich latach łucznictwo rozwija się bardzo dynamicznie. Co rusz tworzy się nowe sekcje. Jak dotychczas nie udało się tego uczynić w zagłębiu międzywój. Jest jednak nadzieja, że wkrótce to nastąpi, a to za sprawą wielkiego zapalenia strzelania z łuku, mieszkanka Legnicy, Józefa Baściuka.

O bogatych tradycjach polskiego łucznictwa Baściuk słyszał wcześniej nim zetknął się z tą dyscypliną. Dokładnie 22 lipca 1977 roku w Słupcu. Na miejscowym stadionie zorganizowano spartakia-

dę górniczą połączoną z zawodami łuczniczymi. Ich organizatorzy zachęcali wszystkich do spróbowania swoich możliwości. Baściuk dał się namówić, bardzo go to zainteresowało i na stałe związał się z tym sportem. Powiedział żonie, że zaczyna systematyczne treningi. Nie zgadzała się, gdyż było małe dziecko, a treningi i dojazdy do Nowej Rudy musiały pochłaniać sporo czasu.

— Nie usłuchałem żony — mówi Józef Baściuk — trenowałem i jeździłem na zawody. Efekt był taki, że trzy dni przed i trzy po imprezach w domu panowały ciche dni. Potem wszyscy przyzwyczaili się do mojego hobby. Wielkiej kariery nie zrobiłem — zdobyłem tylko II klasę sportową i zajęłem piąte miejsce w mistrzostwach Dolnego Śląska. Całą sprawę traktowałem jako relaks i przyjemne spędzenie wolnego czasu.

— W 1979 roku przyjechał pan do Legnicy i wówczas zrodziła się myśl utworzenia sekcji łuczniczej...

— Podjąłem pracę w ZRG w Lubinie (jako elektryk) i w przedsiębiorstwie tym pracuję do dziś. Mieszkam w Legnicy i dojeżdżam na szyb zachodni ZG „Rud-

na”. Równocześnie trenowałem i startowałem w zawodach. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż w Legnicy nie ma sekcji, nie mówiąc już o torach łuczniczych. Upatrzyłem sobie miejsce na gruzowisku przy Waszkiewiczach. Pewnego dnia dzieci podpalili moją stomiankę. Musiałem iść z wiadrem wody i gasić pożar. Potem przeniosłem się na boisko Zespołu Szkół Przemysłu Spożywczego. I tam długo nie zagrzebałem miejsca, gdyż ćwiczący karatecy podziurawili mój „warsztat pracy”. Nie mając innego wyjścia trafiłem na stadion miejski. Zapytałem gospodarza czy mogę przychodzić. Ten nie odmówił i miałem już swój własny ką. Bardzo często wędrowałem ze stadionu na Wielkiej Niedźwiedzicy, wzbudzając ogólne zainteresowanie i zdziwienie. Pewnego dnia siedłem z łukiem. Zaczęła mnie jakaś babcia. Zdziwiona zapytała: Co to jest? Z humorem odpowiedziałem, że żyrandol. Pokiwała głową i filozoficznie rzekła: — Czego to ludzie nie wymyślą!

Któregoś dnia trenowałem na stadionie. Podeszedł do mnie jeden z nauczycieli (jak się później okazało był to Janusz Dutkiewicz) i zaproponował mi zajęcie się dziećmi. Myśl była przednia, ale kto mnie przyjmie, przeprowadzi nabór i coś pomoże. Nie rezygnowałem i chodząc od urzędu do urzędu. Owszem rozmawiano ze mną, lecz nikt nie mówił tak ani nie. Wreszcie trafiłem do Ośrodka Sportu i Rekreacji. Bardzo życzliwie przyjął mnie dyrektor Jerzy Juszcak — był to rok 1983. Szybko się dogadaliśmy. Ośrodek zakupił dziesięć łuków, zacząłem treningi z dwójką włas-

przywieźć strzały z Jeleniej Góry.

— Czekacie na trening...
— Zaczynamy go o 17.
— Ilu was trenuje?
— Ponad dwudziestu. Nie wiemy czy wszyscy przyjdą. Chyba tak, gdyż pan mówił, że będzie ktoś z „Konkrety”, opisz nas i zrobi zdjęcia.
— Jak się mała nazywasz?
— Anna Baściuk.
— A ile masz lat?
— Sześć, ale sama chciałam przychodzić na zajęcia i tata się zgodził. Mama też.
— Ja jestem jej bratem — mówi uczeń II klasy SP 11 Mirosław Baściuk. Zaczęłam ćwiczyć z tatą. Jak mi się uda to z pewnością będę mistrzem!

Miłą konwersację przerwało przybyście trenera i dyrektora MOS Kazimierza Kociszewskiego. Trening rozpoczął się od rozgrzewki, a potem rzecz najważniejsza — strzelanie do prawdziwej tarczy prawdziwymi strzałami i z prawdziwych łuków. Głos bardzo szybko zleciał i dzieci rozeszły się do domów.

— Z taką grupą — powiedział trener Baściuk — można rzeczywiście pracować. Dzieci solidnie przykładały się do treningów i po selekcji z grupy tej powinno wyrosnąć kilku dobrych zawodników. Już teraz martwię się co będzie dalej. MOS chętnie nas przyjął, ale może potrzymać do pewnej bariery wieku. Już teraz trzeba myśleć o utworzeniu nowej sekcji. Wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem byłoby powstanie takowej

Legnicki Wilhelm Tell

Ryszard Marciniak

nych dzieci i trzema chłopcami z SP 7. OSIIR nie jest jednak powołany do prowadzenia sekcji wyczynowych. Dyrektor Juszcak szybko dogadał się z dyrektorem Międzynarodowego Ośrodka Sportowego Kazimierzem Kociszewskim i tak we wrześniu br. trafiłem do MOS. Udało się także nawiązać kontakty ze Szkolnym Związkiem Sportowym i RW LZS. Po znalezieniu dobrych opiekunów chodząc od szkoły do szkoły, kontaktowałem się z nauczycielami wychowania fizycznego. Chętnie mi pomogli i we wrześniu powstała 23-osobowa grupa złożona z uczniów SP 7 i SP 11. Dzieci chętnie trenują i rokują duże nadzieje na przyszłość. Proszę zresztą przyjść na trening to się pan osobiście o tym przekona.

Skorzystałem z zaproszenia. Pół godziny przed umówioną godziną odwiedziłem gościnie udestynowaną salę SP 7. Przed nią stała już grupa dzieci dumnie prezentująca swój sprzęt.

— Pan do nas? — spytał jeden z ma-

łuchów.

— Tak.

— A po co?

— Chcę zobaczyć jak trenujecie.

— Naszego pana jeszcze nie ma, a ma

przy Ludowych Zespołach Sportowych. Zrzeszenie posiada bogate tradycje w tej dyscyplinie i właśnie łucznictwo jest jednym z podstawowych sportów uprawianych w LZS-ach. Warto też poważnie zastanowić się nad wybudowaniem specjalistycznego obiektu. Mam na myśli dobrze usytuowany stadion przy Świerkowej. Wystarczy wysypać wały i zrobić ładny tor łuczniczy. Koszty nie będą wielkie, a pożytek ogromny.

★

Przyglądając się Józefowi Baściukowi i grupie zapalnych dzieci można śmiało stwierdzić, że łucznictwo już się przyjęło w Legnicy. Dotychczas nikt się tym sportem nie interesował, gdyż brakowało tradycji i doświadczenia. Dobrze, że znalazł się wielki entuzjasta, który znalazł opiekunów. Coś więc ruszyło z miejsca i należy się spodziewać, że w niedługim czasie głośno będzie o legnickich łuczniczkach. Gra warta świeczki, a trener i opiekunowie nie będą mogli narzekać na brak chętnych i zainteresowania władz i kibiców lubiących oglądać interesujące widowiska.

zynie) był trzecim w zawodach przyjaźni, zdobył piąte miejsce w górskich mistrzostwach Polski juniorów, szóste w jeździe indywidualnej na czas i dziewiąte w przełajach. Wszystko wskazuje, że w Polkowicach wyrasta kolarz dużego formatu którego być może — i to w niedalekiej przyszłości — dostrzeże nowy trener kadry narodowej, najlepszy nasz kolarz wszechczasów, Ryszard Szurkowski.

Na Boku nie skończyły się sukcesy kolarzy. Prawdziwa niespodziankę sprawił Grzegorz Siudak z Legroli który po dramatycznej walce zdobył srebrny medal w mistrzostwach kraju juniorów — w wysługu górskim. Natomiast jego koleży z Polkowic: Wiesław Makuchowski i Mariusz Miśk wywalczyli brąz (srebro) w XI Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży. Nie można też zapominać o udanych występach starszego od nich koleży z Chrobrzegu Głogów — Bolesława Balda który „chuiat” klasifikacyjne punkty w różnych ogólnopolskich zawodach seniorów. Dzięki wymienionym zawodnikom i wielu innym zagłębiowskim kolarzom poczyniono niemal milowy krok w przód i poważnie zaczęło się liczyć na ogólnopolskiej arenie Moza z tego być zaawansowani inicjatorzy (w 1966 roku) wysługu „Szlakiem Grodów Piastowskich” i późniejszego (juniorów) o puchar wojewody legnickiego, którzy przystępując do organizacji tych imprez, liczyli na spopularyzowanie kolarstwa i jego dynamiczny rozwój. Nie zawiedli się i nie mogą żałować dawno podjętych decyzji.

Żywiąc kolarze i akrobaci wnieśli największy wkład w dorobek zagłębiowskiego sportu. Nie można jednak zapominać o przedstawicielach pozostałych dyscyplin, których osiągnięcia też były widoczne. Z miejsca ruszył bokserzy Zagłębie Lubin na długo przed zakończeniem rozgrywek wróciło do II ligi. Jego zawodnik Janusz Zarembkiewicz zdobył mistrzostwo Polski seniorów i jest reprezentantem kraju. Pięściarz legnickiej Miedzi Robert Nawrat został młodzieżowym mistrzem kraju, a Dariusz Szczęk z Chrobrzegu Głogów brzo-

wym medalista XI OSM. Dał też o sobie znać zawodnicy akcji jeździeckiej LKS Chojnow z Jarosławki. Krzysztof Borko zdobył mistrzostwo Polski juniorów w WKKW, a w mistrzostwach Europy w Dzonkowie uplasował się w tej samej konkurencji na wysokim piątym miejscu. Jeźdźcą i zarazem czynnym zawodnikiem w ujeżdżeniu — Andrzej Salski był m.in. trzecim w międzynarodowych zawodach przyjaźni. Zaakcentowali też swa obecność młodzi podopieczni Bogdana Marunika, tenisistów legnickiego Startu Robert Gołębowski i Dariusz Skrzypczak, którzy okazali się najlepszymi w kraju w gronie juniorów. Dużymi możliwościami wykazał się młodzieńca szachista Chrobrzegu Głogów Artur Pieniążek, zdobywając złoto w OSM. Legnickanin Zygmunt Bojczuk wygrał w tej dyscyplinie turniej nadziei olimpijskich, a zespół Legroli awansował do II ligi i w piątym miejscu. Bez rozgłosu i fanfar na zakończonych rozgrywkach uplasował się na awans cieżarowców Górnik Polkowice do II ligi. Po tragicznej śmierci Ryszarda Baurze paleczkę szkoleniowca przejął Zbigniew Radzicki, pod jego wodzą ciężarowcy Polkowice sprawili klubowi i kibicom bardzo miłą niespodziankę.

Przez długie lata a ten się stołowym mówiło się niemal wyłącznie o Zagłębiu Lubin. Nie w tym zresztą gdyż seniorzy dawno już z dużym powodzeniem występują w I i seniorów w II lidze. W ostatnich miesiącach nala o sobie znać młodzież legnickiego Konkursu. Najpierw mekska drużyna awansowała do II ligi, a potem uara Mariusz Krzak i Marek Popowicz zdobyła mistrzostwo kraju juniorów. Sukcesy te wcale nie przyczyniły się do rozwoju tej popularnej dyscypliny w międzywójnym regionie. Efektem tego jest prowadzenie systematycznych rozgrywek w okręgu i organizowanie licznych zawodów nie tylko w miastach, ale i na wsi.

Dokonując rocznego bilansu, nie wolno zapominać o grzechach zspokowych, a szczególnie pilnie należy w tej najpopularniejszej dyscyplinie też coś się zmienić. Do-

tychczas posiadaliśmy jeden zespół II-ligowy — Zagłębie Lubin. Zawsze towarzyszyliśmy mu w sukcesach i niepowodzeniach. Przed dwoma laty był o krok od awansu do ekstraklasy. Niestety przebieg rywalizacji z Górnikiem Wałbrzych. Nabral jednak dużego doświadczenia i zawsze plasuje się na czołowych miejscach w II lidze. W tym roku do Zagłębia dołączyła drużyna Chrobrzegu Głogów, która pewnie wywalczyła długo oczekiwany awans. Głogowianom nie wieszcie się wprowadzić najlepiej, ale miejmy nadzieję że pozbędzie się deblantek i treny zaprzestują się znacznie lepiej w rundzie rewanżowej i na stałe zakwalifikują się w tej klasie rozgrywek.

Mamy stosunkowo dobre drużyny w II lidze, brakuje nam natomiast podobnych w III lidze. W czerwcu musiała jej szeregi opuścić Kuźnia Jawor. Jej miejsce zajęła Stal Chocianów która niestety spisywała się bardzo słabo na polu meczowym. Jest czerwona talarnia w swej grupie. Szkoda, gdyż posiadający bardzo ładny obiekt Chocianów stał się na dobry zespół tej klasy. Stał też na to Legnica, w której od lat widzi się dobra praca z młodzieżą. Brakuje jednak tej efektywnej. Piłkarze Miedzi przegrali rywalizację o wejście do III ligi z Chocianowką. Stala zdobywając I miejsce w klasie okręgowej i bez trudu powinna zakwalifikować się na wyższy szczebel. Na ten fakt niecierpliwie czekała bardzo liczna legnicka zwolennicy futbolu.

Bez znacznego wzmocnienia rozgłosu toczą swe mistrzowskie boje piłkarze rezerwy. A przecież też mamy dwa drugoligowe zespoły. Lepsza forma wykazuje się ostatnio lubińska Zagłębie które znajduje się w ścisłej czołówce swej grupy Chrobrzy Głogów musi z konieczności rozgrywać mecze w Nowej Soli i stał też jego kłopoty. Drużyna znajduje się w dolnych regionach tabel i powinna myśleć o utrzymaniu się w II lidze. Takich kłopotów nie mają piłkarze rezerwy Zagłębia Lubin które walczą o wejście do tej klasy rozgrywek. Pierwsze podejście nie było udane, ale wszystko wskazuje na

to, że za drugim razem lubińskanki w pełni zrealizują swoje zamierzenia.

★

W dużym skrócie przedstawiliśmy najważniejsze osiągnięcia zagłębiowskiego sportu w kończącej się roku. Nie obszło się niestety bez pewnej stagnacji, a nawet regresu w innych dyscyplinach. Mam na myśli przede wszystkim lekką atletykę. Jeszcze rok temu pisaliśmy o złotych medalach spartakiadowych i widocznych osiągnięciach. Coś się jednak zensilo w sprawie działającej machiny i królowa sportu nie ma się prawie czym pochwalić. Wielka szkoda, gdyż ta właśnie dyscyplina jest podstawą rozwoju wszystkich pozostałych. Podobnie jak lekkoatletyka nie odnotowali też sukcesów szermierze, strzelcy, a także siatkarze. Wprawdzie MKS „Ikar” Legnica awansował do półfinałów mistrzostw Polski juniorów ale na tym nie kończą się uzasadnione aspiracje zwolenników tej dyscypliny.

Roczny bilans pozwala na wyciągnięcie pewnych wniosków. Generalnym jest fakt, że na osiągnięcia województwa złożyły się przede wszystkim sukcesy młodzieży. Bardzo to powinno wszystkich cieszyć, gdyż wyrasta dobre zaplecze zespołów seniorów. Nie można jednak popadać w zbyt duży optymizm. Z doświadczenia dobrze wiemy, jakie są bardzo cieżkie losy utalentowanych zawodników. Po prostu przenoszą się do innych regionów, a co najgorsze, wytykają wcześniej koniec dobrej zapowiadającej się kariery. Dlatego też trzeba energicznie zapobiegać. Im wcześniej — tym lepiej. O tym powinni pamiętać nie tylko trenerzy, ale kluby i wojewódzkie władze sportowe. Najlepiej pozwala na wzrost wyczynu w regionie. Chcąc uzyskać coraz lepsze rezultaty, trzeba na co dzień interesować się młodzieżą. Miejmy nadzieję, że tym razem o tym się nie zapomni a bilans roku 1985 będzie bardziej optymistyczny.

ZYGMUNT LUSZCZ

Nic za darmo

Agnieszka Szydłowska

— Zostałam przyjęta na tej podstawie, że będę pracować dziesięć godzin dziennie i w soboty. No i było uzgodnione, że będę podpisywać listę płac, ale pieniądze nie będę pobierać. Inaczej nie zostałabym przyjęta na praktykę. W zawodzie fryzjerskim kandydatów dużo, mistrzowie mogą wybierać.

NAJTAŃSZA SIŁA ROBOCZA

Mówią o sobie: najtańsza siła robocza. Uczennice i uczniowie Zasadniczej Szkoły Zawodowej nr 3 w Legnicy uczą się zawodu mechanika, krawca, fryzjera, ciastkarza, piekarsza, zegarmistrza, elektromontera i wielu innych. W szkole spędzają od 18 do 22 godzin tygodniowo. Znacznie więcej czasu zabiera praktyczna nauka zawodu, zwłaszcza, jeśli odbywa się w zakładach rzemieślniczych należących do Cechu Rzemiosł Różnych. Rokrocznie szkoła otrzymuje wykaz zakładów rzemieślniczych, w których mistrzowie zgadzają się na przyjęcie uczniów. Uczniowie podejmują naukę zgłaszając się do poszczególnych zakładów, gdzie, po zawarciu umowy, zobowiązani są do odbycia praktyki zakończonej złożeniem egzaminu czeladniczego. Zanim taki egzamin złożą przed komisją Izby Rzemieślniczej, pozostają pod opieką mistrzów. Nieraz mają do swoich mistrzów mniejsze i większe pretensje:

Uczennica w zawodzie ciastkarza (17 lat):

— Cały czas pracuję więcej niż jest przewidziane w umowie. Pracuję po osiem godzin dziennie w dni wolne od nauki i w każdą sobotę po sześć godzin, razem to wypada 30 godzin tygodniowo. Zdarza się, że mistrz „prosi”, abym została dłużej i wtedy zostaję. Pracowałam też w nocy, miałam za to wolny dzień. Mistrzowie mówią o nas, że nic nie robimy, a muszą nam płacić, ale jeśli nas nie ma w zakładzie przez dwa dni, bo jesteśmy w szkole, to narzekają: „a kto będzie robił”...

Uczeń w zawodzie ciastkarza:

— Mistrz nauczy więcej i lepiej, niż uczą nas w spółdzielniach pracy, ale pracujemy jak osły, robimy wszystko, co nam każe, i to za śmieszne stawki — 640 złotych miesięcznie w pierwszym roku nauki, 960 w następnych. Uczniowie, którzy nie ukończyli 16 i 18 lat, pracują od szóstej rano do osiemnastej i dłużej, a nawet w nocy. Jeżeli szef mówi, że mamy zostać dłużej, to jesteśmy, bez dyskusji. Gdybym poprosił o wolną sobotę, to jestem pewien, że bym nie otrzymał. Jeśli zostaję dłużej, szef mi płaci, ale po stawkach uczniowskich. To są grosze, a to co pani powiedziała, to jest nic... Więcej nie powiem, bo nie chcę mieć kłopotów.

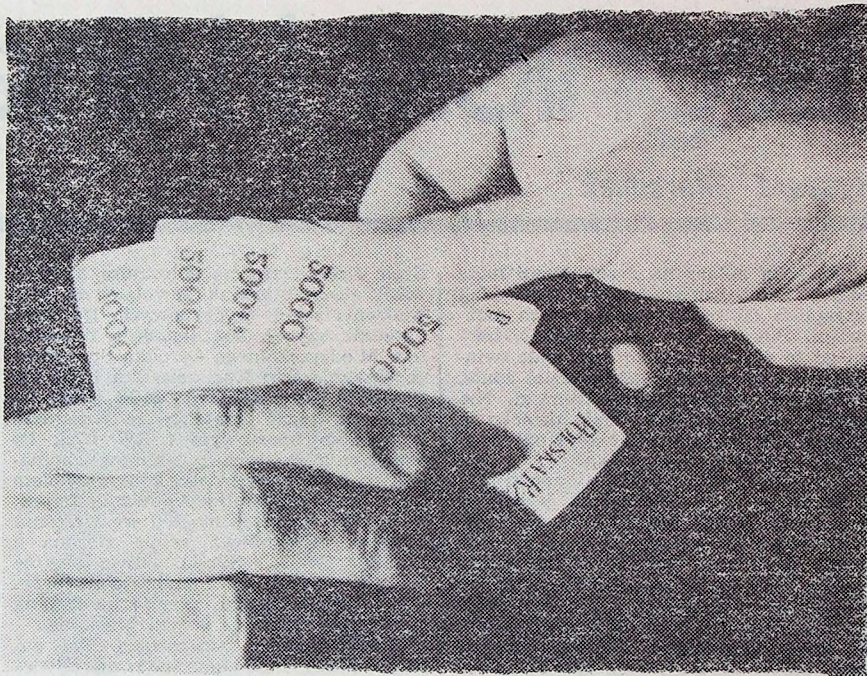
★

Nie padło dotychczas żadne nazwisko. Uczniowie „nie chcą mieć kłopotów”. Wyjątki stanowią ci, którzy zmienili zakład praktyk, jak Beata C. Beata mówi: „I ja, i koleżanka z klasy nie otrzymywałyśmy żadnego wynagrodzenia za praktykę w ubiegłym i w tym roku szkolnym. Było trudno dostać się na praktykę, więc szefowa (zakład fryzjerski przy ul. Głogowskiej 19 w Legnicy) przyjęła mnie pod pewnymi warunkami: będę mówić, że dostaję ubranie robocze, bieliznę, proszek i mydło, obuwie zdrowotne, będę podpisywać listę płac, ale pieniędzy otrzymywać nie będę. Pracowałam po dziesięć godzin dziennie, w sobotę — osiem godzin, bez przerwy na obiad. Nie wykorzystalam też całego urlopu, w czasie ubiegłorocznych ferii pracowałam przez tydzień. Mama była w cehu u pani Kańczyszyn i skarżyła się, że nie dostaję pieniędzy. Spytała też, czy są wolne miejsca gdzie indziej i przeniosłam się do zakładu przy ul. Szkolnej. Tam mam praktykę częściej, ale nie po dziesięć godzin, mam przerwę na obiad i pieniądze, jak na umowę”.

Rozmawiałam z właścicielką zakładu fryzjerskiego przy ul. Głogowskiej. Oświadczyła kategorycznie, że uczennica otrzymywała wynagrodzenie, jej koleżanka również. Zapewniła mnie, że wizyta pani C. związana była z żądaniem płacenia rekompensaty, a nie pie-

niędzy przysługujących umową. A na dowód, że uczennice mają zapewnioną odzież ochronną — pokazała mi kilka niezbyt czystych fartuchów i półtorej pary obuwia zdrowotnego, w którym „uczennice nie chcą chodzić”.

Sylwia P., uczennica klasy I, też zmieniła zakład praktyki. Twierdzi, że od 1 września była na okresie próbnym w zakładzie fryzjerskim przy ul. Jaworzyńskiej 42. W tym czasie (czyli przez 2,5 miesiąca) nie pobierała wynagrodzenia, często bawiła wnuczkę mistrzyni, a jej koleżanka sprzątała mieszkanie. Mistrzyni twierdzi, że uczennica mówi nieprawdę, często opuszczała praktykę, nie złożyła też niezbędnych do podpisania umowy dokumentów, a z dzieckiem wyszła kilka razy na spacer, „aby się przewietrzyć”. Sprawdziłam w następnym zakładzie praktyki, że Sylwia istotnie solidnością nie grzeszy, bo w ciągu dwu tygodni aż dwa razy opuściła praktykę, a ponadto nie złożyła wymaganych do podpisania umowy dokumentów. Tym niemniej, „zdro-



wotne” spacerować z małym dzieckiem chyba nauce zawodu nie sprzyja...

ZMOWA MILCZENIA

Na zebraniu w szkole rodzice wiele narzekali i domagali się zmniejszenia czasu praktyk, tłumacząc, że dzieci są przecieżone i przepracowane. Dyrektor szkoły Maria Dąbrowska zorganizowała więc następne zebranie, na które zostali zaproszeni przedstawiciele cechu. Wtedy rodzice nabrali wody w usta. Nie padło żadne oskarżenie, nikt na nic nie narzekał. Spotkanie przebiegło „w miłej i serdecznej atmosferze”. Rodzice boją się, że ich żądania mogą utrudnić dzieciom dalszą naukę zawodu. Mimo to, co jakiś czas, do dyrektora szkoły, kuratorium i Wojewódzkiego Ośrodka Dokształcania Zawodowego docierają niepokojące sygnały ostrzegawcze. Dotyczą one m. in. znacznego przedłużanego czasu praktyk, „wkupnego” za przyjęcie na praktykę, lub ograniczania przysługujących uczniom urlopów.

Niezgodne z umową warunki pracy lub błędy w szkoleniu też się zdarzają — np. w czasie przeprowadzanych przez Wojewódzki Ośrodek Dokształcania Zawodowego kontroli, dyrektor Bazylikiewicz stwierdza niejednokrotnie brak jakiegokolwiek dokumentacji świadczącej o szkoleniu uczniów zarówno w spółdzielniach pracy, jak zakładach rzemieślniczych. Zalecenia pokontrolne są na ogół respektowane, a rekontrola zazwyczaj wskazuje na uzupełnienie harmonogramów szkolenia i dzienniczeków praktycznej nauki zawodu. Tam jednak, gdzie poprawa nie następuje przez czas dłuższy, odbiera się prawo dalszego szkolenia uczniów. Inne sygnały niełatwo sprawdzić. Niedawno w kuratorium wizytator Edward Koszela, star-

szy wizytator ds. szkolnictwa zawodowego przyjął rodziców, skarżących się, że mistrz ciastkarz zażądał od nich sumy 50 tys. złotych za przyjęcie syna na praktykę. I znów, zapytani o nazwisko mistrza i adres zakładu — rodzice wycofali się w popłochu. Bo skoro syn chce się kształcić w tym zawodzie, ujawnienie nazwiska mistrza może mu w przyszłości zaszkodzić, tłumaczyli... Podobnie zachowują się przychodząc ze skargą do szkoły, tak, że skargi trudno sprawdzić. A żądanie „wkupnego” (nazywane również „kajacją”) zamieniania bywa także na niewypłacanie uczniom świadczeń za praktykę. Opowiedział o tym (także z zastrzeżeniem swojego nazwiska) czeladnik krawiecki:

— Przez półtora roku wcale nie otrzymywałem wynagrodzenia, a byli też koledzy, którym mistrz nie płacił przez całe trzy lata nauki zawodu. Potem, w miarę, jak się przyuczyłem, dostawałem oprócz świadczeń uwzględnionych w umowie, także cotygodniowe kieszonkowe. Ale zazwyczaj zostawałem po godzinach, to było normalne. Wychodziłem z domu przed ósmą rano, wracałem po osiemnastej, a w dniu, w którym miałem po południu naukę w szkole, też do tego czasu byłem u mistrza. Mimo to, po uzyskaniu kwalifikacji czeladniczych ma się bardzo nikić pojęcie o zawodzie. Trzy lata to okres zbyt krótki, aby poznać wszystkie tajniki krawiectwa. Myślę, że powinno się wydłużyć okres praktycznej nauki zawodu, wtedy uczeń nie będzie przemęczony i pewniej będzie podchodził do egzaminu.

MISTRZOWIE I PARTACZE

Niewiele zawodów ma tak długą i piękną tradycję, jak rzemiosło. Pierwsze cechy rzemieślnicze wywodzą się z zamierzchłego średniowiecza, a tajniki poszczególnych zawodów strzeżone były pilnie z pokolenia na pokolenie. Uczeń długo musiał rąbać drwa i obcierać usmarkane nosy majstrowej dzieciarni, zanim dopuszczono go do pierwszego stopnia wtajemniczenia i pozwolono narzecz się uczyć. Sama nauka trwała długo. Nie tylko dlatego, że uczeń stanowił darmową siłę roboczą „do wszystkiego”. Tradycyjne rzemiosło wymagało dużej wiedzy i kunsztu, a sami rzemieślnicy wzbijali się na nieosiągalne wyżyny sztuki. Obecnie kunsztowne, wypieszczone wyroby rzemiosła zastępowane są najczęściej standardowymi wyrobami przemysłowymi produkowanymi seryjnie, ale rzemieślnicy są potrzebni nadal wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z wyrobami o charakterze indywidualnym i niepowtarzalnym. Rzemieślnicy są nadal mistrzami i to nie tylko z nazwy. Według oceny pani Bazylikiewicz, dyrektora WODZ, rzemiosło reprezentuje najwyższy poziom nauki zawodu. Potwierdzają to nauczyciele i sami uczniowie. Mistrz podejmujący się kształcenia zawodowego przyjmuje na siebie rolę nauczyciela, opiekuna i wychowawcy. Nie są to zbyt wielkie słowa, jeśli wypełni się je konkretną treścią. I jest wielu takich mistrzów, którzy do przyjętej dobrowolnie roli podchodzą z przekonaniem. I poczuciem odpowiedzialności. Nie sposób w tym miejscu wymienić wszystkich tych mistrzów, którzy od wielu lat wspaniale kształcą i wychowują młodzież. Należą do nich między innymi: pan W. Adamczak (mechanika po-

jazdowa), pani Mańczak (krawiectwo), pani Niemiec (fryzjerstwo damskie), pan Rząca (elektromechanika pojazdowa), pan Rzepecki (krawiectwo męskie). Jak mówi pani Irena Niemiec (która w czerwcu tego roku otrzymała złoty medal na pokazie fryzjerskim w Berlinie Zachodnim) — mistrz musi zachęcić do zawodu, nauczyć — ale także poznać osobowość ucznia, pomóc w razie trudności. Nieraz rodzice wiedzą o własnym dziecku obserwując i oceniając uczyń. Zdarza się, że uczeń powierza swoje zmartwienia i kłopoty raczej mistrzowi, do którego ma zaufanie, niż zapracowanym rodzicom, z którymi nie może znaleźć wspólnego języka. Uczniowie są różni: mniej lub bardziej zdolni, pilni, sumienni. Trzeba ich przygotować do egzaminu czeladniczego, a także do dorosłego życia.

Nie wszyscy jednak mistrzowie tak sądzą. Mówi uczennica w zawodzie krawieckim (16 lat):

— Od rana do wieczora mistrz zna tylko jeden temat: seks. Albo włoży rękę pod spódnicę, albo uszczypnie. Raz podał mi rajstopy. Ja już wiem, że krawcową nie będę. Obrzydził mi ten zawód. W dzień praktyki tylko myśleć: oby już było po...

TRADYCJE I PRZEPISY

Rozmowy, jakie przeprowadziłam w czasie zbierania informacji do tego artykułu utwierdziły mnie w przekonaniu, że dwie są przyczyny cytowanych nieprawidłowości w praktycznej nauce zawodu prowadzonej przez rzemieślników: Z jednej strony pokutują złe tradycje z czasów, kiedy mistrz był dla ucznia „ostatnim po Bogu”, z drugiej mamy do czynienia z niedoskonałościami przepisów określających przebieg praktyk. Te pierwsze są natury czysto subiektywnej i wyeliminowanie ich jest zadaniem cechu. Natomiast sprawa druga — przepisy — muszą rozstrzygnąć się na szczeblu wyższym. Najważniejsza, nie uregulowana, a paląca sprawa to czas praktyki. Jak wiadomo, w zakładach uspołeczniionych obowiązują od kilku lat 42-godzinny tydzień pracy. Tymczasem, jak poinformował mnie Kazimierz Umiecki, kierownik szkolenia praktycznego w ZSZ, czas praktyk uczniowskich regulują przepisy o pracy młodocianych, oparte na kodeksie pracy, w którym za podstawę obliczenia godzin pracy uczniów przyjmuje się 46-godzinny tydzień pracy.

Nietrudno zgadnąć, jakie są tego konsekwencje: uczniowie odbywają praktyki 10-godzinne, nie mają wolnych sobót. Rzemieślnicy mają prawo do stawiania takich, a nie innych wymogów, bo kodeks pracy nie został znolizowany. Uczeń do lat szesnastu powinien odbywać 18-godzinną praktykę tygodniową, uczniów starszych obowiązuje 28-godzinny tydzień praktyk. Nawet, jeśli przyjmiemy, że czas ten będzie ściśle przestrzegany (a najczęściej bywa znacznie wydłużany), to po dodaniu obowiązujących godzin nauki szkolnej (18 do 22 godzin tygodniowo), uczeń spędza w szkole na praktyce 40—50 godzin tygodniowo! Nie jest to chyba mało dla rozwijającego się organizmu, który potrzebuje dużo ruchu i nieco rozrywek. Rzemieślnicy sądzą, że obowiązujący czas praktyk jest i tak krótki w stosunku do harmonogramu nauki. A skoro tak jest — czy nie lepiej, jak powiedział czeladnik krawiecki — wydłużyć czas nauki zawodu, zamiast przemęcać uczniów? A jak kształcić uczniów np. w zawodzie piekarskim, który pracuje nocą? Tego przepisy w ogóle już nie uwzględniają, poza stwierdzeniem, że młodociani nie mogą pracować nocą. Pytałem o to w zakładzie piekarskim. Nie było tam uczniów, bo „nie wolno im odbywać praktyk nocą. A w dzień, to on się nie nauczy, bo w dzień chleba nie pieczemy” — powiedziano mi bez ogródek. A zawód ten jest „deficytowy” od wielu lat...

Zupełnie inny problem, to wynagradzanie uczniów za odbywanie praktyki. Nie są to sumy duże, zważywszy, że przyuczony uczeń jest właściwie półetatowym pracownikiem. Za 960 złotych pracuje na pół etatu uczeń drugiej i trzeciej klasy szkoły zawodowej. Wielu mistrzów wynagradza więc ich dodatkowo — ale dzieje się to niejako poza przepisami i umową. Ta sprawa, jak sądzę, też powinna zostać w sposób rozsądny uregulowana.

Chciałabym, aby powyższe uwagi potraktowane zostały nie jako oskarżenie, lecz głos w dyskusji na temat kształcenia zawodowego młodzieży. Zależy nam przecież wszystkim na tym, aby kształcić dobrych i uczciwych rzemieślników — a nie partaczy.

W probówkach bulgocą bakterie, w powietrzu czuć siarkę, a seler czeka cierpliwie na ekstrakcję kadmu. Matusiakowa nie chce myć szkła, stażystka ma 5700, ktoś nastal pod prysznic, Michalski mówi, że wszystko przez związki zawodowe, przewodnicząca ma dość, a Knapik się zwalnia, bo ją przeniesli z wody do powietrza...

— Dyrektor jest po to, by rządzić — mówi z przekonaniem kierownik Jarzębowski, a po chwili dodaje: — Złatwiłem już robotę w budownictwie i odchodzę. Mam dość współpracy z babami!

Przedwczoją odjechała komisja z wysokiego urzędu, potem przyjechali dziennikarze.

Z listu do redakcji: „(...) Wydawać by się mogło, że Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Legnicy powołany został do wyższego celu, jakim jest czuwanie nad stanem zasobów przyrodniczych regionu tak narażonego na oddziaływanie przemysłu miedziowego. Tymczasem ludzie, którzy zebrał się, by pracować nad ochroną środowiska, muszą borykać się z problemami ochrony własnej psychiki i zasad moralnych (...) Zgrany kolektyw zajmujący się problemami zawodowymi z pasją i oddaniem, stworzony przez poprzednie kierownictwo, w chwili obecnej stał się przedmiotem ataku, ustawicznego szykanowania, moralnego i psychicznego wyniszczania. Z nabrzmiałymi problemami w ich obecnym stanie nie mamy możliwości sobie poradzić, dlatego szukamy pomocy na zewnątrz”.

List jest obszerny, podpisał go czytelnik dwadzieścia osób. Jego głównym adresatem jest Centralna Komisja Kontroli Partyjnej, a kopie skierowano do wojewody legnickiego, KW PZPR, redakcji „Trybuny Ludu”, „Sztandaru Młodych”, „Rzeczypospolitej” i „Konkretów”. Na czterech i pół strony maszynopisu przelewa się żal, rozgoryczenie, bezsilność. Autorzy listu jednoznacznie sugerują, że sprawcą ich zawodowej tragedii jest dyrektor ośrodka, który „przejął na siebie rolę właściciela placówki, co wyraża się w jego postępowaniu w stosunku do ludzi i problemów, które tutaj nabrzmiały”.

JAK SIĘ KOMU NIE PODOBA...

... to niech się zwolnią. — W ten sposób dyrektor ucina każdą dyskusję — mówi Lucyna Matusiak, biolog z dyplomem magistra. Pokazuje porwane, lecz sklejone taśmą dokumenty. Jeden z nich dotyczy powierzenia jej stanowiska specjalisty i zmiany kategorii zaszerogowania. Drugi — zakresu czynności i obowiązków służbowych. — Znalazłem je w koszu u dyrektora — mówi drżącym ze zdenerwowania głosem. — Najpierw je podpisałem i naniosłem swoje uwagi. Nie zgodzę się na to, bym jako biolog musiała wykonywać pracę sprzątaczką.

Matusiak twierdzi, że awans służbowy ma z głowy na parę lat. Jedenaście osób kiwa potakująco głowami. Przyszli prawie wszyscy z tych, którzy podpisali rozpaczliwy list. Zapada zmierzch. W niewielkiej salce konferencyjnej redakcji „Konkretów” robi się ciemno od papierosowego dymu. Nie przeszkadza to nikomu.

— Pracujemy przy truciznach, w pracowniach brak wentylacji, nie ma też pomieszczeń do mycia ani pokoju jadalnego — mówi Leszek Posmyk, specjalista od obsługi urządzeń laboratoryjnych. — Na zebraniach załogi proponowałem, aby powołać w ośrodku społecznego inspektora bhp. — Panie Posmyk — usłyszałem — to jest w gestii związków zawodowych, a my pana i tak

Epidemia

Jacek Broszkiewicz, Andrzej Pawelczyk

będziemy eliminować. Pracuję tu od pięciu lat, byłem ciągle wyróżniany — zaklina się — a tu coś takiego... Jeśli dyrektor nie przeprosi mnie przy załodze, to się zwolnię.

Knapik już to zrobiła. Twierdzi, że po pięciu latach pracy w ochronie powietrza została bez uzasadnienia przeniesiona do ochrony wody, a panią od wody przesunęto do biologii. O swej nowej pracy obie nie mają pojęcia.

Malgorzata Minodzka, specjalista do spraw ochrony środowiska: — W tym roku miałam iść na kurs obsługi spektrofotometru absorpcji atomowej, na którym pracuję od dawna. Pojechał człowiek zupełnie nie związany z tą robotą... Za wyjście do okulisty potrącono mi pięć proc. premii. Z mojego odwolania kierownictwo robiło sobie kpiny. Zrozumiałam, że jestem zupełnie niepotrzebna.

Matusiak dodaje, że ostatnio do pomocy w pracowni biologicznej przydzielono jej przewodniczącą związków zawodowych, która nie jest przygotowana do tej roboty. — Przeszkadza mi tylko w pracy, nie mogę się skupić — wyrzuca z siebie podniesionym głosem. — Dyrekcji chodzi o to, by rozwalić naszą grupę i mieć swoich informatorów...

Posmyk rzuca na szalę kolejny argument: — Wygląda na to, że dyrektor chce rozłożyć zakład, traktując go jak swoje rancho. Od czasu, kiedy zaczął kierować ośrodkiem, odeszło już siedem osób. Dojdzie w końcu do tego, że wszyscy się zwolnimy.

BARAK NA PERYFERIACH

Po czarcowej reorganizacji w ośrodku pozostały 43 osoby. Dwadzieścia sześć odeszło do wydziału ochrony środowiska w Urzędzie Wojewódzkim. Do baru na Przybyszowie pomiarowcy przywożą dzień w dzień próbki powietrza, wody i gleby, które w laboratorium poddaje się chemicznym i biologicznym analizom. Aparaturę zakupioną przez Światową Organizację Zdrowia ma za zadanie określić wysokość kary, jaką za przekroczenie norm zanieczyszczenia środowiska będą płacić zakłady przemysłowe regionu. Można domniemywać, że właśnie z tego powodu OBiKS nie należy do instytucji uwielbianych przez przemysłowców i zarządzających gospodarką województwa technokratów. Wynowa wyników badań nigdy nie była na tyle optymistyczna, by z podniesionym czołem stanąć naprzeciw opinii społecznej. Rozwiew, jaki wytworzył się pomiędzy oczekiwaniami mieszkańców zagłębia miedziowego, zawodową etyką badawczą środowiska a naciskami lobby przemysłowego, miał pewien wpływ na to, co się dziś dzieje w ośrodku. W liście do CKKP operuje się terminem „fabryka wyników”. Jak to rozumieć?

Autorzy listu zapewniają nas, że wyniki ich badań są rzetelne. W dwa dni potem dyrektor powtórzy to samo, twierdząc, że byłoby z jego strony głupotą podpisywać fałszywe analizy. A jednak kierownicy działów ośrodka mówią o zauważanym przez nich braku szacunku do pracy. Szef laboratorium Jarzębowski utrzymuje, że „większość ludzi robi łaskę przychodząc do roboty”. Doktor Dębosz, kierownik grupy pomiarowej (lubiany, notabene, przez swych pracowników) nie stwierdza natomiast negacji samej pracy u podopiecznych: „Za mało zarabiamy”.

5700 miesięcznie dla absolwentki Politechniki Wrocławskiej mówi samo za siebie. Nic dziwnego, że dorabiają. Kierownik na analizach matematycznych, dyrektor na pisaniu artykułów i recenzji, a pracownicy na usługach dla innych instytucji (wykorzystując ośrodkową aparaturę). Dla wszystkich wiatr w łec od huty...

CO NA TO ZWIĄZKI ZAWODOWE?

— Związki zakładał u nas dyrektor — mówi Michalski podczas wizyty w „Konkretach”. — Mnie też kazal do nich wstąpić. Wezwał mnie na rozmowę i kazal zastanowić się do następnego dnia. Za niewykonanie tego polecenia dostałem upomnienie... Stwierdziłem, że jest to zwykłe chamsstwo i wtedy dowiedziałem się: mam już nagane na piśmie. Odwołałem się do KW PZPR i Urzędu

Wojewódzkiego. Dopiero po naszym liście napisał do mnie pracownik zajmujący się skargami i wnioskami w KW, że moje pismo do nich nie dotarło. To skąd znał moje nazwisko i adres?

Do końca listopada br. w organizacji związkowej OBiKS było zaledwie osiem osób. Dziś jest ich dwanaścioro. Jak stwierdza przewodnicząca Krystyna Głowczyk — w skład NSZZ wchodzi ściśle kierownictwo: dyrektor, zastępca, główny księgowy oraz cała administracja. Poza nią nikt z laboratorium i grupy pomiarowej nie należy do związków. Tworzą swoistą frondę, wykazując wręcz wrogość. — Służę przykładami — mówi Krystyna Głowczyk. — W związku z zagrożeniem planu w pracowni biologicznej dyrektor Sałacki przeniósł mnie z fizykochemii na bakteriologię. Magister Matusiak natychmiast zapytała, czy przyszedł ze specjalnym zadaniem. Potwierdziłam, bo myślałam, że chodzi o pomoc. Jak się później okazało, w pytaniu tkwiła pułapka. Miałam niby doprowadzić panią biolog do psychicznego załamania, do rozbicia „bandy wicherzycieli” i służyć jako informator dyrektora...

Dyrektor Sałacki pokaże nam później oficjalne pismo przewodniczącej NSZZ, w którym skarży się ona na to, że po skierowaniu jej do pracowni biologicznej jest szykanowana przez p. Matusiak, która podczas rozmów neguje jej fachowość i podważa intencje jako szefa związków zawodowych.

— Odrzućmy nasze wszystkie inicjatywy — mówi przewodnicząca. — Chyba się zwolnię z tej funkcji.

A więc i tu rezygnacja...

DWUNASTU WSPANIAŁYCH?

„W zakładzie ubzdurano sobie, że jesteśmy spadkobiercami byłej „Solidarności”, która za poprzedniego dyrektora robiła nie tylko szum wokół siebie, ale też i wiele dobrego”. (Matusiak w glosli tych słów wyrasta nam na lidera tej grupy).

Teraz już jeden przekrzykuje drugiego.

— Dyrektora łączą z administracją osobiste stosunki. Jej nie ruszy.

— Myśmy się wycwanili i potrafimy już złapać go za rękę.

— Nie chcemy już grać w ping-ponga.

— Mnie odpada kora mózgowa, bo pracuję na dwusiarczku. Nie wolno nam opuszczać stanowiska pracy nawet na minutę.

— Cały czas słyszymy, że „nie widać tu ani jednego fachowca”, że „pracownikom brakuje dobrej woli”.

— To po naszym liście do związków wstąpiła cała administracja. Urzędasy się boją, bo decyzje podejmowane są apodyktycznie.

— Dyrekcja nie liczy się z naszym zdaniem. Już zapowiadają kolejną reorganizację.

— Tyle serca dajemy dla zakładu. Byłaby szkoda, gdybyśmy odeszli.

— Jonometr przejmowałam zaledwie w parę godzin. Nikt mi nie pomógł.

— Komisja z Urzędu Wojewódzkiego szukała przede wszystkim prowodyrów „lewej” organizacji.

— To wszystko wygląda może mało- stkowo, ale to jest nasze życie zawodowe, na to tracimy czas, miast wskazywać na zagrożenie.

— Wszyscy jesteśmy młodzi i chcemy się czuć potrzebni. Ale na co mamy wpływ?

— Nie ma sprzętu przeciwpożarowego.

— Gaz toczymy z 25-kilogramowych butli.

— Nie ma instrukcji obsługi zachodnich urządzeń.

— Poprzednio było inaczej. Urządzenia i sprzęt wysokiej klasy to zastęga poprzedniego dyrektora.

— Teraz nawet o papier milimetrowy trzeba się kłócić.

— Dobra wola już się kończy.

— Nie wolno wyjść na powietrze, by złapać tlenu, bo dyrektor zakazał. Odebrano mi za to dziesięć dni urlopu.

— Jesteśmy rozgoryczeni.

— Gdzie szukać naszych praw?

— Czujemy się natrętami przypominając o załatwianiu wcześniejszej, opieki socjalnej, nawet zwykłej delegacji.

Za dwa dni Jarzębowski powie: Dyrektor jest po to, aby rządzić.

ANTRAKT

Nikt z nich nie należy do partii, stronnictw politycznych, organizacji społecznych i związków zawodowych. Samorządu pracowniczego ustawa w ośrodku nie przewidywała. Jawi się pytanie: Co ich łączy, dlaczego więzi, które skłoniły ich do napisania listu do poważnych organów władzy są tak mocne, że wytrzymały presję strachu przed konsekwencjami grozącymi z tego tytułu? Służbowymi i moralnymi. Wydawać by się mogło, że cała dwunastka i — jak twierdzi — wielu ich sympatyków w ośrodku, mogłaby stracić zaufanie do wszystkich i wszystkiego. A jednak...

„ANIOLKI” DYREKTORA?

W sobotni poranek po raz wtóry odwiedzamy ośrodek. Świeci słońce. Dyrektor jest zdenerwowany. My również czujemy ciężar odpowiedzialności zrzucony na nas przez autorów listu. Rzadko zdarza się, by szeregowcy zdobyli się na odwagę zarzucenia tyłu „przestępstw” swojemu generałowi.

Doktor Sałacki „podpiera się” swoim zastępcą i dwoma najbardziej zainteresowanymi sprawą kierownikami. Wyciągamy list i pytamy:

— Zna pan to?

— Nie, nie znam, nie wiem, o co chodzi.

— Jest to list, który pracownicy ośrodka wysłali do CKKP, a kopię do nas.

— Aaa, to znam, choć tylko wrywkowo. Przeczytano mi to podczas przesłuchań prowadzonych przez komisję z Urzędu Wojewódzkiego.

— Co pan sądzi o zarzutach stawianych panu w tym piśmie?

— Panowie chyba wiedzą, co działa się tu za czasów „Solidarności”?

— To jest poważny zarzut...

— Ja nie nie sugerowałem, ale pozwólcie panowie, że zacznę od początku. Po pierwsze, zarządziłem ściśle przestrzeganie ustawy o trzeźwości. Zdarzały się bowiem przypadki wykorzystywania samochodów służbowych do jazdy na autostradę po piwo. Ukróciłem te praktyki, co spowodowało niezadowolenie wśród części załogi. Po drugie — dyscyplina pracy. Kolejne moje zarządzenie dotyczyło podpisywania listy obecności, co nie było do tej pory praktykowane.

Polecilem, aby po pięciu spóźnieniach w kwartale wyciągane były konsekwencje w postaci potrącenia jednego procenta premii, od 7 do 10 — dwóch proc., a powyżej dwudziestu spóźnień — 20 proc. premii.

To prawda, że mówiłem na zebraniach, że jeśli komuś nie odpowiada przestrzeganie dyscypliny — niech się z mojego ośrodka zwolnią. Pomimo tych zarządzeń nikt z powodów dyscyplinarnych nie został zwolniony.

— A może doprowadza pan do tego, że ludzie sami się zwalniają?

— Nie rozumiem pytania.

— Kto wydał zarządzenie o zakazie opuszczania stanowiska w czasie ośmiu godzin pracy?

Do dyskusji włącza się kierownik „pomiarowców” dr Dębosz.

— Ja wydałem takie zarządzenie. Wiem, o co chodzi. Jak się domyślam, sprawa dotyczy mojego pracownika Adama Michalskiego. On jest poborowym, odpracowującym służbę w naszym zakładzie. Trzygodzinne towarzyskie herbatki były w naszym zakładzie codzienną praktyką nie tylko w jego wydaniu...

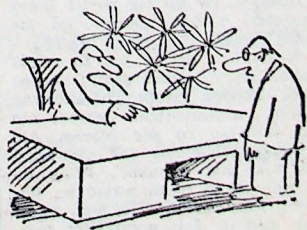
(Ciąg dalszy na str. 21)

Juika



-ODWAŻNY TEN KUSKA, POWIE-
-DZIAŁ SZEFOWI CO O NIM MÓWI
-NOWIAK.

Juika



-DOSZED DO MNIE ŻE WAM
-SIĘ ŻŁE PRZYSNIEEM.

Wejście absolutne

Pan Zygmunt był jedynym spośród piętnastu, który nie odmówił. Ale zażądał całkowitej dyskrecji zagwarantowanej na piśmie. Poza tym żadnych magnetofonów, żadnych nagrań. Wszystkie informacje do notesu. Dekonspiracja oznaczałaby wypadnięcie z „branży”, a może i co gorszego. Pan Zygmunt w swej karierze wręczył tyle lapówek (podczas rozmowy będzie unikał tego słowa, zastępując je eufemizmami: „prezent”, „rewanż” lub „argument”, że wolałby ich nie sumować. A już z pewnością nie chciałby, aby kazano mu to robić, żeby „sprawiedliwości stało się zadość”. Poza tym nie dopuszcza myśli o jakiegokolwiek „winie”. Owszem „prezenty” rozdawał. Ale korzyści nie czerpał dla siebie. Czasem nawet dekladował do interesu. Nie jest lapownikiem — profesjonalistą pracującym na własny rachunek. Jest po prostu ZAOPATRZENIOWCEM.

Ma około pięćdziesiątki, przeciętną powierzchowność i ujmujący styl bycia. Ten styl to rzecz bardzo ważna. Nawet się tego uczył. Działy zbytu w przedsiębiorstwach i centralach handlowych coraz bardziej się feminizują. A z kobietami, zwłaszcza tymi, które decydują o „być albo nie być”, trzeba postępować umiennie. Tu nie wystarczy zwyczajny „argument”, tu potrzebny jest jeszcze „wersal”. Pan Zygmunt z rozrównaniem wspomina czasy, kiedy wszystkie kluczowe funkcje zajmowali mężczyźni. Kiedy sprawę stawiało się jasno i wykladało na stół „argument” partner albo mówił O.K. albo się krzywił. To były interesy! Łza się w oku kręci...

A zaczęło się tak:

„Pan pewnie nie uwierzy, że gdyby ktoś przed dwudziestu laty powiedział mi, że zostanę zaopatrzeniowcem, to bym go wysmiał? Właśnie. Ale jest prawda, że ani mi to było w głowie — włożyć się po Polsce, tulać się po zapluskwionych hotelach najniższej kategorii, nie dojadać, nie dosypiać... Pracowałem normalnie w produkcji, jako majster. Taki już mam charakter, że nie dam sobie w kaszę dmuchać. I byłem znany z tego charakteru. Zakład się rozwijał. Ciagle czegoś brakowało. Z powodu tych braków urządziłem awantury. Podczas kolejnej szef zaopatrzenia mówi mi: „Skoro jesteś taki kozak, to przyjdź do nas i pokaż co potrafisz”. Myślałem, że żartuje. A on nie. „Przyjdź — powiada — dostaniesz większą gażę niż masz, do tego delegację, premie itd. Jeśli się sprawdzisz, nie pożałujesz”. I poszedłem. Ale z jakimś naiwnym wyobrażeniem o zawodzie! Myślałem: wypiszę zamówienie, dostanę potwierdzenie, w odpowiednim terminie wysyłę samochód — i załatwione.

Wie pan, jaki był ten pierwszy raz? Do końca życia tego nie zapomnę. Wezwał mnie szef i mówi: „Pojeździsz do T. załatwić opory. Masz tu zamówienie, upoważnienie, delegację. Kryśka ci wypisze. Zaliczka ci potrzebna? Jak nie, to nie. Acha, tu masz jeszcze protokół awaryjny. Pokaż im go i powołaj się na nasz priorytet, bo inaczej cię wykopią”. No i pojechałem. Pokazałem protokół, a jakże, i powołałem się jak należy na priorytet. Pan od oporów pokłonił głową, że niby wszystko zrozumiał, i oznajmił: „Masz pan sprawę załatwioną”. Pytam kiedy mogę towar odebrać. A on na to: „Wracaj pan spokojnie do domu, przysyłamy zawiadomienie”. No i wróciłem. Szef wpadł w szal: „Idioto, tę g... pieczętkę na zamówieniu to ja mogłem załatwić korespondencyjnie! Opory są potrzebne, a nie pieczętki! Czy ty nie rozumiesz, że oni cię zbyli? Bierz delegację, jedź i bez oporów mi się nie pokazuj”.

Pytam kumpla z działu jak to załatwić. A on: „Stary, uniwersalnej recepty nie ma. Musisz faceta potraktować odpowiednim... argumentem. Jeszcze nie spotkałem takiego, co nie bierze. Ale musisz go obwachać, bo jak się zrazi to ci już nikt nie pomoże”. Walę do szefa, bo niby skąd mam wziąć na ten „argument”. Szef na to: „Od tego masz łeb, żebyś myślał. Jak wymyślisz opory, to ja wymyślę jak ci to zrekomensować”. Pojechałem do T. Facet od oporów nieugięty. Nie i koniec. Zrobił mi wykład z zasad zaopatrzenia i zakończył zgryźliwie, że będzie lepiej, jeśli zdam sobie sprawę, że mój zakład nie jest pępkiem świata. Ja do kierow-

nika. Słyszę to samo. Do dyrektora nie wpuścił. Schodzę na dół, kompletnie skołowany. Zaczepia mnie dziewczyna. „Pan taki młody, niedoświadczony, żal mi pana. Na pana Rysia (ten od oporów) proszę się nie gniewać. On już taki jest — zasadniczy. Poza tym jest przepracowany, dom buduje. Pan wie ile z tym kłopotów...” I poszła. Myślę sobie: to nie był przypadek.

Wysuplałem z portfela pięć setek, włożyłem w kopertę i wałę do biura. Stałem obok biurka pana Rysia i dyskretnie upuściłem kopertę. Udał, że nie zauważył. Upłynęła chwila, nim się schyliłem, podniosłem i podałem panu Rysowi mówiąc: „Bardzo przepraszam, dokument panu upadł. Wziął i schował do szuflady. Zaczekaj pan w korytarzu. Skoczmy do szefa produkcji — powiedział. Wyszedł po pięciu minutach. „No widzisz pan, trzeba było tak od razu. Opory masz pan jak w banku. Ale za to, żeś mnie pan podpieprzył u kierownika i w sekretariacie, dokończysz jeszcze dwie setki — za straty moralne”. Wróciłem do zakładu z oporami. Szef szalał z radości. No i dostałem półtora tysiąca premii. Tak się to zaczęło.

Teraz, proszę pana, to ja jestem stary rekin. Wiem jak funkcjonuje system. Formalnie to jest tak. Składa się zamówienie u producenta. Producent z ilustracją zamówień robi zbiorówkę i własny bilans. Potem robi się bilans na szczeblu resortu. Potem dostaje się potwierdzenie zamówienia. Prawie zawsze okrojone. Potrzebujesz pan tysiąc, a dostajesz potwierdzenie na czterysta. Sztuka polega na tym, żeby zdobyć te sześćset, chociaż sztuką bywa czasem także zdobycie tych potwierdzonych czterech setek. I tu wkracza system nieformalny, czyli jak pan go nazwał „mafijny”. Polega on na posiadaniu tak zwanych wejść. Są wejścia absolutne i wejścia doraźne albo kombinowane. Co to znaczy? Wejście w ogóle oznacza stosunki osobiste z odpowiednim branzystą w dziale zbytu producenta. Mając wejście jest się człowiekiem z systemu, traktowanym na innych zasadach, a więc priorytetowo. Zakres tego priorytetu zależy od rodzaju wejścia. Najkorzystniejsze jest wejście absolutne. Oznacza bardzo zażyłe stosunki z kierownikiem działu zbytu, z dyrektorem handlowym, z dyrektorem naczelnym. Ale o takie wejście nie jest łatwo. To kosztuje. Odbija się na portfelu i na wątrobie. Ale za to znakomicie procentuje. Mając wejście absolutne można gwizdać na wszystkie rozdzielniki, przydziały, programy operacyjne i zamówienia rządowe. Towar dostanie się w każdej sytuacji...

Było tak. Wzywa mnie dyrektor i mówi: „Panie Zygmunie kochany, potrzebna jest maszyna (pan wybaczy, że nie powiem, o jaką maszynę chodziło bo bym nie namierzył...). Mówi więc dyrektor: „Ja wiem, cholera, że nie złożyliśmy zamówienia, ale technologom dopiero teraz wpadło to do głowy. Ta firma co te maszyny produkuje pracuje pod program operacyjny. Ja wiem, że wydaracie od nich tej maszyny jest prawie niemożliwe. Ale w panu nadzieja, panie Zygmunie. Stań pan na głowie, a załatw pan”. Tak się złożyło, że miałem w tej właśnie firmie wejście absolutne. Dzwonię więc do kumpla i mówię: „Stary, jest gardłowa sprawa”. A on: „Przyjeżdżaj, podumamy”. Włożyłem w dyplomatkę zamówienie, pięć flaszek żytniej, wsiałem w stara i w drogę. Wpadam do biurowca, kumpel mnie pyta: „Hotel zamówiłeś? No to zamów, bo trzeba będzie pokoczować”.

Wieczorem przyszedł do mnie z pełną listą odbiorców maszyn, które mnie interesowały. Wybrałem najbliższą, przed południem, do zakładu w mieście Ł. na przeciwległym krańcu Polski, wysłaliśmy telex następującej treści: Po odbiór zamówionej maszyny proszę zgłosić się jutro do godziny 15. Nieodebranie maszyny w wyznaczonym terminie będziemy uważali za rezygnację z zakupu.

Byliśmy pewni, proszę pana, że w tym terminie odebranie maszyny będzie możliwe tylko przy użyciu śmigłowca. Mogłem więc spokojnie „moją” maszynę załatwiać na stara i wracać do domu.

Ewentualne konsekwencje? Jakie konsekwencje? Zakład, któremu „skreślił” maszynę może oczywiście pięknie się wyżyć — na przykład w resorcie. Ale

znaczy to tyle, co składanie zażalenia do pana Boga. Minister mu tej maszyny nie wyprodukuje, najwyżej komuś odbierze, a producent zawsze znajdzie usprawiedliwienie.

Wejście doraźne jest gatunkowo gorsze. Opiera się głównie na bardzo luźnych kontaktach lub kontaktach awaryjnych doraźnie w sytuacjach awaryjnych. Grać trzeba wtedy na całego, nie mając pewności co do rezultatu. W takich przypadkach najczęściej zależy od siły argumentów. Najgorzej z babami. Chłopa można wziąć na wódkę, bez żadnych ceregieli, rzadko który odmówi. Z pięcią odmienną idzie trudniej. Na rynku brzydza, bombonierzy pan nie kupi czekolada nawet za trzy stowy nie robi już takiego wrażenia, a kwiaty mogą stanowić jedynie dodatek do rewanżu za przychylność.

Miałem niedawno taki przypadek. Trzeba było wydebić towar ponad przydział. Kierownika zbytu — niestety babę — znałem tylko z rozmów telefonicznych. Myślę sobie: pojadę, zobaczmy co się da zrobić. Kupiłem czekoladę i „miotłę” w celofanie. Wpadam do biura i beczelnie składam pani kierownicze serdeczne życzenia z okazji urodzin. Pani kierowniczka, kompletnie zaskoczona dziękuje i wyjaśnia, że urodziny obchodziła dokładnie pół roku temu. Całując rączki grzecznie mówię, że to nie ma znaczenia czy dzisiaj czy przed pół rokiem, że teraz jest jeszcze młodszą niż przedtem, że przyjaźń, sympatia i owocna współpraca. A w duchu myślę: chwyci przynętę czy nie chwyci. Numer z urodzinami działa zazwyczaj bezbłędnie. Gdyśm — już wyściskali i wyluszczyłem sprawę, pani kierowniczka zmieniła ton: Panie Zygmunie, powiada, nieba bym panu przychyliła, bo pan taki miły i sympatyczny, ale Bóg mi świadkiem, nie mogę. I tak w kółko. Ostatecznie dała słowo że jak się coś „urodzi” to oczywiście natychmiast powiadomi. Na koniec uderzyła z prośbą: „Kochany panie Zygmunie, gdyby pan wiedział, gdzie można dostać odkurzacz byłabym bardzo zobowiązana”. No tak, pomyślałem sobie, nie ten argument. Ale skąd ja ci babo wytrzasnę odkurzacz?

I to był proszę pana wypadek przy pracy z wejściem doraźnym. Tak czasem bywa. O wiele skuteczniejsze jest natomiast wejście kombinowane albo inaczej kooperacyjne. Polega ono najogólniej na powiązaniu kilku wejść absolutnych. Jeśli się długo siedzi w branży, to ma się szansę na takie powiązanie. Ma jednak tę wadę, że zabiera dużo czasu, ale jest prawie niezawodne.

Musiałem kupić puszkę. Umownie, bo oczywiście nie powiem panu co się znajdowało w tych puszkach. Nie miałem u producenta żadnego wejścia, a na doraźne nie liczyłem. Nawet szpilki nie dałoby się wcisnąć w ich rozdzielnik. Musiałem więc pójść na kombinację.

Zadzwoiłem do kumpla, który jak mi się zdawało, mógł mieć jakiś kontakt. Ale okazało się, że nie ma. Dał mi za to telefon i „list polecający” do swego kolegi z systemem, którego ja nie znałem, a który mógł coś móc. Zadzwoiłem. I dostałem następny telefon. Po trzech dniach natknąłem się na faceta z wejściem absolutnym w te puszkę. Umówiliśmy się, że pojedziemy razem, bo tam trzeba przyjąć z wprowadzającym. Oczywiście nie muszę panu dawać, że w każdym punkcie kontaktowym trzeba było coś obiecać. Bo nie ma nic za darmo. Ostatecznie przywoziłem te puszkę i mam tam właśnie wejście. Koszt całej operacji: towary w trzech asortymentach dla skrzynek kontaktowych, wczaśy dla dyrektora od puszek i dziesięć tysięcy z prywatnego budżetu. Tak, tak oczywiście z nawiązką zrekomensowane przez firmę. Ale czy jest inny sposób?

Wie pan, tak sobie czasem myślę, że gdyby któregoś dnia system zaopatrzenia w kraju zaczął funkcjonować normalnie, to znaczy dzwonił pan do producenta, a on mówi: proszę uprzejmie, oczywiście dostarczymy, proszę tylko podać ilość i termin dostawy — to chyba nie umiałbym pracować. Zanu-dziłbym się na śmierć...

Zwierzchnia zaopatrzeniowca spisał, jak umiał.

Janusz Dobrzański

ŚWIE



Zdjęcia:

Janusz Budnicki

eta

na służbie



Kiedy
zasiądziemy
przy wigilińnym
stole pamiętajmy
także o nich. O wszystkich
tych, którzy pracują w święta.
O kolejarzach, służbie zdrowia,
milicjantach, ciepłownikach, hutnikach,
strażakach, drogowcach, gazownikach,
energetykach, łącznościowcach. O wszystkich
tych, którzy troszczą się o nasze spokojne święta.

Boso, ale

Wojnę w mojej rodzinnej wsi Kopalni kolo Blachowni oznajmiły syreny 1 września 1939 roku. Nauczyciel miał radio na słuchawki, tam wszyscy pobiegli i słuchali komunikatów. Strzałów nie było słychać, tylko syreny buczały. We wsi zaplanował popłoch. Ludzie rzucają dobytek na furmanki i uciekają na wschód — byle dalej od Niemca. W całej wsi tylko ojcowie zostali. Nie mieli czego wrzucać na furmankę, ani nie mieli furmanki. W domu odkąd pamiętam, zawsze bieda. Ojciec stał bez pracy, bo socjalista. Zdrowia też nie miał, na żołądek niedomagali i był operowany. Więc gdy tylko podrosłem i skończyłem 4 klasy, bo tyle było w Kopalni, oddano mnie na służbę do gospodarza, który miał mnie karmić, odzież i dalej do szkoły posyłać. Ale gdzie tam. Od rana do wieczora harowałem, a jak co' nie zrobiłem po myśli gospodarza, to i baty się obrywały. A że mały byłem i waty, to nie zawsze ze wszystkim dawałem sobie radę.

Gospodarze też uciekali, furmanką, a ja z tyłu wlokę na łańcuchu cztery krowy. Nogi obolałe i poobcierane do krwi. Brat gospodarza mówi: „Daj mu chociaż rower, na bosaka daleko nie ujdzie”. Ujechałem kawalek, pech chciał, że któraś krowa szarpnęła, koło zawadziło o wóz i po rowerze. Myślałem, że gospodarz zakatuje mnie na miejscu. Pod Lelowem między uciekinierów mieszało się wojsko. Nadleciały niemieckie samoloty, ostrzelały drogę. Nam udało się uciec cało. Któregoś dnia pa-trzymy — wojska niemieckie. Nie ma

śmiechy, pokazują mnie palcami — jakiego to robotnika Kaiel sobie przywiózł. To dlatego, że nieduży byłem.

W najbliższą niedzielę przysłała do mnie ta kobieta z pociągu. Pogadaliśmy i już nieco raźniej. Czułem się bardzo zagubiony, tym bardziej że języka nie znałem. Zaprosiła mnie do siebie. „Za tą górka jesteśmy, odwiedź nas”. Którejś niedzieli, a było to zimową porą, wybrałem się. Zasiadłem się i w drodze powrotnej zabłądziłem. Zmarznięty i głodny natrafiłem na jakąś szopę w polu, ale i tam nie znalazłem ochrony przed zimnem. Gdzieś daleko słychać psy. Niech się dzieje co chce, idę tam. Pozwolili wysuszyć się przy piecu, nakarmili, ale na noc zamknęli na klucz, w pokoiku na piętrze. W południe przyjechał żandarm i zawiózł do Kälbofeld do gospodarza. Ten nie chciał słuchać tłumaczeń, tylko bił. Mścił się za byle co, zawiniłem czy nie. Lina, to znaczy jego żona była całkiem inna. Nieraz paczkę zrobiła, włożyła trochę masła, ciasto i wysłała do moich, do domu, bo wiedziała, że tam młodsze rodzeństwo i bieda. Zimą, a spałem na stryszku nad stajnią, nagrzała cegłę i kazała wziąć do łóżka.

A sponiewierać mógł mnie każdy Niemiec, któremu nie spodobałem się. Dzieci pluły i kamieniami rzucali. Wyrastki z Hitlerjugend nieraz napadały na mnie gdy byłem sam w polu.

Dzień mój o Kaiela zaczynał się o 5 rano. Miałem 18 krów do obrzadzenia. O godz. 8 gospodyni podawała śniadanie: kawa z mlekiem, chleb z marmoladą, kawalek ciasta drożdżowego. Po śniadaniu do roboty. W pole albo do



Fot. Janusz Budnicki

już dokąd ani po co uciekać. Wróciliśmy.

Po wejściu Niemca — bieda. W pobliskim majątku u folksdojczy Majora za dniówkę można zarobić 25 kg ziemniaków. To nas ratuje przed głodem. Ziemniaki jemmy postne i bez soli, bo soli nie ma. W 1940 roku na przednówku głód coraz bardziej doskwierał. Niemcy nawołują, żeby do magistratu w Częstochowie zgłaszać się — robotę dadzą. Pojechaliśmy. Dwie starsze siostry i ja. Pospisywali i kazali iść do domu. Za jakiś czas przychodził sołtys i mówi, że do Blachowni do Arbeitsamtu mamy się udać. A tam informują nas, że do Niemiec na roboty pojedziemy...

Na drugi dzień pojechaliśmy do siostry, która mieszkała w Częstochowie. Na ulicy łapanka. Wpadłem. Zebrali nas 15, samych młodych mężczyzn i odprowadzili na posterunek. Spisali personalia. Dali jeść i kazali buty sobie czyścić, ziemniaki obierać, posterunek sprzątać. Po kilku dniach załadowali do pociągu towarowego. W wagonach jeszcze obornik leżał po koniach. Po jednym dniu jazdy dali kawalek chleba z marmoladą i garnuszek kawy zbożowej. Drugiego dnia tyle samo. Kilka dni jechaliśmy, w strasznym smrodzie. Jak zwierzęta robiliśmy pod siebie. Bo niby gdzie?

Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Byłem sam. Siedziałem w kacie i chlupałem. Jakaś kobieta, z córką w moim wieku, pocieszała: „Cichaj synek. Nie bój się. Będzie dobrze”.

W Oleśnie punkt zborny. Jakies 1,5 tys. ludzi. Tydzień trzymali nas w budynku. Z Oleśna do Eisenach powieźli już w wagonach osobowych. Stoimy w hali dworca, a przed nami chodzą „bam-bry” i przyglądają się. Na mnie dostał przydział Kaiel Alfred z Kälbofeld, pow. Eisenach. Podeszła do nas znajoma kobieta z pociągu, pyta Niemca o adres dokąd mnie zabiera. Okazało się, że ona będzie w pobliżu. To mnie nieco podniosło na duchu. 20 km wiozł mnie Niemiec pociągiem, później 2-3 km przemierzaliśmy na piechotę. We wsi

lasu wycinać suche krzaki, łoża, zwozić drzewo. Koło domu też było dość roboty: nanieść ziemniaków do parnika, pognieść je, narząbać drew. Kaiel sam był wół do roboty, nawet w niedzielę wyjeżdżał w pole i innych gonil. Tępy fanatyk Hitlera. Nawet dzieci pozdrawiał przez wyciągnięcie ręki.

W 1941 roku przyszło pismo — wszyscy gospodarze ze swoimi robotnikami w oznaczonym terminie mają stawić się w gminie. Pojechaliśmy. Urzędnik przeczytał zarządzenie: „Cudzoziemskim robotnikom nie wolno poruszać się po 21 godzinie ani oddalać się poza obręb wsi, nie wolno spożywać posiłków razem z Niemcami, i od tego dnia każdy musi mieć na ubraniu przyszyty emblemat oznaczający narodowość”. Dostałem sześć liter „P” — na białym tle czarna litera „P” z obwódką czarno-fioletową.

Mimo zarządzenia często jadałem razem. Gospodyni nie zawracała sobie głowy przepisami, gdy brudni przyjeżdżaliśmy z pola i w pośpiechu zjadało się obiad, by dalej ruszyć w pole. Kaiel miał 30 ha ziemi, więc było co robić. Pewnego razu, gdy jedliśmy razem obiad, zastał nas żandarm. Lina długo musiała tłumaczyć się, że to zupełnie wyjątkowa sytuacja, bo zwykle jadamy osobno. Zimą zdarzyło mi się zachorować. Przebiegłem się, nie mogłem nic robić, tak byłem osłabiony. „Lenisz się” — mówił gospodarz i tłucze mnie. Przyszła gospodyni, zobaczyła, że ze mną naprawdę źle. Zawołała lekarkę. Pięć dni leżałem w łóżku i łykałem lekarstwa. Po tym czasie miałem zgłosić się do przychodni po leki. Wstałem i jak zobaczył to Kaiel, od razu zapędził do roboty: „Jak możesz chodź, to możesz też pracować”. Nie było gadania.

Odkąd w gospodarstwie naprzeciwko pojawił się Polak, było już raźniej. Spotykaliśmy się wieczorami, żeby pogadać, najczęściej w obozie albo zimą u sołtysa, który też miał robotnika Polaka, z Poznańskiego. Sołtys był bardzo dobrym człowiekiem, wyrozumiały, nigdy na nikogo ręki nie podniósł. Był nam życzli-

wy, świadczy o tym fakt, że nas ugasił ciastem i herbata.

W pobliżu Kälbofeld znajdował się polsko-francuski oboz jeniecki. Każdego rana strażnicy przyprowadzali do wsi grupę jeńców, a wieczorem odprowadzali. Jeden z Francuzów pracował u Kaiela. W listopadzie 1941 roku jedziemy razem w pole, wieziemy obornik. Francuz zagaduje, jakbym się zachował, gdybym spotkał uciekinierów z obozu? I w końcu wyjawia o co mu chodzi. W lesie sąsiadującym z polem, na które jedziemy, ukrywają się jego koledzy zbiegli z obozu. Trzeba dostarczyć im żywność i odzież. Zgodziłem się na to. Pewnego razu, gdy na skraju lasu rozmawiałem z ukrywającymi się Francuzami, dojrzał to gajowy.

Wieczorem do Kaiela przychodzi żandarm i pyta: „Gdzie wasz Polak?” Lina wyczuła coś niedobrego i mówi, że jeszcze raz pojechałem do lasu po pniaki. Żandarm poszedł. Lina przybiega do mnie na stryszek i mówi: „Johan, uciekaj! Był po ciebie żandarm. Coś ty zrobił? Do lagru cię wsadzą”. Do niczego się nie przyznaję, ale do rana już oka nie mogłem zmrzucić. Nie wiem co robić. Uciekać — ale dokąd? Zostać? Nieraz straszili mnie „lagrem”, ale nie wydawało mi się to takie straszne. W obozie pod Kälbofeld jeńcy mieli lepiej niż ja. Mieszkali w barakach, pracowali tylko osiem godzin i nikt ich nie bił. Lepiej być tam niż u Kaiela, myślę sobie. Rano, a była to niedziela, Linka nalega — uciekaj! „Nie będę zgłaszać do poniedziałku twojej ucieczki” — zapewnia. Dokumentów przy sobie nie miałem, trzymał je pod kluczem Kaiel. Ale język przynajmniej już dobrze znałem. Zda-wałem sobie sprawę z ryzyka, ale zdecydowałem się — uciekam. Na stacji kupiłem bilet do Erfurtu, a stamtąd do Reichenbach (Dzierżoniów). Tam na robotach była moja siostra Weronika. Dokładnie w majątku Mellendorf pod Dzierżoniowem. Majątek należał do niemieckiego generała, który podobno brał udział w zamachu na Hitlera. Gdy do Mellendorf przyjeżdżał generał, najbardziej cieszyli się Polacy. Z jego polecenia robotnikom wydawano więcej niż zwykłe żywności, nikogo nie bito, a nawet pozwalano urządzać pończotkówki. Trafiłem właśnie na taką sielankę, nawet bimber popijano.

Alle do pracy w Mellendorf nie chcieli mnie przyjąć, bo nie miałem „papierów”. I druga rzecz, że mogli zatrudnić tylko tylu pracowników na ilu dostali przydział. W sobotę z sąsiedniego majątku przyszło dwóch Polaków i mówią, że tam u nich jednego robotnika potrzebuja, bo Niemca który do tej pory z nimi pracował zabrali na front. Poszedłem. Przyjął mnie Niemiec, starszy oborowy, szwajcar mówili na niego. Przydzielił mi do obrzadzania i wydojenia 20 krów. Wstawałem o trzeciej rano, bo o piątej już byli z mleczarni po mleko. Nie nadążałem z dojeniem i za to każdego rana obrywał mnie lanie. Do godziny dziewiętej czyściłem oborę, zmieniałem ściółkę, jeździłem po mieszanke. Później czas wolny, a po południu ok. godz. 17 znów dojenie, cedzenie mleka, ustawianie kanek z mlekiem w wodzie.

Spotkałem Polaka z Mellendorf, pokazałem spuchnięte od dojenia ręce i mówię mu: „Powiedz Weronce, że mnie tu leja, dłużej nie wytrzymam, ucieknę”. Rozmowę podsłuszał jeden z Polaków i doniósł szwajcarowi, bo bał się, że jak ja ucieknę, będzie musiał jakiś czas robić za dwóch. Ten skatował mnie i zabrał ubranie. Jedną z Niemek, też pracownicą majątku, poradziła: „Idź do Arbeitsamtu, zgłoś, że cię pobili, na pewno go ukarzą”. Szedłem 8 km boso i tylko w koszulce, z pokrwawioną twarzą. W Arbeitsamcie mówię co i jak, tyle że nie wspominam o ucieczce. Pytają o personalia. Podałem, z tym że zmieniałem datę urodzenia. Pomyślałem, że w razie czego wypię się, że to kto inny uciekł, nie ja. Zadzwonili po żandarm. Żandarm wziął mnie na ramę roweru i zawiózł z powrotem. Oborowy czekał już z batem, bo czas krowy doić. Dostałem swoje ubranie, ale do roboty już nie wróciłem. Zawiózł mnie żandarm do Dzierżoniowa i mówi: „Ratuj się jak możesz. W Mellendorf już cię szukają”. „Masz pieniądze?” — pyta. Nie miałem. Dał pięć marek. „Do Częstochowy nie jedź — radej — do zamkną. Najlepiej przyciąż się na stacji i jak będzie jechał jakiś transport, dołącz do niego, bo tam wszyscy bez dokumentów”.

Koło stacji kręciłem się chyba ze cztery dni i nic. Kolejarze spoglądali na mnie podejrzliwie. Pieniądże skończyły się, nie miałem co jeść. Za torami stały

barakowozy, mieszkali tam Polacy. Zawołał, że coś kombinuję. Zawołali do siebie, nakarmili. Doradzili, by jechać na zachód. Tam będę miał większą szansę natknąć się na jakiś transport. Tak znalazłem się w Erfurcie.

Na dworcu stoją dwa transporty. Jeden z Polakami skierowany na zachód, drugi wiezie Ukraińców na wschód. Wahałem się, który wybrać. W końcu wsiałem do tego drugiego. Byłem głodny. W przedziałach siedzieli ludzie, na kolnach trzymali węzki z jedzeniem, niektórzy jedli. Nie mogłem oderwać od nich oczu. Usiadłem. I jak spod ziemi wyrósł przede mną żandarm. Do rana przesiadłem w komisariacie w blaszanej klatce. Rano przesłuchanie: „Skąd się wziąłeś w pociągu?” „Uciekłem mi transport”. „Skąd jechałeś?” „Z Częstochowy”. Dzwonią na dworzec. To był transport z Krakowa. Zawieźli mnie na gestapo. Co dzień przesłuchanie. Trzy miesiące katowali. Kiedy przestali bić, myślałem, że zwolnią. Ale gdzie tam! Któregoś dnia zajeżdża pod więzienie samochód. Pięćdziesięciu nas zabrali, zbitych, wygłodzonych, na pół żywych ludzi. Na dworcu zapakowali do pociągu, a w Weimarze już czekały na nas samochody. Obok esesmani. I zaczęła się moja droga przez mękę. Kopali, dźgali bagnetami, raus, raus — zapędzali do samochodów.

Buchenwald. Stoimy przed obozem. Przez bramę do obozu wlewa się masa wynędzniałych postaci. Wracają z roboty. Po raz pierwszy widzę pasiaki. Orkiestra gra. Nam każą odwrócić się tyłem do bramy, nie patrzeć. Nie mogę opanować się. Odwracam głowę i... to wystarczy bym oberwał. Do obozu wpuszczają nas dopiero po apelu. Najpierw łaźnia. Rozbieramy się do naga. Ubranie każą złożyć w koszkę, drobne osobiste przedmioty do czapki. Każdy dostaje dwa numerki. Jeden wkłada do rzeczy osobistych, drugi trzyma w ręce. Więźniowie gołą nas i strzygą. Następny etap — kocioł z zimną wodą (chyba dezynfekcja), trzeba zamoczyć się razem z głową. Temu kto nie chce pomagać — łapią za głowę i trzymają. Jedni wytrzymują, inni topią się. Komisja lekarska. Jeżeli u kogoś coś stwierdzą — już po nim, ginie na miejscu. Dali masę, kazali nasmarować wszystkie owłosione miejsca na ciele. Przynieść — zimna i gorąca woda na przemian. Ludzie wyskakują spod wody, a esesmani tylko na to czekają, tłuką kijami. Potem bieg do przebieralni. Oddajemy numerki, dostajemy obozowe ubranie: pasiaki, koszulę, kalesony, skarpety z dziurami, drewniaki. Od razu przydzielają numery obozowe. Od tego momentu nie mam już nazwiska. Jestem numerem 9772. Uwieramy się w bieg, oprawcy z kijami, czuwają, by nikt nie marudził.

Przez kilka dni w bloku numer 17 uczymy się reguł obozowego życia, przyszywamy winkle, ścielimy łóżka. Zrobili nam zdjęcia — z przodu i z profilu. Założyli kartoteki. Pytają gdzie się urodziłem. Podałem, sprawdzili. W księdze chrztów u proboszcza nie byłem zarejestrowany. Później dowiedziałem się — dlaczego. Otóż gdy zanieśiono mnie do kościoła, ksiądz owszem pokropił mnie wodą i ochrzcił jak nakazuje chrześcijański obowiązek, ale do księgi już nie wpisał, bo ojciec nie miał dwóch złotych, a ponadto był socjalistą. Dopiero w 1934 roku, gdy chrzczono brata, ojciec i mnie zapisał. Ale o tym to ja wtedy nie wiedziałem. A Niemcy sprawdzili tylko kilka roczników sąsiadujących z rokiem 1924, który podałem jako datę mojego urodzenia, choć faktycznie urodziłem się w 1925 roku. Nie mając pewności, czy mówię prawdę, maltretowali mnie w obozie jeszcze przez pół roku. W domu, po mojej ucieczce z Kälbofeld gestapowcy nachodzili rodziców, byli pewni, że ukrywam się w domu. Dopiero gdy matka pokazała list z Buchenwaldu, w którym napisałem, że jestem zdrowy i dobrze mi się powodzi, bo tylko tyle można było napisać, dali spokój.

Po kilku dniach rozdzielono nas do właściwych bloków. Mnie przypadł blok 33. Blokowy to Niemiec, wiezień polityczny i bardzo porządny człowiek. W Buchenwaldzie przebywał od początku założenia obozu. Zoopiekował się mną. Byłem najmłodszym więźniem w bloku. Przydzielił mnie do komanda nr 3. Zamiataliśmy blok, sprzątałem łaźnię. I tak przez pół roku, aż natknąłem się na obozowego, który stwierdził, że się dekuje i że jest to za lekka jak dla mnie praca. Musiałem zameldować się na bramie. Tam jako goniec pracował Janek Królak z Częstochowy. Pomógł dostać się do komanda, które robiło karabiny.

do Polski

Pracowaliśmy po 12 godzin na dobę, od 7 do 20, z godziną przerwą na obiad. Ciężka taśmowa robota, trzeba było uwić się. Ale za to pod dachem. I dodatkowo dostawaliśmy po litrze zupy, litchej polewki z brukwi, ale zawsze to więcej jedzenia w żołądku. Nadzorca Steinbruch, wyjątkowo drań, pastwił się nad nami za byle uchybienie i bez przerwy straszył kamieniolami. Wkrótce miałem się dowiedzieć jak tam jest.

A wszystko zaczęło się od tego, że w porę nie zauważyłem esesmana i nie zdążyłem na czas zdjąć przed nim czapki. Za karę kopnął mnie z całej siły w kość piszczelową. Noga opuchła, zsiniała — stłuczone miejsce zaczęło się jęczać, rana nie goiła się. Blokowi polecił, żebym zgłosił się do izby chorych, uzgodnił to z lekarzem, swoim kolegą. Poszedłem po wieczornym apelu. Lekarz Niemiec trzy tygodnie przechowywał mnie w izbie. Od czasu do czasu wpadają esesmani — selekcja chorych. Kto za długo choruje, nie powinien żyć. Trzy tygodnie to dostatecznie długo by zasłużyć na kulę w łeb. Lekarz zdążył mnie ukryć w magazynku na lekarstwa, kartę też skrył. „Drugi raz już nie mogę ryzykować” — mówi. Wypisał sześć dni zwolnienia. Na apelu ustawiamy się w grupie chorych. Po apelu idziemy do piwnicy i zwijamy bandaże. Zajrzał do nas obozowy i mówi do mnie, że leń jestem i mam się zameldować na bramie. Tam wymierzają karę. Porcję batów dostalem. Za każdym uderzeniem muszę liczyć. Liczę: 1, 2, 3... do dziesięciu i znów od nowa: 1, 2, 3... Trzy dziesiątki naliczyłem i zemdląłem. Polali wodą. „Wiesz dlaczego aż tyle dostałeś?” — pytają. „Nie”. „To idź do bloku i dowiedz się”. Nikt z więźniów nie powiedział mi przedtem, że liczy się od zera. Całą noc przeleżałem na brzuchu, starsi opiekowali się mną, całą noc przykładali kompresy. A nazajutrz — do kamieniolomów.

Kamieniolomy znajdowały się poza terenem obozu, za koszarami SS. Pracowałem w zaprzęgu. Do długiego drąga zaprzęgało się po 8–12 ludzi. Ciągnęliśmy pod górę wagoniki wyładowane kamieniami. Nad wyrobiskiem siedział komandorführer, przyglądał się jak więźniowie pracują. Który mu podpadł, był wołany na górę. Jak wołają, trzeba iść. Stał przed nim, a on noga tylko pchnął i człowiek leci 30 metrów w dół. I trupa trzeba było nieść po pracy do obozu. Bo ile wyszło tyle miało wrócić do obozu — żywych czy martwych. Człowiek sam ledwo szedł i jeszcze nieboszczyka musiał taszczyć. Każdy też miał obowiązek przynieść do obozu po jednym kamieniu. Kamienie potrzebne były do prac budowlanych na terenie obozu. Trzeba było wykazać nie-mało sprytu by wybrać taki kamień, który wyglądałby na duży i nie był za-nadto ciężki. By jeszcze starczyło sił na dojście do obozu.

W kamieniolomach życie zależało od szczęścia: od tego czy twoja twarz spodobą się esesmanowi, czy nie. Ale również łatwo było zginąć w wypadku. Bywało tak, że ktoś się potknął w zaprzęgu, reszta traciła równowagę, nie utrzymali wagonika, który toczył się w dół masakrając tych, którzy byli z tyłu. W moim zaprzęgu raz wykołesała się kołeba, próbowaliśmy ustawić ją na szynach, i stało się — znów mam potłuczoną nogę, która przyczyni mi sporo kłopotów.

W nocy pijani esesmani lub na trzech-wo dla zabawy urządzają nam gimnastykę. Całą noc: padnij, powstań, skoki żabką. Nie wolno się przewrócić, bo już nie dadzą podnieść się, załutka. Nad ranem, jak połowa wróciła do bloków, to wszystko.

Na obiad — zwykła zupa z brukwi czymś „zaciepana” i parę kartofli w łupinkach — trzy, cztery, zależnie od wielkości. Pół biedy, gdy były zdrowe. Kto nie był wytrzymały na głód, nawet zginił. Ale taki długo nie pożył. Tam się o wolności nie myślało, tylko o tym, by wreszcie najęść się. Mogą mnie za-bić, nawet jutro, byleby choć raz mieć pełny brzuch. A jak się człowiek choć trochę najadł, to chciał żyć. Od czasu do czasu więźniowie dostawali paczki i wtedy solidarnie dzielili się. Z Guberni można było wszystko wysłać, ale z Rzeszy tylko 4 kg chleba. Nie wiedziałem o tym. Raz przyszła do mnie paczka. Otwieram — chleb cały zielony. Miesiąc paczka szła. Pomyślałem sobie — biedna matka nie miała nic innego do przysłania. Napisałem list do domu, żeby chleba mi nie przysyłała, bo mam go pod dostatkiem... Po powrocie dowiedziałem się, jak ten chleb był

pieczony. Nocą miała matka zboże w żarnach, a ojciec z młodszym rodzeństwem stali na straży, ponieważ posiadanie żaren było surowo zabronione. Wszyscy byli poinformowani, że mają je zdać. Piekła też nocą, żeby nikt nie poczuł zapachu...

Moja noga nie goi się. Janek Królak mówi, że w obozie organizują straż pożarną. Zapisują Polaków i Czechów. Radzi żeby zgłosić się, tam na pewno noga szybko się zagoi. Zapisalem się. Ubrali nas w mundury, berety, opaski: Feuerwerk, skórzane buty, poznaliśmy, że to polskie oficerki. Miesiąc czasu trwały ćwiczenia. Niespodziewanie przychodzi wieść, że szykuje się transport, straż też pojedzie. Ale dokąd? Nie wiadomo. Wszystkich dręczy niepewność, bo każda zmiana, to nowe, nieznane zagrożenie. To był nowy obóz — „Dora” koło Nordhausen. Nic tam nie było poza kawałkiem ogrodzonego drutem lasu. Na apelu staliśmy po kolana w błocie. Nie było gdzie spać, co jeść. Choroby zaczęły wykańczały ludzi. Po nocach alarmy, w dzień też. Był to już rok 1943. Naloty nieraz parę razy na dobę. Wozy bojowe straż stały 8 km od obozu. Alarm. Biegiem do wozów. Zanim dobiegniemy, alarm odwołany. Kładziemy się więc spać, po chwili znów alarm i znów bieg. Ci co pracowali, prosili Boga o alarm, bo to oznaczało przerwę w pracy. My w straży modliliśmy się o spokój.

Z moją nogą działo się coraz gorzej, puchła, a po biegu w bucie pełno krwi. Komendant zaprowadził mnie do Rapportführera. „Chcesz się wymigać od służby — wrzeszczy — sam to sobie zrobiłeś”. Wieczorem poszedłem do lekarza. Był to ten sam Niemiec, który ukrywał mnie w Buchenwaldzie. Znów przy pomocy zupełnie nieznajomego mi człowieka uniknąłem selekcji. Ten ktoś pośpiesznie, szepem w czasie apelu wskazał mi „bezpieczne” miejsce, w którym mam się ustawić. Dostałem się do komanda budowlanego, które w większości składało się z młodocianych więźniów. Tu wnet dostałem krwawą biegunkę, ale do roboty trzeba było iść. Koledzy ze straży dowiedzieli się, że ze mną źle. Przyprowadził lekarza Holendra ze szpitala SS. Zaprowadził mnie na izbę chorych, dał tabletki, dożywił. Po pięciu dniach wyszedłem. Pierwsze co ujrzałem to był stos trupów, góra ciał rzuconych byle jak jedno na drugie. To były ofiary biegunki. I ja mogłem być tam na tym stosie...

Zima, tegi mróz, a my nieraz po pół dnia stoimy na placu, bo esesmani nie mogą się nas doliczyć, kogoś brakuje. Stoimy tak długo, aż ten ktoś odnajdzie się. Raz po raz ktoś osuwa się i już nie wstanie, zamarnie na śmierć. To samo w czasie nalotów. Musimy stać tak długo, dopóki alarm nie zostanie odwołany.

Na każdym kroku znęcanie się. Za to, że zmylił nogę, że równo nie stoi w szeregu lub zwyczajnie, z powodu złego humoru esesmana. Niekiedy nie wytrzyma. Wieszają się, idą na druty lub wprost na strażnika, a ten strzela. Inni kręcą się koło kuchni, czekają na jakiś ochłap i tam giną. Mnie uratowała bieda, z którą żyłem się od dziecka. Uczucie głodu nie było mi obce. I teraz mogę nie jeść kilka dni z rzędu i głodu nie czuję, tylko głowa boli.

Po opuszczeniu izby chorych przydzielono mnie do innego komanda. Pracowaliśmy pod ziemią. W halach wyłobionych w górze. W tunelach, zamaskowanych od zewnątrz siatką mieściły się całe składy pociągów. Były też hale mieszkalne dla więźniów, gdzie spali stłoczeni na pięciopiętrowych pryzkach. Kto się tam dostał to już światła dziennego nie oglądał. Nikt dokładnie nie wiedział, ile naprawdę ich tam jest, sami Niemcy nie mogli doliczyć się. Nikt też nie dbał o to by mieli co jeść. Z wyżywieniem i u nas w obozie było coraz marniej. W górze mieściła się cała fabryka. Produkowano tam rakiet V-1 i V-2. Ale o tym dowiedziałem się dopiero po wojnie.

Najgorzej mieli Rosjanie. Nie dostawali paczek, nie mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz. Ale umieli sobie radzić. Raz wywalczyli, że na boczny stoi wagon z żywnością dla SS. Zorganizowali grupę 12 Rosjan i 3 Polaków (ja w tym udziału nie brałem). Zerwali kłódki, plomby i wynieśli ile się dało. Rozdzielili między siebie i innych. Ja też dostałem. Żywność umieściliśmy w schowkach w kanałach kablowych pod płytami. Niemcy odkryli co się stało. Na apelu obiecywali nagrody, jedzenie, urlop, temu, kto wskaże winnego. Upły-

wał tydzień i nikt nie pisał słówka. Aż przyłapał jednego Francuza z chlebem i kielbasą w ręku. Nie wytrzymał i wydał. Zrobili konfrontację, ustawili Rosjan w szeregu. Francuz wskazał Wanie (po nazwiskach nie znaliśmy się). Dwa tygodnie trzymali Wanie w bunkrze. Nikogo nie wydał. Powiesili go na placu apelowym. Dziś to jeszcze widzę, jak stoi i patrzy prosto na mnie. Zdażył krzyknąć: Pomścicie mnie!

Później już masowo wieszali na terenie fabryki, w głównym tunelu. Zwykle między zmianami, kiedy w tunelu było dużo ludzi. Pracowaliśmy na dwie zmiany po 12 godzin: od 9 rano do 21 i od 21 do 9. Do wieszania służyła suwnica z podwieszonym drakiem. Ręce związa-ły z tyłu, knebel z kolka w ustach, pęta na szyi. Wystarczyło nacisnąć guzik, by człowiek zawisł.

Na terenie fabryki i obozu działała tajna organizacja więźniów. Nie miałem o tym pojęcia aż do pewnego momentu. W obozowej łaźni pracował Rosjanin. Gdy tam byłem, często podchodził do mnie i zagadywał, jak tam w fabryce. W końcu zaczął mówić konkretnie. Pytał o szczegóły, o urządzenia, produkcję. Kazał sobie wszystko opisywać z detalami, narysować jak wyglądało to czy tamto. Pyta co tam robie i czy mam dostęp do wszystkich hal. Mówię, że tak. Początkowo razem z cywilem Niemcem pracowałem przy spawaniu. Pewnego razu do naszego kapo przyszedł wer-mahtowiec i mówi, że potrzebuje, młodego, sprytnego chłopaka. Wojskowi sami robili ogony do rakiet i nadzorowali montaż. W końcu hali nr 38 mieli swój kantorek. Było ich trzech. Jeden z nich kapral lubił sobie ze mną porozmawiać, gdy w pobliżu nikogo nie było.

dzili z kijami i wyganiali. Ja też znalazłem sobie kryjówkę z dwoma Rosjanami. Zdania były podzielone co do tego czy lepiej zostać, czy jechać. Wszelkie kalkulacje zawodziły. Spotkałem w obozie brata stryjecznego, który przeszedł i Oświęcim, i Buchenwald. Odradził pozostanie. Mówił, że Niemcy mogą tak zrobić, że część wywożą, a tych którzy nie zmieszczą się do pociągu, zastrzelą. Miał rację — co prawda nie wystrzelali od razu, ale pedzili na piechotę, co prawie na jedno wychodzi. Zdecydowałem się jechać. Rosjanie też. Pod strażą odstawili do pociągu. Każdemu dali po bochenku chleba i pół czy ćwiartkę (już nie pamiętam) margaryny. W wagonach staliśmy ciasno, jeden obok drugiego, nie było mowy o tym żeby usiąść. Prawie przez dwa tygodnie jechaliśmy na stojąco. Wreszcie pod koniec drogi zatrzymaliśmy się w polu. Otworzyli drzwi, pozwolili wyjść na powietrze. Ale z wagonu o własnych siłach tylko paru nas wyszło. Kto tylko mógł, pomagał innym. Ludzie wielki się, pelzali, czolgali na łące do wody. Jak robactwo. Do tych, którzy nie mogli się ruszyć, strzelano. Ta scena rozgrywała się na oczach mieszkańców pobliskiej osady. Stali w milczeniu i przyglądali się. Stare kobiety i starzy mężczyźni. Zostawiliśmy po sobie 10 dołów wypełnionych trupami. Ziemia się jeszcze ruszała gdy wsiadaliśmy do pociągu.

Wreszcie zatrzymaliśmy się na stacji Bergen-Belsen. Wyładunek na rampie. Jeden drugiego bierze pod rękę. Ostatkiem sił szliśmy. Kto upadł — strzelali. Za sobą zostawialiśmy rowy usłane trupami. Po paru kilometrach drogi dotarliśmy do pustych koszar. Ocalała nie więcej niż jedna trzecia transportu. W



Fot. Janusz Budnicki

Pokazywał zdjęcie żony i córki, które zginęły podczas bombardowania Hamburga. Dożył mi resztkami swojego jedzenia. Nigdy nie dojadł zupy do końca, zostawiał w menażce i wychodził. Ja w tym czasie mogłem zjeść to co zostało.

Moje nowe zajęcie polegało na sprawdzaniu przy pomocy szpachelki szczelności spawów gotowej już prawie rakiety. Miała chyba z 16–18 metrów długości, a ogon wysoki był na 4. Wspi- nałem się po drabinie, by dosięgnąć do jego wierzchołka. Usterki zaznaczałem kredą, inni więźniowie spawali te miejsca lub nitowali na gorąco. Jeszcze raz sprawdzałem, a po mnie Niemiec i gdy było wszystko w porządku przystawiał swoją pięciątkę ze złamanym krzyżem. Chodziłem też po halach i na zgrzewarkach zgrzewałem metalowe paski, przy czym musiałem na pasku zapisać numer hali i zgrzewarki. Rosjanin z łaźni polecił, bym te numery mylnie zapisywał. Nie pytałem w jakim celu on też nie wyjaśnił, dlaczego. Wiadomo mi też było, że w obozie jest radiostacja, skonstruowana przez Czechów.

Aż w końcu ktoś sygnął. Prawdopodobnie był to jeden z Ukraińców, którego przekupiono obietnicą wolności. Powiesili 17, wśród nich znajomego mi Rosjanina z łaźni. Przedtem zmasakrowali ich do tego stopnia, że nie można było rozpoznać nawet rysów twarzy. Wielu nie stało o własnych siłach, zostali przywleczeni.

W 1945 roku ewakuowali nas. Ale zanim do tego doszło, w fabryce i w obozie zaszły istotne zmiany. Już nas nie popędzali, nie interesowali się robotą, produkcją stała. Z fabryki odeszło wojsko na front. Esesmani na środku hali palili dokumentację. W dzień ewakuacji nie wyszliśmy do roboty. Magazyny z odzieżą i kocami zastaliśmy pootwierane na oścież. Wiedzieliśmy co to wszystko oznacza. Niektoż krył się do krzakach, woleli zostać. Esesmani cho-

koszarach nikt już nie panował nad sytuacją. Głód! Głód! Głód! Wyskuba- liśmy wszystką trawę, objedliśmy drze- wa z kory. Ktoś odkrył aptekę, ludzie garściami jedli tabletki, pili olejki i... umierali. W ten sposób na dwa dni przed wyzwoleniem zmarł mój najlep- szy kolega.

Esesmani uciekali, zostało tylko kilku- nastu niższych rangą, oni nie bali się, bo nie czuli się winni albo ważni, że ich obowiązkiem jest pełnić służbę do końca. Któregoś dnia obok koszar prze- jechali Angliey, ale nie zatrzymali się. Po kilku dniach przez bramę koszar wjechał czołg, później samochód z głos- nikiem. Tego nie da się opisać co czu- liśmy. Zapanaowała wrzawa, radość. Nagle nie wiadomo skąd na koszarach pojawiły się flagi, między innymi biało- czerwona. Powiedziano nam, że jeste- my wolni, ale obozu nie możemy opu- szczać. Przez 24 godziny macie wolną rękę — powiedzieli. Nastął sądny dzień. Więźniowie brali odwet na swoich prze- śladowcach. Kto miał jakieś porachun- ki — załatwiał. Teraz ludzie w pasia- kach strzelali, wieszali, wszystkich eses- manów wybili. Mówię do znajomego dozorcę Niemca, dobrego człowieka: „Karł, uciekaj!”. „A po co, ni- kogo nie mam na sumieniu” — od- powiada. Nikt się nie wdawał w roz- strzygnięcie win. Karł, w niemieckim mundurze, był przede wszystkim symbo- lem znieprawdzonego faszyzmu.

Teraz Angliey trzymają nas pod karabinem. Dalej głód. Przywieźli tro- chę konserw, dopiero później dali su- chary. Dziesiątkują nas epidemie: tyfus, cholera, biegunka. Postanowiliśmy z ku- zynem i jeszcze dwoma kolegami wydo- stać się z tego piekła. Podrobiliśmy przepustki i tym sposobem znaleźliśmy się poza bramą. Trafiliśmy do leśnicz- go. Dał nam mleka, jaja, słoninę. Ku-

(Ciąg dalszy na str. 29)

Skarby w gruzach ukryte?

Antoni Neczyński

Na pierwszy rzut oka wieś nie różni się od tysięcy innych, rozsiadanych po całym Dolnym Śląsku. Kręte drogi, przedwojenna zabudowa, kościółek na skrzyżowaniu.

Ludzie tu żyją ani biednie, ani dostatnio, pracę znaleźli na własnych gospodarstwach, w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej, bądź w pobliskiej kopalni barytu w Stanisławowie.

Pagórki wokół Sichowa, z których co wyższy ma nawet swoją geograficzną nazwę, nadają temu miejscu malowniczy koloryt, może nie zawsze dostrzegany przez miejscowych, za to podziwiany przez mieszczuchów, zaglądających często z Jawora lub Legnicy.

Sichowskie pagórki kryją w swych wnętrzach przeróżne bogactwa mineralne. Od XIII wieku kopano w ziemi dziury, dobywając miedź, srebro, ołów, mangan, węgiel brunatny, grafit, piryt i baryt. Któż wie, co jeszcze można tu znaleźć.

O skarbach tych nie wiedział jeszcze rycerz Zych, pierwszy właściciel wsi, ale poznali je już następni posiadacze — cystersi, którzy w 1249 roku nabyli Sicho. Już w dwadzieścia lat później książę Bolesław Łysy nadał opatowi prawo do wydobywania metali odnalezionych w okolicy. Zakon cystersów władał okolicami aż do 1810 roku, po czym wieś przeszła w ręce możnego pruskiego rodu Richthoffenów.

Richthoffenowie posiadali na Dolnym Śląsku sporo włości, a wielu członków magnackiej rodziny zapisano się w historii Niemiec wielkimi literami.

Ostatnim panem na Sichowie był Manfred von Richthoffen. Kolejny raz postanowił przebudować pałac, postawiony jeszcze na fundamentach starego zamczyska, wypielegnował park, a samą wieś uczynił dostępną i zadbaną. Pałac, stanowiący wówczas okazalą rezydencję o stu komnatach, był domem oichym i urokliwym. Oryginalności nadawała mu oranżeria z bogactwem tropikalnych roślin oraz zbiory malarstwa i oręza z różnych epok.

Manfred Richthoffen nie interesował się polityką, jak większość jego krewnych. Nade wszystko przedkładał dalekie podróże, z których przywoził egzotyczne pamiątki, broń, skóry upolowanych zwierząt, najróżniejsze wyroby i amulety. Drugą jego pasją były obrazy. Kupował je i rozwieszał w pałacowych salach, gdzie spokojnie przetrwały do marca 1945 roku.

Rodzina łaskawie patrzyła na odmienny styl życia hrabiego Manfreda do czasu jego ożenku. Mezalians popelniony ze szwedzką aktorką nie mógł już być tolerowany w tak znakomitym rodzie Richthoffenów. Od tej pory dziećcie Sicho. żył statecznie i spokojnie. Wyobcowany z rodzinnych kręgów zajął się zbieractwem, swoimi obrazami, domem i posiadłością. W starym parku z kilkusetletnimi drzewami, założonym jeszcze przez cystersów, baron Richthoffen wybudował żonie basen kąpielowy, wykładany niebieskimi kafelkami, który choć przetrwał do dziś, nie służy już nikomu. Jesienne liście opadły z sędziwych cisów, jodeł, modrzewi, lip, buków i tulipanowców, znalazły na jego dnie schronienie i nawet strumyk Gajka nie kieruje w tę stronę swej czystej, jak zawsze wody.

Kiedyś musiała to być naprawdę piękna posiadłość, skoro nawet rodzice Manfreda Richthoffena, na miejsce wiecznego spoczynku wybrali sobie miejsce szczególne — szczyt wzgórza, z którego rozciąga się widok na park, pałac i wieś. Krzyż, wysoki na kilkanaście metrów, stojący do dziś przy dwóch grobach, obity niegdyś miedzianą blachą błyszczał w słońcu z wielu kilometrów. I choć droga do niego wiodąca jest jak kiedyś uczęszczana przez zakochane pary, dawnych widoków niestety brakuje.

Aleki prowadzące na wzgórze zarosły trawą i krzewami, z krzyża zdarto miedzianą ozdobę, a i groby dawno spładowano. Na próżno czy skierowane w dół wypatrują pięknego pałacu. Po pożarze w 1945 roku zostały tylko ruiny — nagie mury, w których nie ma już okien, drzwi, mozaikowych zapewne posadzek. Więzby dachowej nie zdobią już wykwintne wieżyczki, a i po samym dachu śladu nie zostało. Ogień bezlitośnie obrócił wszystko w gruzy.

Od kiedy zabrakło ogrodnika, zle czasu nastały dla parkowych drzew, krzewów, klombów i alejek. Brak jakiegokolwiek stróża dopełnił reszty: ludzie z wolna zaczęli wycinać drzewa. Rozbili nawet doszczętnie rodzinny grobowiec dawnych właścicieli stojący tuż za bramą wjazdową do parku.

Zdawałoby się, że dziś te gruzy nie interesują już nikogo. A jednak ciągle jeszcze wywołują namietność, o jakich nie słyszy się w wielu ciekawszych, pod względem historycznym, miejscach. Ludzie twierdzą, że sichowski pałac krył i być może ciągle jeszcze kryje skarby nieprzebrane, niemal legendarne, dobra, o jakie starają się największe muzea.

Wielkie skarby w Sichowie były. To pewnik. Czy jeszcze są? Wierzą w to tylko niechętni.

★

Dyktator Generalnego Gubernatorstwa, doktor praw Hans Frank, zaufany człowiek Hitlera, nie był jeszcze znany Polakom, kiedy 10 października 1939 roku przybył ze switą do Warszawy. Dopiero później, po objęciu Wawelu pokazał, jak krwawo potrafił rządzić w podległych mu ziemiach. Ale nawet wówczas, gdy oboz w Oświęcimiu pracował na pełnych obrotach, gdy na ulicach miast urzędowało łapanki na ludzi, gdy kolejne transporty Żydów wyjeżdżały do Treblinki, nawet wówczas próbował uchodzić za konesera sztuki, za znanca tego, co piękne.

I rzeczywiście. Ten, który dziennikarzowi „Völkischer Beobachter” powiedział: „Gdyby rozklejać afisze za każdym razem, kiedy zostanie rozstrzelany siedmiu Polaków, nie starczyłoby w Polsce lasów na papier, z którego robiono by te afisze” — ten sam człowiek okiem znawcy oceniał zawartość naszych państwowych i prywatnych zbiorów muzealnych i galerii. Najcenniejsze dzieła sztuki katalogowano i wysyłano w głąb Niemiec. Ołtarz Wita Stwosza z kościoła Mariackiego został wywieziony do Norymbergi już w grudniu 1939 roku. Późniejsze transporty zawierały wawelskie arras, insygnia władzy królewskiej, gobeliny, obrazy i inne muzealia. Wszystko stanowiło własność III Rzeszy.

Ale wielu władcy na wojnie próbowali robić również interesy korzystne dla siebie. Rabowali dzieła sztuki i kosztowności na własną rękę. Hans Frank swoje prywatne zbiory umieścił początkowo w dawnym pałacu Potockich w Krzeszowicach, gdzie rezydowała jego żona. Tam właśnie trafiły obrazy z Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie, Kolekcji Pinińskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Część dzieł trafiła do prywatnej posiadłości Franka w Schoberhofie.

Trzecim punktem docelowym, gdzie trafiły zrabowane w Polsce antyki był pałac barona Manfreda Richthoffena w Sichowie.

Trudno dziś powiedzieć, jak wielką zażyłość łączyła generalnego gubernatora z sichowskim dziedzicem, faktem jest jednak, że mocne powiązania istniały. Latem 1944 roku Frank osobiście przyjechał z wizytą do Sicho. Zapewne sztuka była głównym tematem rozmów dwóch kolekcjonerów.

A losy wojny już się w tym czasie wazyły.

„Pod koniec sierpnia, mimo że wojska radzieckie znajdowały się jeszcze dość daleko, Niemcy zaczęli przygotowywania do obrony Krakowa. Zarządzili kopanie rowów przeciwczołgowych i okopów, które kilkoma pierścieniami miały opasać miasto. Licząc się z ewentualnością oblężenia, władze okupacyjne zaczęły ewakuować Kraków. Rodziny urzędników niemieckich dostały rozkaz wyjazdu do Rzeszy. Najbardziej wartościowe z dzieł sztuki zostały wysłane na Śląsk do Sicho.”

W styczniu 1945 roku Frank nakazuje wywieźć do Niemiec obrazy zgromadzone w pałacu krzeszowickim. „Na krótko przed północą dzwoni z Krzeszowice adiutant. Komunikuje, że ciężarówka jest już załadowana, prosi o dalsze dyrektywy. Gubernator daje polecenie natychmiastowego wyjazdu załadowanej meblami i obrazami ciężarówką do Sicho na Śląsk”. (cytaty pochodzą z książki „Królestwo Hansa Franka”).

Dobytkiem Hansa Franka wywiezionym wcześniej do Sicho, już od sierp-

nia 1944 roku opiekuje się specjalnie sprowadzony z Wiednia konserwator, doktor Kneisel. Co jakiś czas Kneisel informuje gubernatora o stanie zbiorów. A zadowolony nie jest. Skarży się w liściach, że zbiory znajdują się w fatalnym stanie, na skutek wilgoci i wysokiej temperatury na Wawelu, farba obrazów popękała. Podobnie źle wyglądają zbiory numizmatyczne. Skrzynie z monetami przyjechały do Sicho rozbite i monety rozrzucone są po podłodze.

Doktor Kneisel komunikuje również o innej ważnej sprawie. Oto przygotował już odpowiednie pomieszczenie przeznaczone do dłuższego przechowywania dzieł sztuki. Wymalowano ściany i strop, zamontowano okna. Magazyn czeka.

Czy pomieszczenie to stanowiło piwnicę sichowskiego pałacu?

17 stycznia 1945 roku Hans Frank ze switą ostatecznie opuszcza Kraków. Kolumna ośmiu samochodów udaje się drogą do Opola.

★

Front posuwa się tuż za Frankiem. Jeszcze w grudniu, zaraz po świętach, w pałacu w Sichowie zaszła zmiana. Domostwo opuściła żona barona, by w towarzystwie służącej i ogrodnika udać się w spokojne miejsce, do swej starej ojczyzny, Szwecji. Hans Frank w swym odwrocie na zachód przejeżdżał przez Legnicę i prawdopodobnie złożył w tym czasie krótką wizytę w Sichowie. Ale dużo czasu już nie ma. Od 10 lutego rozpoczyna się walki w pobliżu Sicho. Kilka dni wcześniej wieś opuszczają pierwsi miejscowi uciekinierzy. W grupie ostatnich, konnym zaprzęgiem, opuszcza swe dobra baron Richthoffen.

Sichowski władca nie ujechał daleko. Osaczony pod Kamienną Górą przez żołnierzy radzieckich, strzałem z pistoletu pozbawia się życia.

We wsi pozostali jedynie robotnicy przymusowi z kilku krajów Europy, których nie objęła ewakuacja mieszkańców. Walki w rejonie wsi trwały długo, od 10 lutego do 8 maja. W tym czasie gęsto padały strzały, wszystkie pola wokół wsi zostały zaminowane. Sicho był w rękach niemieckich. Tylko gęsta sieć min stanowiła skuteczną zaporę przed wojskami radzieckimi. Jeszcze w marcu 1945 roku pałac Richthoffena stał cały na swoim miejscu. Pewnej nocy w sali lustriannej, ulokowano na nocleg grupę przymusowych robotników. Wspominali później, że na ścianach wisiały setki obrazów, wisiały w beładzie, jeden na drugim, a te, które się już na ściany nie zmieściły, stały pod meblami i w kątach. Nie była to więc naturalna galeria barona lecz składnica antyków.

Francuscy, polscy i innych narodowości robotnicy, przymusowo zatrudnieni na terenie Sicho, byli ostatnimi widziami dzieł sztuki zgromadzonych w pałacu Richthoffena. Jakis czas później majątek barona spłonął doszczętnie. Dziś nikt już nie zgadnie, czy pałac podpalono celowo, czy też spłonął w wyniku wymiany ognia. Przez następne czterdzieści lat gruzy kryły wielką tajemnicę Franka i Richthoffena.

★

Na ile realne jest przypuszczenie, że dzieła sztuki lub tylko ich część, pozo-

stały na terenie Sicho do dnia dzisiejszego? Odpowiedź jest tylko poszłakowa.

Przed wszystkim należy przypuszczać, że o ile obrazy i inne antyki udało się wywieźć z Sicho, to przez następne czterdzieści lat musiałyby się pojawić w legalnym lub nielegalnym obrocie na Zachodzie. Nic takiego nie zanotowano na żadnej giełdzie. A więc prawdopodobnie leżą jeszcze ukryte i to na ziemiach polskich.

Atmosfera przed nadejściem frontu jest zawsze napięta. Pierwszym odruchem człowieka jest ratowanie życia. Skoro jeszcze 17 stycznia Frank wysłał do Sicho transport antyków, pozostawało mało czasu na znalezienie kolejnej przechowalni w głębi Rzeszy. Zresztą każdy rozsądny wiedział już wówczas, że i tak całe Niemcy zostaną zajęte przez sprzymierzone wojska. Uciekać więc nie było gdzie.

Czy Niemcy mogli przypuszczać, że granice wschodnie ich państwa tak bardzo się przesuną? Owszem, odbyła się już konferencja w Teheranie, gdzie mówiono o przesunięciu Polski na zachód, ale powszechne było mniemanie, iż nowa granica ustali się wzdłuż Odry. Sicho byłby wówczas niemiecki. Istniała więc gwarancja odzyskania ukrytych skarbów.

Podobna opinia była wówczas powszechna. Rodziny niemieckie ewakuowane z Sicho, pozostawiały na miejscu starannie ukryte kosztowności, domową porcelanę i cenniejsze sprzęty. Znalezisk tego typu zanotowano w minionym czterdziestolecu wiele. Jeszcze teraz notuje się przypadki, że turyści niemieccy wydobywają z siebie tylko znanych miejsc cenne przedmioty pozostawione w 1945 r.

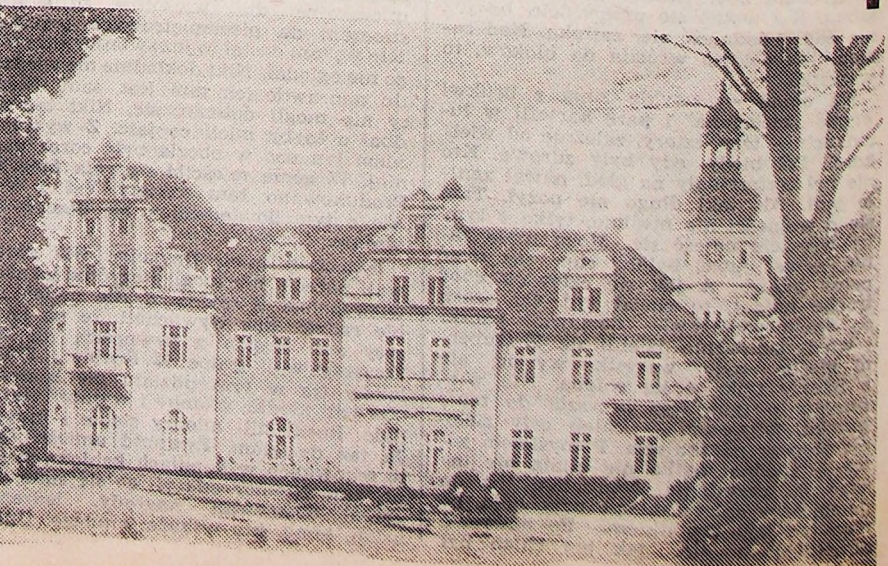
Już po wyjeździe Richthoffena z Sicho, w komnatach pałacowych znajdowały się zbiory dzieł sztuki. Można więc przypuszczać, że znajdowały się również w pałacowych piwnicach, a jeśli tak, pożar mógł je oszczędzić. Naturalną jest przecież rzeczą traktowanie piwnic, jako miejsca w miarę bezpiecznego. A z całą pewnością, piwnice pałacu przysypały gruzami przetrwały w nienaruszonym stanie do dzisiaj.

Z dawnych relacji autochtonów zrodziła się również hipoteza, jakoby skarby ukryto w jednej z dawnych sztolni górniczych, jakich w okolicy nie brakuje. Hipoteza to dość prawdopodobna. Można tylko zastanawiać się, dlaczego nie wywieziono z pałacu wszystkich zbiorów. Czyżby część pozostawiono na przynętę, a pałac zasugerowano ich zniszczenie?

Posiadłość Richthoffena od dawna interesowała poszukiwaczy skarbów. Tym bardziej że wśród gruzów łatwo można było znaleźć części dawnego rynsztunku bojowego, ramy obrazów z oznakowaniami muzeów warszawskich i krakowskich, przedmioty pochodzące z egzotycznych zbiorów barona Richthoffena.

Zadziwić może tylko fakt zupełnej nieznajomości tajemnic sichowskiego pałacu wśród ludzi zawodowo trudniących się ochroną zabytków. O pałacu Richthoffena, jako magazynie skarbów sztuki zrabowanych przez Franka, nie wiedzą nic w legnickim Muzeum Miedzi, w muzeum w Jaworze, w Biurze Dokumentacji Zabytków.

Czy pod gruzami spalonego i zburzonego pałacu kryją się skarby? Są ludzie, którzy gorąco wierzą, że tak. Oni właśnie zamierzają już wkrótce zorganizować legalne i fachowo przeprowadzone prace odkrywkowe. Wszak największych odkryć dokonali ci, którzy uwierzyli w coś, w co nie wierzył nikt. Prace nie będą łatwe. Prawdopodobnie wśród gruzów znajdują się jeszcze inne relikty przeszłości — miny. O ich skutecznym działaniu przekonali się mieszkańcy Sicho jeszcze w latach sześćdziesiątych.



37-letni kawaler Jerzy M., czterdziestohektarowe panisko z podlegniętą miejscowości U., po raz pierwszy ujrzał swe wyśnione szczęście w osobie 21-letniej Stefani D., pielęgniarki z zawodu i wykształcenia, w barze mlecznym „Bajka” w mieście wojewódzkim C., dokąd przybył w celu nabycia pralki. Automatycznej i jugosłowiańskiej, ma sumieć. Siedział se tedy w „Bajce”, łykał ruskie pierogi i chleptał śmietaną, kiedy nagle — o cudzie galilejski! — wyśnione szczęście, dziewczeczka nieziemskiej wprost urody, stanęło przy nim z kubkiem maślanki, szepnęło „smacznego” i syrenim altem spytało, czy można. Dosiaść się, rzecz jasna. I zaraz, gdy tylko skinał otumanionym łbem, przysiadło na brzęczku krzeselka, delikatnie i z wrodzonym wdziękiem. Jerzy M., choć kawaler, ale człek bywały, o manierach prawdziwego dżentelmena, umiał się znaleźć jak należy. Czym prędzej więc przełknął trzymanego w zębach pieroga, otulił chusteczką gębę, przyplutą dłonią przyliźnął baki, dygnął w karku i podał swe personalia. Dzieweczka spłoneła co nieco na przepięknym licu, zerknęła zalotnym półczem, odparła, że bardzo, ale to bardzo jej przyjemnie — i odwzajemniła, tzn. również ujawniła swe personalia.

No i tak to się zaczęło. Właściwie zaczęło się kilkanaście minut później, kiedy to, jakoś przypadkowo, dziewczeczka i Jerzy M. opuścili razem bar mleczny „Bajka” i znaleźli się na mokrej ulicy. Mokrej, albowiem z burego nieba pokapywało dość gęsto. Jerzy M. zaproponował więc pannie Stefci, że z największą przyjemnością „podrzuci” ją do domu, gdyż dysponuje zaparkowanym w pobliżu „wózkiem”. Panna Stefa podziękowała, obdarzyła Jerzego M. iscie anielskim uśmiechem i propozycję przyjęła z wdzięcznością.

„Wózek” okazał się arcyłuksusowy „Audi” zielonego koloru ze złotymi — choć, niestety, nie ze złota — klamkami i srebrnymi — choć nie ze srebra — błotnikami, co całkiem przyjemnie zaskoczyło krasną młodkę i czemu dała wyraz w uczynionej głośno uwadze, że taki „wózek”, nawet bez autentycznie złotych klamek, musi ani chybi stanowić duży majątek. Jerzy M. odparł skromnie, że owszem stanowi i to w twardej walucie. Po czym wyjaśnił, że posiada takową — walutę, znaczy się — bo przez kilka sezonów praktykował rolnictwo u stryka w słonecznej Francji, nosząc mianowicie grono w okresie winobrania. W skrzyni, na plecach. Za żarcie i 150 franków dziennie, jako że stryka-katan-żabojad tak właśnie piał.

Owo szczere wyznanie tak wielce przybliżyło Jerzego M. pannie Stefci, że zaprzagnęła poczęstować go herbatką. Z cytrynką oczywiście. Ponieważ Jerzy M. również bardzo pragnął cytrynki — uległ z ochotą, gorząc się szczęściem. Niestety, mieszkankie przeuroczej gospodyni, skromny pokój z kuchenką, okazało się pozabawione cytrynek, a nawet zwykłej wody kranowej. No i dobrze się składa, oświadczył bohaterko Jerzy M. chcąc pocieszyć strapioną wielce dziewczeczkę. Dobrze, albowiem on, Jerzy M., pluje w zasadzie na cytrynki, a i woda mu zbędna, boć nie przyszedł tu celem do-



Chybiona zemsta przecudnej dziewczeczki

Ryszard Adamów

konania obdukcji... znaczy się — ablucji chyba, czyli mycia rąk, na ten przykład. A jeśli już tu się znalazł, to tylko dlatego, że zapalał ku niej, tzn. Stefci D., dozgonnym uczuciem. Zapytuje ją tedy, czy chce zostać jego i czy również pała choć trochę? Panna Stefania znów jak gdyby pokraśniała na buziaku i odparła, że w zasadzie, owszem, pała. Ale zostanie jego dopiero w noc poślubną, bo ją tak wychowywała świętej pamięci babcia, niech jej ziemia lekka będzie. Uszczęśliwiony Jerzy M. wrzasnął, że jest jego najcudowniejszym cudem i jako ten cud będzie panować na jego czterdziestu hektarach niczym ta hrabini z Hongkongu. I już mniej wraskliwie poprosił pokornie o zaliczkę w postaci całusa. I faktycznie otrzymał takową zaliczkę, ale dopiero na pożegnanie, kiedy jedną nogą był już za drzwiami.

Rozanielony, pognął zatem swym wozem do U. A pognął po to tylko, by powrócić w najbliższą sobotę. Tym razem z piętnastoma goździkami w folii i butelką „Martela” w „pewexowskim” odzieniu. Stefcia, niestety, okazała się absolutną abstynentką. „Martel” więc, ledwo liźnięty, powędrował do lodówki, co przysporzyło nieco zapał Jerzego M. Kiedy jednak na pożegnanie znów użyła mu karminowych usteczek — po-

weselał, a nawet zaczął se podśpiewywać z ludowa: „Na kościelnej wieży chłop na babie... itp.”. Albowiem gorące i słodkie były usteczka dziewczeczki.

Odtąd Jerzy M. zjawiał się u Stefci każdej soboty; zawsze z goździkami i zawsze — jak przystało czterdziestohektarowemu panisku — z butelką „Martela” za walutę wymienną. Nie winna sielanka trwała sześć tygodni. A potem się urwała, bo Jerzego M. tknęło, że coś tu nie gra tak, jak należy. A kiedy go tknęło, nabrał zaraz strasznych podejrzeń. Nabrał przez „Martela” właśnie. Bo skoro nie pili, a lodówka zawsze świeciła pustką, to niby gdzie się podziewał, a-a-a? I Jerzy M. kompletnie otumaniony przeokropny odkryciem, szarpany katuszami zazdrości, zaczął wierzyć, że Stefcia nie jest dziewczeczką, a może nawet ma gacha. Miastowego, rzecz jasna. Zmienił więc dnie wizyt na niedziele i czwartki. Gach jednak, jeśli Stefcia takowego posiadała, był ciągle nieuchwytny. Wtedy Jerzy M. rad nieraad postanowił raz na zawsze skończyć z drażącym jego duszę i serce uczuciem niepewności. To znaczy poprosił ponownie, tym razem oficjalnie i z wielką pompą, ukochaną o rękę. Skoro chcesz, to bierz, zgodziła się Stefcia. I dała mu małą rączynę, do ucałowania na razie.

No i zaczęły się przygotowania do ślubów: cywilnego i kościelnego. Ale, jak wiadomo, aby otrzymać ślub kościelny, należy wpiery wyzbyć się grzechów,

czyli przystąpić do spowiedzi. Stefcia, dziewczeczka potulna i słodka, była gotowa przystąpić i pojechać w tym celu do U. Do U., ponieważ ślub i weselisko miały się odbyć w miejscu zamieszkania Jerzego M. Miały się odbyć, ale się nie odbyły.

Oto trzy dni przed zamierzoną spowiedzią zjawiała się w mieszkaniu Stefani D. pewna leciwa dama z wioski U. I nie owijając w bawełnę, ujawniła, co następuje: po pierwsze, że jest matką nieślubnego syna Jerzego M.; po drugie, że jest również mamusią nieślubnej córki Jerzego M.; po trzecie, że Jerzy M. — targany zazdrością a propos tajemniczego zniknięcia „Martela” — wziął ją, tzn. Stefanię D., mocno pod rękę wlos z tą spowiedzią przed proboszczem wsi U. Włoska U. bowiem nie posiada kościoła, plebanii, ani parafii, a tym samym i księdza. Cała spowiedź ma być lipna, a w roli plebana-spowiednika wystąpić ma kumpel Jerzego M. A wystąpić ma po to mianowicie, żeby się wywiedzieć o jej, Stefani D., ciemnych grzeszkach. Po czwarte...

Ale Stefania D. nie słuchała już, co ma być po czwarte, bo wyrzuciła uszowaną damę za drzwi i zaczęła obmyślać straszną zemstę. I obmyślała.

Kiedy w dniu spowiedzi zjawiał się u niej Jerzy M., by swym arcyłuksusowym samochodem zawieźć ją na plebanie w U., gdzie miał nastąpić ów akt oczyszczenia duszy, udała — a udawać potrafiła raczej dobrze — że wszystko jest w jak najlepszym porządku, że kocha, że myśli, że marzy i z niecierpliwością czeka ślubnego koberca. Wiotka i pozornie wesolotka, wskoczyła w kremowy kostiumik, nałożyła pończoszki i kapelusik, wzięła ze sobą dość dużych rozmiarów koszyczkę z — jak wyjaśniła — podręczną toaletką. I już była gotowa. Do zemsty. Albowiem ową podręczną toaletką okazała się butelka „Martela”. Pełna. Ale okazała się dopiero wówczas, gdy Stefania D. stanęła przed fałszywym plebanem i osobiście rozbiła ową butelkę na głowie dobrodzieja.

Choć zabrzmi to, być może, dziwnie, a już na pewno okrutnie, gwoli prawdy wypada dodać, że pleban nie był żadnym fałszywym plebanem, lecz jak najbardziej autentycznym księdzem, a zatem i spowiedź miała być jak najbardziej autentyczna, bo Jerzy B. jak najbardziej autentycznie pragnął stanąć z przecudną Stefcią D. na ślubnym kobiercu, by bez przeszkód i latami konsumować w spokoju małżeństwo. Nie stanął jednak i — co za tym idzie — nie konsumował, gdyż przeszkodziła mu w tym wredna i zazdrosna dama leciwa, która trzy dni przed spowiedzią odwiedziła Stefanię D.

Teraz obie panie — wredna dama z U. i nieziemskiej urody Stefa z miasta wojewódzkiego C. — oczekują rozprawy sądowej. Ksiądz pleban zaś ciągle przebywa w szpitalu, choć ma się już lepiej. A Jerzy M. zaczął pić i to wszystko, co mu podłeci, nawet bimber. Oczywiście z rozpacy po utracie przekrasnej dziewczeczki.

penetracje

Epidemia

(Ciąg dalszy ze str. 15)

Każdy pracownik dostaje wykaz zadań służbowych. Ja nie jestem od tego, by szukać ludzi po zakamarkach baraku.

Dyrektor kładzie na biurko plik akt Michalskiego.

— A nie nakazywał pan mu wstąpienia do związków zawodowych?

— Byłbym chyba najlepszym dyrektorem — mówi dr Sałacki — gdybym rozwiązał całą tę organizację. Nam lepiej by się pracowało i nie byłoby tych wszystkich korowodów i zadrążeń na tej linii.

— Do kogo mają zwrócić się ludzie ze swymi sprawami, skoro lekceważą słabe związki zawodowe, dyrekcja chowa się za paragrafami, więc może do organizacji partyjnej?

— U nas nie ma POP, jest natomiast trzech członków partii — ja, mój zastępca i główny księgowy... Zalałwilem Buczak prywatnie tygodniowy kurs z

chromatografii na Politechnice Gdańskiej, gdzie robiłem doktorat. Czy im jest aż tak źle? Podwyżki i przeszerogowania są możliwe tylko dwa razy do roku. Pani Matusiak zakwestionowała w zakresie swoich obowiązków jeden z najważniejszych punktów — wykonywanie dodatkowych poleceń kierownictwa. Zaczęła uściślać, nanosić poprawki. Podpisane przez nią pismo nie było dla mnie dokumentem. W liście zarzucają mi, że nie pozwalałam im się przewietrzyć. A wiecie, panowie, ilu z nich wyszło na czyn społeczny polegający na uporządkowaniu terenu ośrodka? Tylko trzy osoby. Nic dziwnego, że dopiero niedawno odkopałem za barakiem sprzęt przeciwpożarowy. Żołubak i inni korzystając z aparatury ośrodka dorabiali kwartalnie 30—50 tysięcy złotych. Matusiak i Minodzka wykonując zlecenia Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej zarabiają dodatkowo 7,5 tysiąca miesięcznie bez podatku... O tym, że ośrodek dobrze pracuje, świadczą wyniki ekonomiczne. W bieżącym roku miał 2,7 mln zł wykonania usługi za 4,7 miliona złotych.

— Decyzje podejmowane są u nas kolegialnie — mówi kierownik Jarzembowski — co wtorek o 7.15 mamy odprawę kierownictwa. Gdy dzielimy premie lub inne nagrody, zbieramy się załóżnie od okoliczności.

Zastępca dyrektora Zygmunt Szalow-

ski: — Nasunęła mi się refleksja. Dyrektor nie ruga, ale zwraca uwagę i czeka na dobrą wolę, często bezskutecznie. Przytoczę przykłady. Michalski w ubiegłym kwartale spóźnił się 15 razy, a w październiku 19. Posmyk 19 w kwartale. Jarzembowski: — Spóźniłem się 10 razy i poleciał mi po premii sześć procent za niewykonanie planu pracowni biologicznej.

Doktor Dębosz twierdzi: — Punkt pierwszy wszystkich zarządzeń dotyczący dodatkowych obowiązków służbowych pracowników ośrodka nie jest wykorzystywany nadmiernie. Tak twierdziłoby absurdem! — zaperza się.

ACH, TE BABY!

Przed Świętem Kobiet na tablicy ogłoszeń OBIKS pojawił się następującej treści komunikat: „My, kobiety, oczekujemy spontanicznych czułości od mężczyzn zatrudnionych w naszym ośrodku. Materialny fundusz w kwocie 15 tys. zł przeznaczamy na rozwój kulturalny (Pantomima Wrocławska, teatr, satyrkon) wyłącznie dla kobiet zatrudnionych w OBIKS”.

Podpisów dwanaście. Czułości nie było, a skłoda.

ZAMIAST EPILOGU

— Nie encemy wcale wygrzyć dyrek-

tora — zapewniają zgodnie — pragniemy tylko, aby się zmienił... Aby pozbył się biurokratycznych nawyków, usposobienia budzącego tak mieszane uczucia... Czy jest to możliwe?

Takie samo pytanie postawić trzeba również „parszywej” dwunastce. Czy mogą skończyć z pyskówkami, wzajemnym podgryzaniem i dzieleniem włosy na czworo?

Ani partyjne komisje, nie spieszące zresztą z interwencjami, ani miejscowe władze, ani tym bardziej dziennikarze, nie usuną żródeł konfliktu. Dopóki obustronna, dobra wola nie weźmie góry nad emocjami — w baraku trwać będą kłótnie. Nie chcemy domniemywać, w jakim stopniu swary te odbijają się na pracy ośrodka.

Podczas pisania tego tekstu ubrudziłyśmy sobie ręce. Nie dlatego wcale, że sprawa jest brudna, lecz po prostu trzeba było zmienić taśmę w maszynie. Zrobiliśmy to sami. Proponujemy pani magister Matusiak, aby inaczej spojrziała na „problem mycia szkla laboratoryjnego” — związkowcom — by patrzyli we własny statut, a nie wyłącznie w zarządzenia dyrektora, doktorowi Sałackiemu — mniej nerwowości w kontaktach z ludźmi, a całemu ośrodkowi — wszystkiego najlepszego z okazji świąt.

Jest okoliczność do pojednania — wilegijny oplatek.

Święto niepodległości obchodzone jest u nas 4 lipca. Już od dzieciństwa wolałem ten dzień od wszystkich innych świątecznych dni. I to uczucie pozostało we mnie do dziś, a jestem już przecież dojrzałym człowiekiem.

Przez ostatnie trzy lata razem z moją żoną oraz Courtlandem i Christie Bell spędzaliśmy świąteczne godziny w naszym ulubionym miejscu, nad brzegiem jeziora. Wszędzie były tłumy ludzi, tu natomiast panował absolutny spokój.

W tym roku znów wybraliśmy się tutaj w czwórkę. Ustawiliśmy turystyczny stolik i krzeselka, na ruszcie skwierczało mięso, a w torbie — lodówce — chłodziły się orzeźwiające napoje.

Jedynym dysonansem była kilkusobowa grupa młodych ludzi, którzy usadowili się tuż obok nas.

Muzyka stereo na cały regulator, nadmiar alkoholu i słodki zapach haszyszku dokuczyły nam do tego stopnia, że w końcu zdenerwowany Courtland sprowadził szeryfa Dunstona. Ten szybko rozpoznał sytuację, wczuł się w nasze położenie i kazał młodym ludziom przenieść się w inne miejsce. Posłuchali go, opieszale wykonując jego polecenie i cały czas protestując.

Jeden z nich krępy osiłek o brutalnej twarzy, podszedł do Courtlanda:

— Ty, jajogłowy! Myślisz, że na wszystko możesz sobie pozwolić? — warknął i dorzucił z wyraźną pogroźką w głosie: — Niech no tylko zmrok zapadnie!

— A niby dlaczego mam czekać tak długo? — zrewanżował się Courtland i przyjął pozę zawodowego boksera.

Tamten potrząsnął głową: — Nie ma głupich! Teraz w pobliżu jest szeryf...

Moja żona — Megan — nie brała tego całego zajścia zbyt serio, natomiast Christie zrobiła się biała jak ściana.

Christie Bell w ogóle była bardzo wrażliwym i kruchym stworzeniem, które obawiało się najmniejszego objawu przemocy. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem tych dwoje — Christie i Courtland stali się parą małżeńską.

Jeśli chodzi o niego, Courtlanda, to właśnie były to czasy, kiedy ogarnęło mnie wrażenie, że ukrywa on coś przed nami wszystkimi. Było tak, jakby cienka politura przykryła wszystkie skazy... Ale nasze żony od początku znajomości były wiernymi sobie przyjaciółkami.

Courtland głaskał uspokajająco rękę Christie:

— Nie przejmuj się, to tylko głupie gadanie młodych!

☆

Im bliżej było wieczora, tym bardziej Courtland stawał się niespokojny. Jego oczy coraz to wędrowały w stronę zaparkowanych samochodów, jak gdyby z tamtej właśnie strony spodziewał się powrotu przepędzonych młodzieńców...

W którymś momencie moja żona zaczęła napomyskać o braku czegoś słodkiego w naszych zapasach i tak zarażona owym apetytem filigranową Christie, że obie poszły na poszukiwanie sprzedawcy lodów...

Gdy tylko obie panie zniknęły nam z oczu, Courtland również podniósł się z krzeselka i powiedział:

— Zanim one wrócą, akurat nadejdzie czas, aby przyjrzeć się sztucznyemu ogniom. Zanim się powoli te rzeczy do samochodu.

Ponieważ zrezygnował z mojej pomocy, więc podszedłem powoli do grupy grającej w piłkę i dałem się wciągnąć w zabawę. Okazałem się jednak fajtłapa i piłka adresowana do mnie, śmignęła daleko. Znalazłem ją wreszcie pod jakimś chevroletem. Właśnie ją stamtąd wyciągałem, gdy nagle usłyszałem ostry głos kobiety dobiegający mnie z samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej:

— Musisz to zrobić!

Odwrociłem głowę i zobaczyłem młodą blondynkę, obok której siedział Courtland. To właśnie ona mówiła rozkazująco:

— Musisz to zrobić!

Courtland kiwnął głową i namiętnie objął blondynkę. Oczywiście momentalnie wszystko zrozumiałem, ale to nie była przecież moja sprawa... Nigdy nie miałem zbyt dobrego zdania o Courtlandzie, ale bardzo mi było żal Christie... O czym mogła myśleć ta blondynka z samochodu? Co ona takiego kazała zrobić Courtlandowi...?

... Wreszcie wrócili Megan i Christie. Obie w niesłychanie poważnych nastrojach.

— Gdzie jest Courtland — spytała Christie.

— Poszedł do samochodu po latarkę — powiedziałem uspokajająco.

— Wyjdę mu naprzeciw — stwierdziła stanowczo, jakby obawiając się, że zechcemy ją zatrzymać. — A wy możecie tymczasem pójść powoli w stronę przystani.

Wyglądało na to, że chce się nas pozbyć. Na dodatek moja żona okazała się jej sojuszniczką, bo nie zwlekając ruszyła w kierunku przystani, ciągnąc mnie za rękę...

Gdy odeszliśmy już kilkadziesiąt kroków dalej, powiedziała mi, że Christie podejrzewa, iż mąż ją zdradza. Milczałem. Nie chciałem opowiedzieć żonie o tym, co widziałem kilkanaście minut wcześniej...

Zapadał zmrok... Szliśmy brzegiem rzeki do przystani, z której chcieliśmy obserwować pokaz sztucznych ogni. Byliśmy o jakieś sto metrów od celu, gdy zapytałem:

— I co Christie chce zrobić?

— Nigdy nie zgodzi się na jego odejście. Przecież wiesz, że jej cały świat to on. Postanowiła, że wszystko mu przebaczy... Mam wrażenie, że rozmawiają na ten temat właśnie w tej chwili.

— A gdyby on nie chciał jej przebaczenia, tylko zażądał rozwodu?

— Ona nigdy się na to nie zgodzi! — kategorycznie stwierdziła moja żona...

Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno i pomyślałem, że jeśli tamtych dwo-

je ma zamiar oglądać pokaz ogni, to najwyższy już czas, aby przyszedł. Na ciemnym niebie pokazały się pierwsze rakietki...

Nagle ktoś dotknął mego ramienia. Był to Courtland.

— Gdzie jest Christie? — zapytał.

— Wysłała ci naprzeciw — odpowiedziałem.

— Nie spotkałem jej! Myślałem, że jest z wami...

Była gorąca, lipcowa noc, a mną nagle wstrząsnął zimny dreszcz... Pomyślałem jednak, że to niemożliwe, aby Christie stało się coś złego w obecności tylu ludzi.

— Trzeba jej poszukać — powiedziałem. — Mogła zablądzić w tych ciemnościach!

Ruszyliśmy na poszukiwania. Poszedłem tam, gdzie widziałem Christie po raz ostatni. Zaświeciłem latarkę i penetrowałem dokładnie każdą piędź ziemi... Doszedłem wreszcie do strumego brzegu. Skierowałem w dół snop światła... Leżał tam głowa w wodzie. Już z tej odległości widać było, że nie żyje... Nawet w nikłym świetle latarki kieszonkowej można było zobaczyć olbrzymi, brzydki guz na głowie...

Czy stało się to, czego chciała tamta blondynka...?

☆

Najpierw szeryf Dunston był przekonany, że w tych ciemnościach Christie potknęła się i wpadła do jeziora.

Taką przyczynę wypadku podała zresztą i prasa.

Oboje z żoną czuliśmy się w pewnym sensie współodpowiedzialni za śmierć Christie. Wiele razy wyrzucaliśmy sobie, że pozwoliliśmy jej odejść od nas... Ale cóż było robić — upierała się wtedy, abyśmy odeszli... Żyliśmy więc z poczuciem winy i bacznie obserwowaliśmy pracę policji.

Trzy dni po pogrzebie, gdy byłem na obiedzie, przysiadł się do mnie nieproszony szeryf Dunston:

— Dzisiaj rano otrzymałem wynik sekcji — powiedział. — Ona się nie utopiła — w płucach nie było ani odrobiny wody. Już nie żyła, gdy wylądowała w jeziorze... Pan i pańska żona oraz Courtland byliście razem z nią przez całe popołudnie. Któreś z was musiało zauważyć coś niezwykłego, coś

nienormalnego. Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć dokładnie przebieg tego dnia.

Uczyniłem zadość jego prośbie, lecz znów przemilczałem epizod z blondynką siedzącą w samochodzie z Courtlandem. Nie wspominałem także o tym, co powiedziała Megan o podejrzeniach Christie...

— Czy wiedział pan, że Courtland zdradzał swoją żonę? — zapytał szeryf. Od razu domyśliłem się, że Dunston ma już swoją hipotezę i zbiera teraz informacje obciążające Courtlanda. Postanowiłem jednak, że nie będę mu w tym pomocny. Wprawdzie byłem niemal całkowicie pewny, że to Courtland zabił Christie, ale wcale nie miałem zamiaru uczynić z siebie koronnego świadka oskarżenia...

Dwa dni po mojej rozmowie z szeryfem Courtlanda aresztowano pod zarzutem zamordowania swej żony... Zaczęły się przesłuchania... Gazety pisały o tym wszystkim na pierwszej stronie... Oczywiście dowiedziałem się z tych artykułów i o kochance Courtlanda. Ta kobieta była jego sekretarka...

Jednak prawdę mówiąc, ciągle nic nie mogli zrobić Courtlandowi. Oskarżenie nie dysponowało ani jednym świadkiem... Ale facet i tak był skończony... Bez względu na to czy mu wytoczą proces, czy puszczą wolno, piętno zono-bójcy pozostanie na nim na zawsze! Uratowałoby go tylko znalezienie prawdziwego mordercy, ale policja zaprzestała już wszelkich poszukiwań...

Fajerwerk

Courtland miał powód, aby pozbyć się żony i znalazł sposobność... Ale czy ja, jego przyjaciel, mimo że byłem przekonany o jego winie, miałem być tym, który doprowadzi go na krzesło elektryczne?

☆

Któregoś dnia, gdy wróciłem do domu, Megan przywitała mnie bardzo wzburzona, z gazetą w ręku:

— Musimy coś zrobić! — powiedziała z niespotykaną u niej stanowczością.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. — Ty przecież wiesz, że Courtland tego nie zrobił! — stwierdziła nie mniej stanowczo.

— Czyżby?! — powiedziałem z przekąsem i spojrzałem na nią spokojnie.

Jej oczy rozszerzyły się:

— Chyba nie myślisz, że...?!

Opowiedziałem jej wtedy o tej blondynie w samochodzie i o tym co mówiła, a także wypowiadałem się ze wszystkich moich myśli o Courtlandzie...

— Czy powiedziałeś o tym wszystkim szeryfowi?

Potrząsnąłem głową:

— Nie! Ostatecznie nie widziałem na własne oczy, jak ją zabijał — usprawiedliwiałem się.

Żona objęła mnie macierzyńskim gestem...

Po tej rozmowie byliśmy oboje tak rozbici psychicznie, że postanowiliśmy nie zamykać się w czterech ścianach domu, tylko pójść gdzieś między ludzi.

Megan siadła za kierownicą, a ja próbowałem zacząć myśleć o czymś innym niż Christie i Courtland... Bezskutecznie... Było jeszcze coś, o czym nie powiedziałem Megan. Nie mogłem po prostu zapomnieć obrazu Christie, gdy leżała przede mną po wyciągnięciu jej z wody...

Ten obraz tkwił w mojej pamięci nie dając mi spokoju. Było w nim coś fałszywego, coś nieuchwytnie fałszywego, czego nie potrafiłem sprecyzować, a co przez cały ten czas nie dawało mi spokoju...

Megan zatrzymała wreszcie samochód przed jakąś podrzędną knajpką.

— Czas na kolację! — powiedziała, gdy zobaczyła moje zdumienie.

Młoda kelnerka dość szybko przyjęła nasze zamówienie. Była to zupeł-

nie miła dziewczyna. Miała przyjemną, okrągłą twarz i długie blond włosy. Gdy schyliła się, aby coś poprawić na naszym stoliku, zobaczyłem, że na łańcuszku ma zawieszony piękny medalion... Medalion... Serce zaczęło mi bić jak oszalałe... Już wiedziałem dlaczego tak prześladował mnie obraz Christie? Już wiedziałem, czego brakowało mi w tym obrazie!

— Ma pani piękny medalion! — zwróciłem się do kelnerki.

Uśmiechnęła się zadowolona z komplementu.

Medalion miał owalny kształt. Wykończony był koronką ząbków. Wygrawerowane były na nim dwie litery. Dwa „C”.

— C dla Charlotte — wyjaśniła.

Ja jednak pamiętałem co owe dwie litery znaczyły naprawdę. To Courtland kazał wygrawerować inicjał swój i Christie. Christie zawsze nosiła ten medalion ze zlewającymi się razem literami C. Nie miała tego medalionu tylko jeden jedyny raz — gdy wyciągnęła ją z jeziora...

— Skąd pani ma to cacko? — spytałem z zainteresowaniem.

— Mój przyjaciel podarował mi go kilka dni temu na urodziny — odpowiedziała z dumą i podsunęła medalion przed oczy Megan.

Zobaczyłem jak krew odpływa z twarzy mojej żony.

— On się nazywa Charles — ciągnęła kelnerka — i razem tutaj pracujemy.

Młody człowiek, który sprzątał ze stolików w drugim końcu sali, obserwował nas uważnie od jakiejś chwili. Gdy spojrzałem w tamtą stronę, odszedł prędko i zniknął na zapleczu. Ale i tak go poznałem. To był ten muskularny osiłek, który tam, na łące, zapowiedział, że wróci...

Zerwałem się z miejsca i pobiegłem za nim. Dopadłem go tuż za tylnym wyjściem z knajpy. Po krótkim mocowaniu się położyłem go na łopatkę. W tym samym momencie usłyszałem syrenę policyjnego wozu. Z uznaniem pomyślałem, że zawsze mogę polegać na refleksie swojej żony...

☆

Historia, którą opowiedział ujęty przeze mnie młody człowiek brzmiała najzwyczajniej w świecie.

Zobaczył idącą samotnie przez łąkę Christie i zatrzymał ją. Inna kobieta, choćby tak jak Megan, odstraszyłaby go kilkoma ostrymi słowami. Ale krucha, delikatna Christie zdrętwiała ze strachu...

Młody człowiek najpierw chciał jej trochę dokuczyć... Potem zauważył monogram na jej medalionie. Pomyślał, że mógłby to być znakomity prezent dla jego przyjaciółki.

Jednym ruchem zerwał jej z szyi łańcuszek, a ponieważ nie stawiła najmniejszego oporu, ciągle zdrętwiała z przerażenia, postanowił — rozbawiony — podokuczać jej jeszcze trochę... Dopiero wtedy wpadła w panikę i zaczęła uciekać...

W którymś momencie potknęła się i upadła, uderzając głową o kamień. Ten upadek był śmiertelny. Wtedy prześladowca uczynił to, co ze strachu przyszło mu najpierw na myśl — wrzucił ją do jeziora...

Przy okazji osiłek przyznał się do pół tuzina różnych przestępstw. Szybciutko postawiono go przed sądem i skazano na długoletnie więzienie...

Następnego wieczoru po ogłoszeniu sądowego wyroku, wracając do domu, postanowiłem pojechać koło miejsca, gdzie znalazłem Christie.

Stałem chwilę nad jeziorem i patrzyłem na fale...

Gdy odwróciłem się, zobaczyłem przed sobą Courtlanda.

— Chciałem ci powiedzieć, że na zawsze wyjeżdżam z miasta — powiedział cicho i dodał: — Nie myśl się chyba... Byłeś przekonany, że to ja ją zabiłem?

Kiwnąłem twierdząco głową:

— Widziałem ciebie w samochodzie z tą kobietą. Słyszałem co mówiła do ciebie...

Milczał chwilę, a potem spojrzał mi prosto w oczy:

— To było tylko puste gadanie, ale nie myliłeś się. Rzeczywiście to ja ją zabiłem!

Oniemiałem na moment.

— Co chcesz przez to powiedzieć?! Czyżbyś cierpiał teraz na wyrzuty sumienia?!

— Gdy działa się to wszystko, wcale nie byłem przy samochodzie, jak powiedziałem i tobie, i Megan, i szeryfowi... Kłamałem... Stałem na ścieżce, kilkanaście metrów dalej i dokładnie widziałem jak to się stało... Stałem i patrzyłem... Nie ruszyłem nawet palcem, aby jej pomóc...

Witelo (Vitelo, Vitellio, Witelusz, Witellon — bo różnie pisano jego imię) urodził się przypuszczalnie w Legnicy około 1230 r. Muszę napisać „przypuszczalnie” bo właściwie to miejsce jego urodzenia nie jest znane, a domyślamy się go jedynie z tego, że z Legnicą był związany, tutaj się uczył, mieszkał i pracował. Ojciec jego pochodził z Turynii, a matka była Polką ze Śląska. Kiedy miał dziesięć lat oglądał najazd Tatarów i był świadkiem legnickiej klęski. Może wówczas poległ jego ojciec. Niestety możemy tutaj operować tylko przypuszczeniami, ponieważ dane bibliograficzne dotyczące Witelona są bardzo skąpe. W zasadzie wiemy o nim tylko to co sam na kartach swoich dzieł powiedział o sobie. A mówił mało. Był skromny, jak przystało na średniowiecznego mędrca.

W Legnicy pobierał Witelo pierwsze nauki. Najpierw chodził do szkoły parafialnej przy parafii Sw. Piotra, gdzie uczył się tzw. trivium, a więc gramatyki, retoryki i dialektyki. Trudna to była nauka. Bezmyślnie i zdawałoby się bezcelowe wkuwanie zasad gramatyki obcego mu przecież języka łacińskiego, pod ciągłą groźbą kar i dyscypliny, nie kończące się uczenie na pamięć obszernych tekstów i posługa przy wielogodzinnych nabożeństwach. A jakże by się chciało pobiegać z kolegami po legnickim Rynku, gdzie tyle ciekawych rzeczy codziennie można oglądać. Tutaj kupiec z dalekich krain rozkłada swoje towary, zabawnie zachwalając je łamaną polszczyzną. Tam znajoma kramarka rozwiesza wianki smakowicie pachnących obwarzanków. Jak trudno jest wówczas siedzieć w mrocznej komnacie i powtarzać łacińskie deklinacje.

Po skończeniu szkoły parafialnej czekała Witelona dalsza nauka w szkole katedralnej we Wrocławiu, gdzie uczone muzyki, geometrii, arytmetyki i astronomii, ale w jakże ograniczonej postaci, podporządkowanej potrzebom dowodów teologicznych w służbie kościelnej. Wszak człowiek został stworzony w cudowny sposób przez Boga i nie jego jest rzeczą dociekać jak to się stało. Tylko modlitwa i kontemplacja, a najprędzej umartwienie i pokuta może go zbliżyć do Stwórcy. Wszystko inne jest godnym potępienia grzechem, a kto wie czy nie dziełem szatana.

Były to jednak czasy, w których skrupa średniowiecznej scholastyki zaczynała już kruszeć pod wpływem nowych prądów, nieśmiało jeszcze kielujących w nauce. Z wypraw krzyżowych przywożono nie tylko kosztowności i pachnidła Wschodu, ale również stare greckie i arabskie rękopisy. Za ich pośrednictwem odkryto ponownie naukę starożytnych mędrców, z których największego, Arystotelesa, próbowano włączyć do oficjalnej nauki Kościoła. Na Zachodzie działali w tym czasie tacy uczeni jak Robert Grosseteste i jego uczeń Roger Bacon, którzy w swoich dociekaniaх opierali się na matematyce i doświadczeniu, a nie na bezużytecznych spekulacjach umysłowych. Musiały wieści o tych nowych prądach umysłowych docierać do Legnicy i Wrocławia, skoro zdecydował się Witelo na daleką podróż do odległego Paryża. Pieczę przyszedł mu podróżować, jako że był tylko biednym scholarem, którego nie stać było na kupno konia.

Paryż to był dla Witelona inny świat. Ogromne miasto pełne zgłębki i wzrasy, kamiennych domów i wąskich ulic. Oglądał wspaniałe pałace i kościoły z niedawno wybudowaną a już słynną katedrą Notre Dame na czele. Ale Paryż to przede wszystkim Sorbona — jeden z największych uniwersytetów ówczesnego świata. Świątynia nauki, miejsce w którym ścierały się różne prądy umysłowe i różne szkoły. Paryż to ogromnie dużo ksiąg, innych niż zawierały skromne biblioteki w Legnicy czy Wrocławiu. Paryż to wykłady słynnych uczonych, to dysputy i dyskusje. Jakże spragniony był tego młody człowiek z Polski. W Paryżu, dzięki listom polecającym proboszcza z Legnicy Henryka, dostał się Witelo do bursy prowadzonej dla scholarów w klasztorze dominikańskim. Ciasno tam było i niedźnie. Trzeba było uczestniczyć w licznych modłach i nosić strój zakonny. Ale za to dawano jeść i można było się uczyć. Tej nauki było bardzo dużo. Studia na wydziale sztuk nie pozostawiały scholarom wiele wolnego czasu. A przecież Witelo interesował się nie tylko tym o czym mówili na wykładach profesorowie ale jeszcze medycyną i geometrią. Po wielu staraniach udało mu się dostać do samego Rogera Bacona,

Witelo — pierwszy polski uczony

Janusz Chutkowski

co było nie lada wyróżnieniem, gdyż Bacon w zasadzie nie przyjmował już nowych uczniów. Pod jego kierunkiem rozpoczął Witelo lata studiów. Czytał księgi Arystotelesa, Platona, Awicenny i innych mędrców starożytnych, uczestniczył w doświadczeniach optycznych, które z upodobaniem przeprowadzał Bacon. Zainteresował się nim nawet jeden z największych ówczesnych doktorów Kościoła Tomasz hr. z Akwinu.

Jakże szybko upłynęło te siedem lat. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych trzynastego wieku przyszedł Witelonowi wracać do kraju z dyplomem magistra artium. Znowu znalazł się w Legnicy. Przypuszczalnie przyjął posadę nauczyciela w szkole, w której sam się niegdyś uczył. Został też plebanem parafii Sw. Piotra. W Legnicy Witelo miał wielu przyjaciół. Należeli do nich Henryk — pleban parafii Sw. Piotra, Milej — archidiacon legnicki, magister Ludwik — notariusz i lekarz oraz rycerz Henryk Kot. Było ich pew-



no więcej, ale czas zatarł imiona. Młodemu magistratowi czas upływał więc nie tylko na modlitwie i pracy, ale chyba również na dysputach w gronie przyjaciół, a może i przy szklanicy dobrego wina lub kufli piwa. Legnica w tamtych latach rozwijała się dosyć szybko. Spalona i zniszczona przez Tatarów w 1241 r. otrzymała w 1241 r. prawo niemieckie, co spowodowało znaczny napływ nowych mieszkańców, niestety głównie kolonistów niemieckich. Niemcami też lubił się otaczać książę legnicki Bolesław Rogatka, jako że spodziewał się znaleźć u nich pomoc w walce z braćmi Henrykami wrocławskimi i Konradem głogowskim. Ale Legnica nie jest jeszcze niemiecka. Ciągłe przeważa tutaj element polski i sam książę nie bardzo umie się wysłowić po niemiecku. Polskie są także okoliczne wsie z wyjątkiem niewielu tych, które niedawno lokowano na prawie niemieckim.

W 1262 r. Witelo wyjechał razem z młodym księciem Władysławem, bratem książąt legnickiego, wrocławskiego i głogowskiego do Padwy. Miał być doradcą i opiekunem Władysława w czasie jego studiów prawa kanonicznego na tamtejszym uniwersytecie. Witelo nie byłby jednak sobą gdyby sam nie podjął studiów prawniczych. Ukończył je w 1263 roku i stamtąd dopiero udał się na dwór papieski do Viterbo.

Musimy jednak zatrzymać się chwilę na padewskim etapie życia Witelona. Tutaj przecież powstały dwie jego krótkie rozprawki „O żalu za grzechy” i „O naturze demonów”. Miały one formę listu do mistrza Ludwika, który w tym czasie przenosił się już do Lwówka. W tej drugiej Witelo wykazał że większość zjawisk cudownych i nadprzyrodzonych, większość demonów których się ludzie tak obawiają, jest wynikiem złudzeń albo zaburzeń umysłowych

Twierdził, że tylko nieliczne z „ukazujących się” demonów rzeczywiście istnieją, składają się z duszy i ciała, żyją bardzo długo lecz są jednak śmiertelne. Zalecał również aby dzieciom nie mówić o demonach bo strach przed nimi pozostanie już na całe życie. Nie bardzo to było zgodne z nauką Kościoła, ale jakoś uszło, to Witelonowi na sucho. Po prostu miał szczęście, a może było to niedopatrzenie właściwych urzędników.

W 1268 r. wyruszył Witelo do Rzymu i znalazł się w letniej rezydencji papieża Viterbo. Tutaj nawiązał wiele stosunków i przyjaźni. Związał się z wybitnym uczonym, znanym tłumaczem greckich traktatów matematyczno-przyrodniczych, spowiednikiem papieskim Wilhelmem z Moerbecke. Zdolał go namówić do przetłumaczenia na język łaciński potrzebnych mu do pracy traktatów greckich: Archimedeasa, Eutyklidasa, Apolloniosa, Herona i Ptolomeusza. Około 1270 r. Witelo ukończył swoją wielką pracę zatytułowaną „Perspectivum libri decem” czyli — dziesięć ksiąg o perspektywie. Została ona zadeklarowana Wilhelmu z Moerbecke.

„Perspectiva” jest jedyną większą, zachowaną do naszych czasów pracą Witelona, ale również tą, która przyniosła jej autorowi ogromną, trwającą kilka stuleci, sławę. Była ona wynikiem wielu przemyśleń, wielu doświadczeń i obserwacji poczynionych podczas jego pracowitego życia. Była też sumą ówczesnej wiedzy o zjawiskach optycznych — podręcznikiem uniwersyteckim, liczącym w późniejszych drukowanych wydaniach 474 strony. Właśnie w Viterbo miał Witelo dosyć czasu aby ukończyć swoje dzieło. Musiał przecież czekać na zakończenie ciągnącego się w nieskończoność konklawe kardynałów po śmierci papieża Klemensa IV, aby załatwić sprawy dla których został do Rzymu wysłany. Po wyborze Grzegorza X (1 września 1271 r.) wypadało jeszcze czekać aż powróci on z wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej. Można więc było spokojnie pracować, a przyjaźń i opieka możnego Wilhelma z Moerbecke chroniła od trosk materialnych, zapewniała odpowiednie warunki i pomoc. W zbłętzowanej biografii mistrza Andrzej Korsak tak opisał zakończenie tego dzieła.

„Witelo przeszedł kruzganek pałacu kardynalskiego do sali „dominikańskiej”, gdzie dwóch zakonników śleczono nad przepisywaniem jego notatek. Jeden pisał gęsim piórem na luźnych kartkach pergaminu, drugi natomiast iluminował tekst pięknymi inicjałami oraz wykonywał rysunki techniczne.

— Ojciec Witelonie — powiedział — już po raz trzeci przerabiam ten rysunek załamywania się promieni świetlnych. Teraz powinien być dobry. Mam też namalowaną stronę tytułową. Może podejdziesz bliżej okna.

Witelo ze wzruszeniem pochylił się nad pierwszą stroną swojego największego dzieła „Perspectiva” składającego się z 10 ksiąg. Tyle dawał projektów, co ma się znajdować na tytułowej karcie, że w końcu sam przestał wierzyć, że ornamentator zadowoli jego wyszukane marzenia.

Na okładce szumiło morze. Na falach tego morza nieprzyjacielskie okręty zbliżają się do jakiegoś portu. Lecz co to? Na pokładzie największej z galeri wybucha pożar, płonie maszt, bocianie gniazdo i pokład. Co się stało? Nikt ich nie ostrzegł, nikt nie napadł. Jest to nieopatrzenie, gdyż wiedza walczy z przemocą. Oto miasto miało wkłęśle lustra, które za pomocą odbitych promieni słonecznych spowodowało zapalenie się okrętów.

To podobno Archimedes w ten sposób zapalił flotę rzymską oblegającą Syrakuzy. Witelo nigdy nie widział takich zwierciadeł wkłęśłych, ale dzięki znajomości geometrii obliczył ich realność.

Z boku widać słońce, które z oddali wydają się mniejsze od człowieka narysowanego na pierwszym planie. Nogi tego człowieka znajdują się w wodzie i obraz ich ulega pozornemu załamaniu. Z boku ktoś go podgląda, ale służący widzi ich wzrutek w lustrze. Z lewej strony jest most, z przodu szeroki,

w dali wydaje się węższy. Nad górami w głębi obrazu jaśnieje wielobarwna tęcza.

— Bardzo wam dziękuję — wyszeptał wzruszony Witelo.

Następne lata poświęcił Witelo działalności dyplomatycznej, a może raczej próbował poświęcić się tej działalności, nie bowiem nie wskazuje na to aby na tym polu osiągnął powodzenie. Uczony, przywykły do szukania prawdy, nie mógł być najlepszym dyplomatą. W każdym bądź razie w 1274 r. udaje się jako poseł razem ze swoim kolegą magistrem Teodorykiem na polecenie króla Przemysła Ottokara II z misją specjalną na sobór w Lyonie. Miał tam zjednać papieża Grzegorza X dla planów politycznych Przemysła, ale został pokonany przez jego przeciwnika króla Rudolfa Habsburga. W wyniku tego Przemysł Ottokar pozbawił Witelona stanowiska swojego kapelana. Było to nie tylko przykre i narażało na szwank ambicję uczonemu ale też pozbawiało go dochodów związanych z tym stanowiskiem.

W 1274 r. Witelo wyrusza z powrotem do kraju. Udaje się do Wrocławia i tutaj biskup Tomasz II mianował go kanonikiem Katedry wrocławskiej. Musiał jednak jeszcze czas jakiś czekać na uposażenie związane z tym stanowiskiem. Dopiero w następnym roku książę Henryk Probus przekazał mu w posiadanie wieś Żurawina (obecnie Wilkowice). Od tego czasu miał już Witelo zapewnione materialne warunki egzystencji.

Niewiele wiemy o dalszych losach Witelona. Brak dokumentów pozwala jedynie na domysły i rekonstrukcje. Prawdopodobnie w latach osiemdziesiątych znalazł się znowu w Legnicy i pracował jako nauczyciel w szkole przy parafii Sw. Piotra. Szkółkę tę miał zreformować, wprowadzając do niej wykreśli z elementów filozofii Arystotelesa. Zrobił to pewno nielegalnie bo w 1290 r. biskup wrocławski wydał zakaz nauczania w tej szkole przedmiotów uniwersyteckich (cofnięty dopiero w 1309 r.). Przypuszcza się, że jego uczniem w tej szkole mógł być słynny Franko z Polski, wynalazca średniowiecznego instrumentu astronomicznego — torquetum.

Trudno też coś bardziej szczegółowo powiedzieć o środowisku, w którym wypadło spędzić Witelonowi ten ostatni okres życia. W każdym bądź razie Legnica nie była już tym miastem, które pamiętał z lat swej młodości. Proces germanizacji pod rządami syna Rogatki, księcia Henryka Grubego, postępował bardzo szybko. Niemcy piastowali już wszystkie najważniejsze stanowiska, wykupili nawet legnickie wójtostwo. Niewiele się chyba jednak pomylił jeżeli wyrażę przypuszczenie, że niełatwo było Witelonowi pogodzić się z tymi zmianami.

Tajemnica, która otacza ostatnie lata życia Witelona dotyczy również jego śmierci. Ściśle mówiąc nie wiemy nawet kiedy umarł. Jedynie z tego, że w 1314 r. jego młodszy kolega ze szkoły katedralnej we Wrocławiu Henryk kazał modlić się za jego duszę wiemy, że śmierć Witelona musiała nastąpić przed tą datą. Żył więc ponad osiemdziesiąt lat.

Jak w kilku zdaniach ocenić mistrza Witelona? Uważał Śląsk za swoją ojczyznę i twierdził, że jest częścią Polski. W jego podstawowym dziele „Perspectiva” zawarte zostało wszystko, co na temat światła, jego istoty i właściwości znała średniowieczna nauka, uporządkowane i usystematyzowane oraz uzupełnione własnymi badaniami uczonemu. Księgi te stanowiły podstawowy podręcznik optyki i były wydawane aż do XVII wieku. Pokolenia młodych adeptów wiedzy pochylały się nad nimi. Stanowiły dla każdego badacza podsumowanie wiedzy o optyce, próg od którego należało rozpocząć badania, aby pchnąć naukę naprzód.

Jakże zazdrościć musi Witelonowi współczesny uczyony, którego prace naukowe już po kilku latach stają się nieaktualne, ale o ileż trudniej było w trzynastym wieku stawiać te pierwsze kroki. Chyba więc warto było przypomnieć dzieje jego życia.

Ze Zbigniewem Jerzym Antkowiakiem, projektantem mody, dyrektorem ds. wzornictwa PP „Moda Polska”, rozmawia Agnieszka Szydłowska.

Inwencja i wyobraźnia

● Czy dziś znajdzie pan jeszcze czas, aby udzielić wywiadu dla „Konkrety”?
— Pod jednym warunkiem: że nie będzie pani pytać o ceny w sklepach „Mody Polskiej”...

● Właśnie od tego chciałam rozpocząć naszą rozmowę! Przed chwilą byliśmy w legnickim sklepie firmowym „Mody Polskiej” i wyszliśmy stamtąd z uczuciem niedosytu. Mało atrakcyjnych wzorów, a modny krój gubi się w fałdach byle jakiego materiału, z którego ubiory wykonano. Ranga sklepu bardzo się ostatnio obniżyła, ceny — przeciwnie.

— To prawda, że tak obecnie wyglądają nasze sklepy firmowe, ale przyczyny tego stanu rzeczy są zupełnie niezależne od chęci i woli projektantów mody. Projektanci często nie mają wpływu na rodzaj tkanin, z jakich wykonuje się projektowane wzory. A jeżeli już uda nam się dzianinę sprowadzić z zagranicy, to płacimy solidny podatek, podrażający koszty gotowego wyrobu. Szyje się więc z tego, co jest — i rzeczywiście, wiele wzorów na tym traci.

● Jak to się dzieje, że asortyment sklepów „Mody Polskiej” tak dalece odbiega od prezentowanych na pokazach mody kolekcji?

— Wydaje mi się, że mówimy o dwu różnych rzeczach: co innego projektowanie i prezentowanie mody, a co innego działalność handlowa. PP „Moda Polska” nigdy nie stawiała sobie za główny cel zaspokojenia wszystkich potrzeb rynkowych w zakresie odzieży. Produkcja własna stanowi zaledwie osiem procent obrotów przedsiębiorstwa. Nadrzednym celem „Mody Polskiej” jest kreowanie i prezentowanie mody — i cel ten spełniamy.

● O tak, dotarliśmy do nas informacje o najnowszych sukcesach. W październiku fragment kolekcji jesienno-zimowej „Mody Polskiej”, zaprojektowanej przez pański zespół, nagrodzono złotym medalem na Targach Lipskich. To chyba duża satysfakcja?

— Tym większa, że szujemy... z niczego. Konkurencję mieliśmy „mocną”, oczy nam wychodziły na wierzch na widok tkanin, z których wykonano te kreacje: cudowne futra, miękkie, puszyste wełny, bajecznie kolorowe jedwabie. A my — mamy do dyspozycji kawałek zgrzebnej bawełny, z której naprawdę trudno wykonać oszałamiającą kreację. Gospodarze szczerze nas podziwiali: „Jak to, macie u siebie kryzys, a mimo to potraficie prześcignąć najlepszych?” Odpowiedziałam, że owszem, z tym kryzysem to prawda, ale z jednym wyjątkiem — nie mamy kryzysu wyobraźni...

● Odkrył pan chyba istotę współczesnej mody, tak kapryśnej i zmiennej,



Fot. J. Budnicki

nie liczącej się z nikim i z niczym. Modę, jako zjawisko socjologiczne naszych czasów, zaczynają już nawet dostrzegać i opisywać poważni naukowcy. Jest to bardzo intrygujące: wbrew zdrowemu rozsądkowi, nie bacząc na wydatki, odrzucając rzeczy nawet nowe, ale już niemodne, aby zastąpić je nowszymi i modniejszymi... Z pragmatycznego punktu widzenia nie ma to żadnego sensu, a jednak dyktaturze mody poddają się dobrowolnie miliony ludzi na całym świecie.

— Powiedziałbym, że moda to coś więcej, niż tylko sposób ubierania. Każda moda jest elementem kultury, ilustracją czasu, w którym żyjemy, i sprawdzianem pomysłu każdego z nas na samym sobie. Stosunek do mody jest rzeczą indywidualną i zaspokaja różne potrzeby ludzkie. Jedni chcą ubiorem imponować, inni — wtopić się w tłum. Strój jest nawet nie zawsze świadomą formą wyrażania naszej osobowości.

● Czyli pokaż mi, jak się ubierasz, a powiem ci, kim jesteś. Z tego wniossek, że powinniśmy większą wagę przywiązywać do ubioru?

— Dla mnie moda jest zjawiskiem wspaniałym, bo pozwala korygować i upiększać naturę. Nie znaczy to, że należy poddawać się jej bezkrytycznie. Większość kobiet popełnia zasadniczy błąd, stosując się niewolniczo do wymogów aktualnej mody. Z każdą modą tak jest, że im więcej pooglądamy i próbujemy w domu, tym mniej ośmieszamy się wychodząc na ulicę. W ubiorze

zdrowy rozsądek jest rzeczą najważniejszą.

● Ale właśnie w modzie nie chcemy się kierować zdrowym rozsądkiem! Zwłaszcza piękniejsza połowa ludzkości chętnie ulega wszelkim ekstrawagancjom i szaleństwom mody. I tu rodzą się frustracje: na pokazach mody wysokie, szczupłe modelki prezentują szalone kreacje, a przeciętna Polka, która ma o kilka kilogramów za dużo lub parę centymetrów za mało, zamartwia się, jak „to” na siebie włożyć. Czy więc pokazy mody nie są tylko sztuką dla sztuki?

— Po to jest moda, i po to jest kolekcja, aby wychwycić z niej coś dla siebie. Nie znaczy to, że jak pokażemy kilka wzorów płaszczy, to wszyscy mają w nich chodzić. Osobiście za sukces uważam to, jeśli ktoś wybierze z wachlarza propozycji na przykład modne zestawienie kolorystyczne. Pokaz mody powinien nam mówić nie tylko o tym, w czym mamy chodzić, ale także — czego powinniśmy unikać. „Tak ta moda wygląda — przestrzegamy!”

● Skąd czerpie pan pomysły przy tworzeniu kolekcji wiodącej?

— W dziedzinie mody ciągle jeszcze prym wiedeń Paryż, chociaż ostatnio coraz bardziej zaznaczają swoją obecność w modzie także Japończycy. Ale i oni, i wszyscy znaczący projektanci mody na świecie rokrocznie uczestniczą w targach odzieżowych Pret a Porter oraz Haute Couture — tygodniu wielkiego krawiectwa w Paryżu. Również przedstawiciele „Mody Polskiej” uczest-

niczą w tych gigantycznych pokazach, a następnie, przestrzegając głównych tendencji w modzie światowej, tworzą kolekcję uwzględniającą nasze warunki klimatyczne i wzbogaconą o pomysły własne.

● Jakże są „przykazania” mody na najbliższy okres?

— Współczesna moda niczego nie nakazuje, natomiast podpowiada wspaniałe. Kolekcje Pret a Porter, prezentowane na targach odzieżowych, zapowiadały na jesień — zimę modę obszerną, wielowarstwową, o zróżnicowanych długościach, bardzo konstrukcyjną i niespokojną. Jest ona piękna i malownicza, ale i niezwykle trudna, jeśli chciałoby się traktować ją dosłownie. Nie można jednak tej mody nie zauważać, bowiem jej geometryczność, asymetria i śmiałość konstrukcji, według wszelkich prognoz ma być kontynuowana. Tydzień wielkiego krawiectwa Haute Couture potwierdził te tendencje. Tu również występuje obszerność form, śmiałość konstrukcji, zamaszystość i odwaga w łączeniu warstw i poszczególnych części ubioru, piękne i nowe zestawienia kolorystyczne.

● Czyli duża dowolność, miejsce na inwencję i własny styl...

W obecnej modzie łączy się w sposób nietradycyjny wiele przeciwstawnych kierunków. Modne są np. bardzo kobiece sukienki o linii węzowej, zapinane na plecach i dekoltowane, wraca „mała czarna” na wszystkie okazje, a obok tego szalenie modny jest styl „męski” w modzie damskiej: obszerne, „za duże” spodnie, ściągnięte paskiem, luźna marynarka. Z tkanin — znów modny jest dżins, także tweed, flausz, flanela wełniana, żorżeta drukowana, aksamit, aksamit, koronka. Zestawy krat — średnich i małych, czasem w jednym modelu łączenie kilku tkanin gładkich.

● Właśnie tkanin po prostu brak w sklepach. Co gorsza — mamy znów nosić się dłużej, nad kostkę. Jak z tego wybrnąć?

— Moda może być dobrą inwestycją, pod warunkiem, że niczego nie będziemy wyrzucać ani przerabiać. Proponuję Waszym czytelnikom przejrzeć szaf — na pewno znajdzie się w nich zapomniana, „romantyczna” bluzka, wirująca, plisowana spódnica, czy przyciasna na męza marynarka. Połączone z nowymi dodatkami dadzą zupełnie nowy, modny efekt. A co do długości... Takie są niestety tendencje w modzie światowej.

● Ten argument jest wystarczający. Skoro paryżanki zaakceptowały dłuższe ubiory, Polki nie zechcą okazać się gorsze.

— Chciałbym jeszcze raz przestrzec przed bezkrytycznym naśladownictwem mody. Warto najpierw sprawdzić, przemierzyć, obejrzeć się w lustrze, zdecydować, w czym czujemy się najlepiej. Obecna moda jest tak zróżnicowana i tolerancyjna, że każdy może sobie wybrać z niej to, co mu najbardziej odpowiada. Proszę przypomnieć sobie nie tak odległe lata sześćdziesiąte, to dopiero była prawdziwa dyktatura mody, kiedy wszyscy ubierali się i czesali według jednego schematu. Moda dzisiejsza stwarza pod tym względem o wiele większe możliwości.

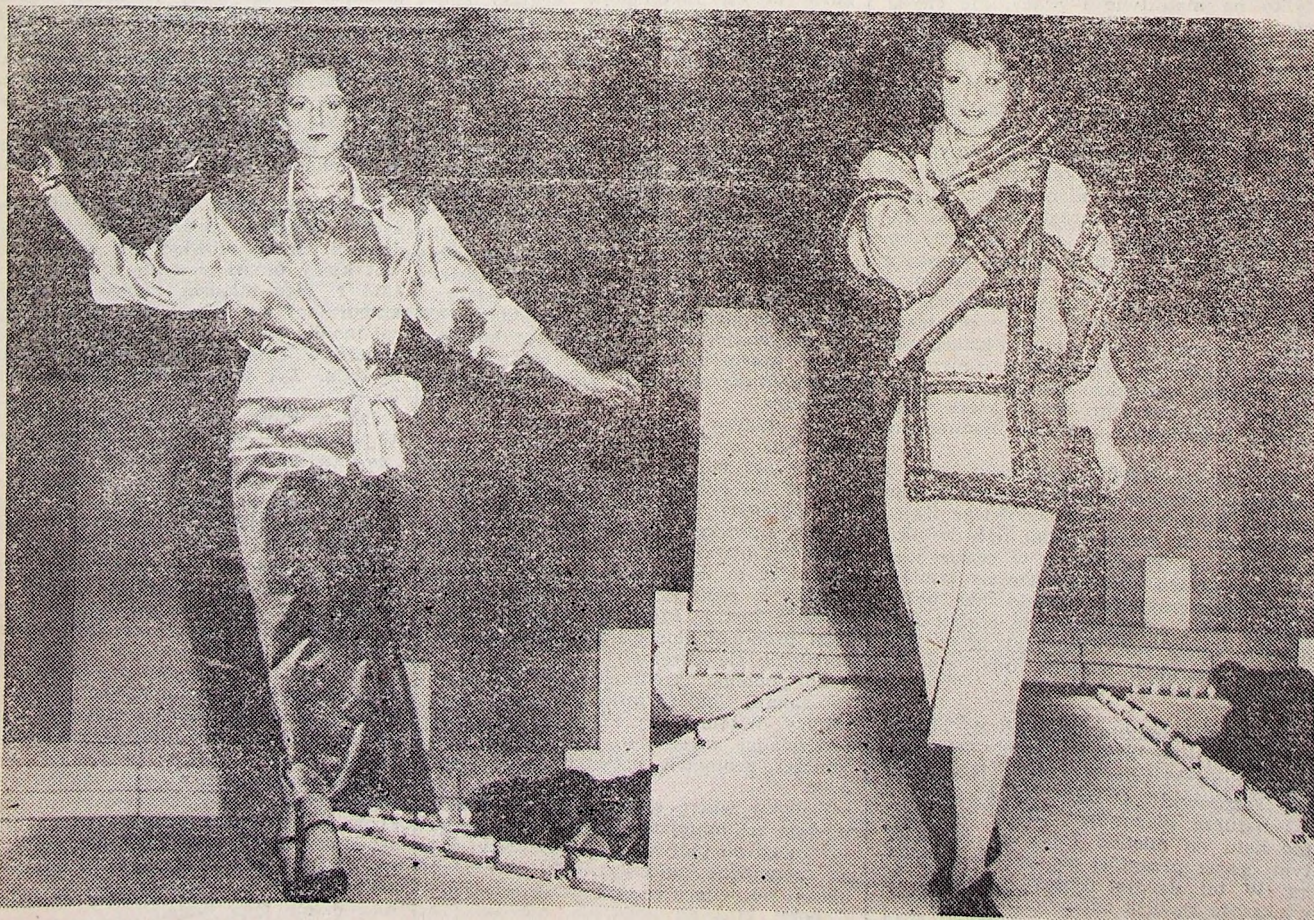
● Nie sądzę, abyśmy tak rozległy temat zdołali wyczerpać w dzisiejszej, krótkiej rozmowie. Na zakończenie proszę powiedzieć coś o sobie. Jak został pan projektantem mody? I to takim, o którym prof. Bardini powiedział „jest pan wielkim artystą”?

— Może z tym artystą trochę przesadził, ale sprawiło mi to przyjemność. Tym bardziej, że przed laty kiedy jeszcze studiowałem na wrocławskiej PWSP malarstwo ceramiczne, marzyłem o zawodzie projektanta mody. No i dzięki szczęśliwemu spotkaniu z panią Grabowską, już dwadzieścia cztery lata „robię” w tym interesie. Skrywam się za świat robienia mody, bo to jest wspaniała iluzja...

● I jednocześnie szereg wspaniałych niespodzianek dla pańskiej żony, która nie martwi się o to, co ma na siebie włożyć.

— Przeciwnie! Moja żona jest kobietą z charakterem i nie zawsze zachwycają ją projektowane przeze mnie ubiory. Swoje suknie projektuje i szyje sama...

● Jest to ogromnie pocieszające dla tych wszystkich pań, których mężowie nie są projektantami mody. Dziękuję za rozmowę.



Propozycje na karnawał i wiosnę 85.

Top '84



Kora i Maanam — jak co roku — w czołówce.

Fot. Janusz Budnicki

1. „Skóra” — AYA R.L.
2. „Obcy astronom” — REPUBLIKA
3. „Luciola” — MAANAM
4. „Mała Maggie” — AZYL P.
5. „Stan gotowości” — LOMBARD
6. „Malinowy król” — Urszula
7. „Heavy Metal World” — TSA
8. „Kochać cię, za późno” — KOMBI
9. „Ohyda” — LADY PANK
10. „Simple story” — MAANAM
19. „Kartka dla Waldka” — Mr. Z'OOB
20. „Dzień, w którym pękło niebo” — DZEM
- „Jestem tylko kobietą” — MAANAM
- „Podwórkowa kalkomania” — Urszula (3 poz. ex aequo)

Ciekawe, prawda? Zaczę od samochwalstwa. Parę miesięcy temu Paweł Kukiz, wokalista grupy AYA R.L. podzielił mi kasetkę z nagranymi domowym sposobem nowymi utworami. Wówczas o zespole nikt jeszcze nie słyszał. Przesłuchałem i stwierdziłem: „Słuchaj, Paweł, jest tu jeden utwór, który może być murem hitem”. A dodać trzeba, że wtedy jeszcze piosenka nie miała tekstu i z kasety słychać było jakieś takie tralala, czyli — jak mówią muzycy — „śpiewanie na rybę”. Paweł zaś zaczął kręcić nosem. Po prostu nie mógł uwierzyć. I oto — czarne na białym — wyszło, że to ja miałem rację. „Skóra” jest bardzo inteligentnym połączeniem typowo słowiańskiej liryki z nowoczesnym elektronicznym brzmieniem. Ja po prostu wiedziałem, że w najbliższym sezonie „będzie się to nosić”. Bo w wypadku tej akurat grupy trzeba wiedzieć jeszcze jedno. „Duch sprawczy” zespo-

łu i zarazem „operator ciężkiego sprzętu klawiszowego” Igor Czerniawski, człowiek, który obrzydza sąsiadom życie, ćwicząc w mieszkaniu dzień i noc, jest z pochodzenia Rosjaninem. I tak jak John Porter — Anglik — pokazał Polakom, jak śpiewać rocka, tak Igor ujawnia nutki i brzmienia na ogół nie spotykane w naszej muzyce rockowej. A żeby skończyć temat pozycji nr 1 na liście dodam, że zdumiała mnie prywatna płytoteka Igora. Tam prawie wcale nie ma „kawalków” rockowych. Jest natomiast Strawiński, Czajkowski, Rimski-Korsakow i inne potęgi muzyki poważnej.

Wszystko to dobrze, ale żeby debiutancki zespół jednym nagraniem wykończył całą polską czołówkę rockową? A gdzie się pochowali zagorzali fani zwłaszcza LADY PANK; zespołu, który w ubiegłym roku rozstał się z większością po kątach znakomitej większości list przebojów i plebiscytów popularności? Bo warto powyższą listę uzupełnić informacją, że dwie ostatnie pozycje z pierwszej dziesiątki są trochę „wycisnione”. Sądząc z liczby głosów niewiele brakowało, by kapryśna LADY w ogóle nie znalazła się na płycie „Top 84”.

Natomiast bezsprzecznie najlepszą polską grupą rockową okazał się MAANAM, blokując jedną czwartą wykazu, czyli pięć pozycji, w tym dwie w pierwszej dziesiątce.

Warto też zwrócić uwagę, że poza AYA i bardzo odległym Mr. Z'OOBEM nie znajdujemy grup — objawień; młodych grup, które zaistniały artystycznie w 1984 r. Czy to oznacza, że takich zespołów nie ma? Oczywiście bzdura, zwłaszcza dla kogoś, kto był w Jarocinie. Nie najlepsze świadectwo wystawia ta lista elektronicznym środkiem przekazu, czyli — zwłaszcza — radiu i telewizji. Gdyby bowiem ktoś z zewnątrz, ktoś nie znający polskiej muzyki rockowej, chciał wyciągać wnioski na podstawie tej listy (czyli praktycznie — polityki promocyjnej RiTV), mógłby dojść do wniosku, że nie istnieje u nas muzyka reggae, czy punk w czystej postaci. Wszak mówi się o takich kapelach, jak ISSIAEL czy SIEKIERA, DEZERTER, TILT, KENNA. A kto je słyszał w radiu? Kto je oglądał w telewizorze?

Dla mnie ta lista — aczkolwiek wymieniałą autentyczne przeboje — jest jaskrawym dowodem skostnienia elektronicznych środków przekazu. Zaczynamy powoli opierać się niemal wyłącznie na dobrze sprawdzonych wzorcach. Ja to już kiedyś przeżyłem. Były dwie kapele tzw. „wiecznie żywe” — czyli SKALDOWIE i CZERWONE GITARY, a młodym nie dawano szans pokazania swych umiejętności. Czy podobny mechanizm grozi nam obecnie?

3. POD BUDĄ — „Post-scriptum”
4. Halina Frąckowiak — „Serca gwiazd”

POLSKIE NAGRANIA — tłocznia MUZA —

1. Przeboje Czterdziestolecia (zestaw 5 płyt)
2. BUDKA SUFLERA — „1974—1984”
3. ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY — „Oddział Zamknięty”
4. Halina Frąckowiak — „Ogród Luzy”
5. KOMBI — „Nowy rozdział”
6. BANDA i WANDA — „Banda i Wanda”

„PRONIT” —

1. Krzysztof Cugowski i CROSS — „Podwójna twarz”
2. PORTER BAND — „China Disco”
3. Krystyna Prońko — „Krystyna Prońko”
4. Elżbieta Mielczarek — „Blues Koncert”
5. BAJM — „Bajm”
6. Józef Skrzek — „Pamiętnik Karoliny”
7. John Porter — „Magic Moments”
8. Martyna Jakubowicz — „Maquillage”

Wybrałem pozycje niekoniecznie klasyfikujące się w obrębie ortodoksyjnego rocka, lecz także jego korzeni (Mielczarek, Prońko) i co ciekawsze numery katalogowe nurtów nierockowych (POD BUDĄ), czy pastiszu disco-rocka (Franek Kimono). Uważam, że te wszystkie płyty powinny znaleźć się w płytotece szanującego się miłośnika muzyki rozrywkowej. Ze zbyt duże wymagania? Ze to straszne pieniądze? No cóż... Albo się swoje hobby traktuje poważnie i wtedy robi się wszystko łącznie ze stawianiem na głowie i hurtową wyprzedażą butelek, albo... przypominam mi się anegdota — rozmowa dwóch przyjaciółek o trzeciej. Ta trzecia ma akurat imię niny i trzeba jej dobrać jakiś prezent. Pierwsza proponuje: to może by jej kupić książkę? Na to druga: a po co jej książka? Przecież jedną już ma!

ARSTON —

1. Franek Kimono (również kasetą)

TONPRESS —

1. DWA PLUS JEDEN — „Bez limitu”
2. LADY PANK — „Lady Pank”
3. „The Best Of TONPRESS”
4. KLAUS MITFFOCH (jednak chyba w styczniu 85)
5. UB 40
6. INNER CIRCLE — „Something So Good”
7. CLASSIX NOUVEAUX — „Classix”
8. MADNESS — „Complete Of Madness”
9. Peter Green — „Portrait”

KLUB PLYTOWY „RAZEM” —

1. MAANAM — „Night Patrol”
2. LOMBARD — „Wolne od cła”
3. AZYL P. Live
4. Antologia polskiego rocka (zestaw reedycji)

WIFON —

1. Marek Biliński — „Ogród króla świątu”
2. Jacek Skubikowski — „Jedyny hotel w mieście”

Przeboje mijającego ro(c)ku

Koni-c roku sprzyja różnym podsumowaniom i rozliczeniom. Przekopałem ostatnio swoją płytotekę i doszedłem do wniosku, że w obrębie interesującej mnie muzyki znalazło się parę płyt, będących świadectwem tego co w polskiej muzyce rozrywkowej wartościowe. Było też i parę „bubli”, lecz przecież to co dla mnie jest „bublem”, dla kogoś innego może być „samym miodem”. Oto dziś — by ucieścić kolekcjonerów — wykaz płyt, które ukazały się w mijającym roku. Na marginesie — jeżeli informuję, że płyta się ukazała, oznacza to tylko tyle, że ukazała się w Polsce. Natomiast nie oznacza, że akurat w Legnicy i okolicy, bo znam przypadki, gdy dany tytuł był do kupienia w kilku wybranych sklepach Warszawy, natomiast do innych miast trafiał nawet po roku.

POLTON —

1. MAANAM — „Nocny patrol”
2. TSA — „Heavy Metal World”
3. Marek Biliński — „Porachunki z bliźniakami” (maxi-singiel)
4. Marek Biliński — „E nie równa się mc”
5. REPUBLIKA — „Nieustanne tango”
6. BUDKA SUFLERA — „Czas czekania, czas ośnienia”

SAVITOR —

1. REZERWAT — „Rezerwat”
2. Jacek Skubikowski (wersja angielska)
3. „Na luzie” (różni wykonawcy — składanka)

Notki i plotki ciekawostki

● Popularny swego czasu zespół HISTERIK FILIP wyszedł już z wojska, gdzie występował pod nazwą ROGATYWKI i przystąpił do opracowywania nowego programu. Efekty oczekiwane w styczniu na koncertach promocyjnych prawdopodobnie w warszawskim klubie studenckim „Park”.

● 29 grudnia br. ma odbyć się w Łodzi na scenie Teatru Wielkiego widowisko muzyczno-baletowe oparte na twórczości Grzegorza Ciechowskiego i REPUBLIKI. Spektakl zostanie powtórzony na Małej Scenie warszawskiego Teatru Wielkiego. Tytuł widowiska: „Mówcy”.

● W tegorocznym festiwalu jarocińskim wziął udział Stanisław Sojka i fantastyczna grupa SVORA, w składzie której wystąpili muzycy dobrze znani z takich formacji, jak: KRZAK, PERFECT, TIE BREAK. Obecnie zespół się usamodzielniał i występuje pod nazwą WOO BOO DOO (jeżeli ktoś to odczyta jako Lu Bu Du — to nie będzie błąd) w następującym składzie: Janusz Iwański i Andrzej Urny — gitary; Antoni Gralak — trąbka, śpiew; Mateusz Pospieszalski — saksofon altowy, śpiew; Marcin Pospieszalski — gitara basowa; Andrzej Ryska — perkusja, śpiew.

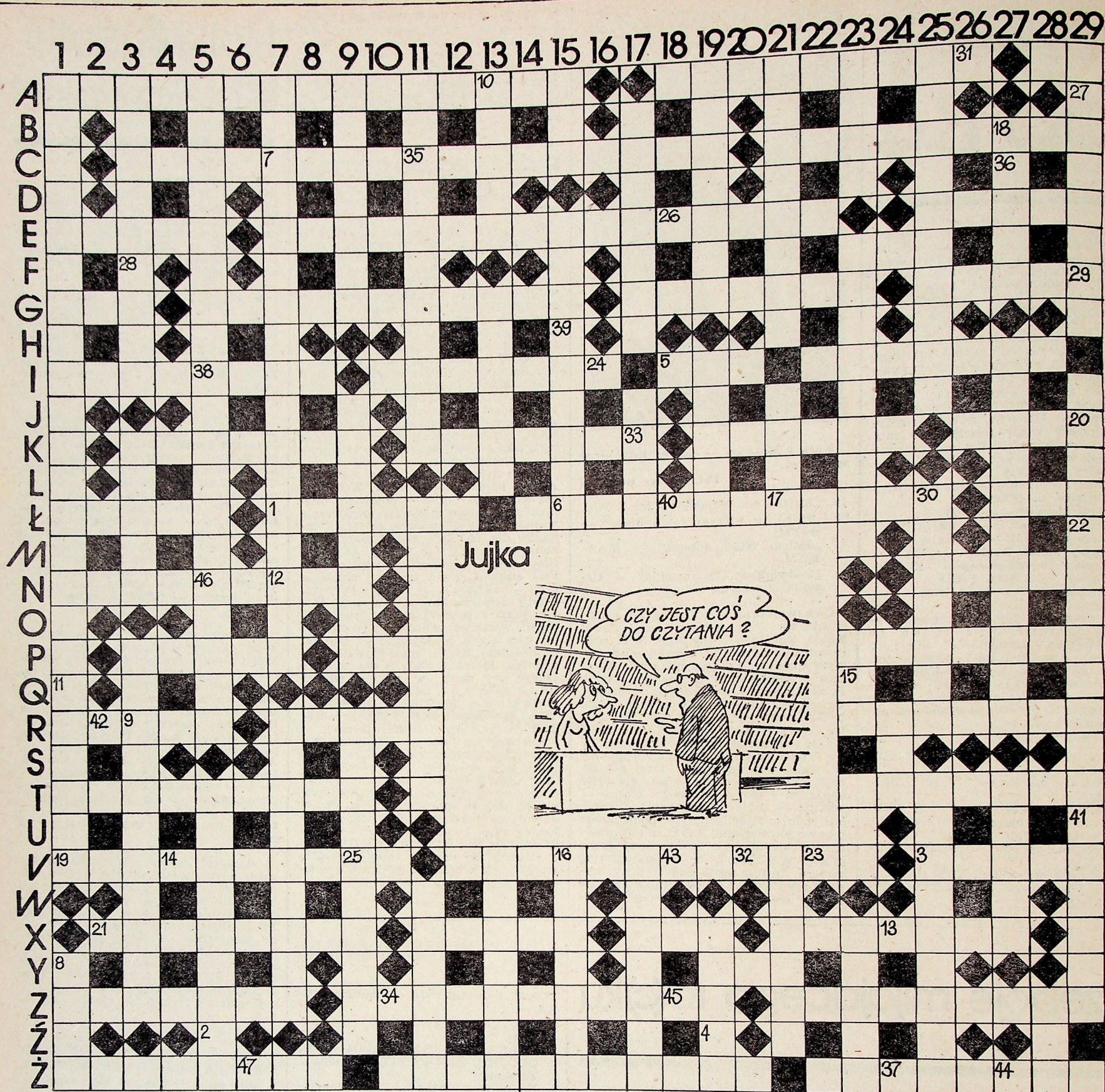
● Swego czasu poddałem w wątpliwość fakt występowania jednej z tej samej płyty pod dwoma różnymi numerami katalogowymi i różnymi nalepkami firmowymi. Chodziło o płytę Franka Kimono. Oto wyjaśnienie rzeczniaka prasowego Polskich Nagrań p. Romana Dębickiego: „Sprawa wygląda następująco: W 1984 r. PP Polskie Nagrania podpisały umowę na wyłoczenie dla Arstonu 100 tys. płyt Franka Kimono. Umowa przewidywała jednocześnie wyłoczenie dodatkowych 50 tys. płyt z przeznaczeniem dla Polskich Nagrań. Oto cały powód pojawienia się tej płyty pod dwoma numerami katalogowymi”.

Od siebie dodam. Wszystko byłoby cacy, gdyby chodziło tylko o dwa numery (arstonowski i Polskich Nagrań), bo mętnik katalogowy jest łatwy do ustalenia. Natomiast nadal nie wiem, czy PP Polskie Nagrania mogą stosować ceny identyczne jak firmy polonijno-zagraniczne. Mówiąc prosto z mostu: jakim prawem PP Polskie Nagrania sprzedawały SWÓJ wyrób za 650 zł? I to chciałbym wiedzieć, a niestety, nie wyczytałem tej informacji z pisma rzeczniaka.

● Już w następnym ROCKONESANSIE relacja z łódzkiego ROCKOWISKA, o ile Wasz korespondent nie zamarnieje, bo rzecz cała zwykła się odbywać w nieogrzewanej hali sportowej.

● W zamieszczonym obok katalogu tegorocznych płyt nie umieściłem jednej pozycji, o której dokładnie nie wiadomo, czy producent (SAVITOR) zdąży na grudzień czy już na styczeń. Album będzie nosił tytuł „Promocje 84” i zawierać będzie nagrania wykonawców, którzy dali się szerzej poznać w mijającym roku. Na płycie znajdują się m. in. nagrania takich grup, jak: AYA R.L., Mr. Z'OOB, L-4, AZYL P., ROXA, CIWILA NIEUWAGI, MADE IN POLAND.

● Prawdopodobnie dojdzie do reaktywowania rozwiązanej niedawno „Federacji Muzyki Rockowej” pod zmienioną nazwą „Federacja Muzyki Młodych”, a skupiającej młodych artystów rockowych, lecz także wykonawców współczesnej muzyki poważnej. Może dojdzie do owocnej dla obu stron konfrontacji, o ile rzecz cała, jak poprzednio, nie rozmyje się na jałowym gadaniu. Potrzeba istnienia placówki promującej i pomagającej młodym twórcom nie ulega kwestii. Było tylko tym razem starczyło pary na działanie.



Krzyżówka-gigant

Wspólnie z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Legnicy przygotowaliśmy tradycyjną krzyżówkę-gigant na święta. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy ATRAKCYJNE POZYCJE WYDAWNICZE (encyklopedie, słowniki, albumy etc.). Po odgadnięciu wyrazów należy ułożyć hasło wypisując litery z krątek oznaczonych liczbami.*

Rozwiązania samego hasła należy przysłać do 15 stycznia 1985 roku pod adresem: Redakcja „Konkretów”, skrytka pocztowa 145, plac Chopina 2, 59-220 Legnica. Na kartce pocztowej należy umieścić dopisek: „Krzyżówka-gigant”.

POZIOMO: A-1) prozaik, A-18) modne, bufiaste spodnie, A-28) wybitna jednostka, C-3) ogrzewa nasze mieszkania, C-21) malowane jednobarwnie jajo wielkanocne, E-1) dawna złota moneta, E-7) okres powracania do zdrowia po chorobie, E-25) miasto wojewódzkie, F-23) kapitan arki, G-1) prawy dopływ Dunaju, G-5)

obmawianie, opłotkowywanie, G-17) najbliższe otoczenie danego miejsca, G-25) minerał, tlenek krzemu, I-1) kromka dla odchudzających się, I-10) szef wydziału wyższej uczelni, I-18) 1985, I-22) kuzyn samowara, K-3) przeciwieństwo dochodów, K-11) placówka PKO, K-19) wdowiec po Desdemonie, K-26) polski samochód ciężarowy, L-1) jezioro na Pojezierzu Drawskim, L-7) najważniejszy dla pań sprzęt w mieszkaniu, L-14) reżyser filmu „Faraon”, L-27) wykop przydrożny, N-1) trzęsący się deser, N-25) miasto w Japonii, P-3) pies z „Przekroju”, P-9) bogini zemsty, P-23) detektyw z amerykańskiego serialu, R-1) poranna, R-7) rzymskie boginie losu ludzkiego, R-23) sławny malarz hiszpański, T-1) słynny restaurator krakowski, T-23) as lotniczy Dywizjonu 303, V-1) specjalność Kopernika, V-12) mokry obyczaj wielkanocny, V-25) maskara wśród koleśników, X-2) ludowy obrzęd weselny, X-11) wierzbowy kotek, X-17) kwiat w młodości, X-21) malowanie jajo, Y-19) stolica Baszkirii

Z-1) poczekalnia garderoby, Z-9) prokurator, Z-21) ruina, stos gruzów, Z-1) farmaceuta, Z-10) manifest, odezwa, Z-22) śpiewająca Hanna.

PIONOWO: 1-A) jedna z naszych monet, 1-Y) milcza, gdy dusza śpiewa, 3-A) święto na wiosnę, 3-K) lennik, 3-P) działanie drożdży, 5-A) metoda badania serca przy pomocy dradów, 5-T) miłośnik stronnika, 7-A) serial z Kopiczyńskim, 7-R) teatr bez słów, 9-A) wódz najemnych wojsk germańskich, który w 476 roku ogłosił się królem Italii, 9-J) miasteczko nad Wisłą, w którym Kazimierz Jagiellończyk ogłosił słynne przywileje szlacheckie, 9-R) pracownik techniczny w teatrze, 11-A) nosi to samo imię co koleżanka, 11-L) nasz najlepszy showman, 11-W) port w Egipcie, koło którego Nelson zwyciężył flotę francuską, 13-A) rodzaj lampy, 13-G) śpiewający i grający Czesław, 13-V) ciasto, 15-A) antonim dobra, 15-E) dobry smak w ubiorze, 15-V) tytułowa bohaterka Mickiewi-

cza, 17-B) sfilmowana powieść Dolegi-Mostowicza, 17-J) najpopularniejsza pszczołka, 17-V) postać z „Pana Tadeusza” lub... na świątecznym stole, 19-A) do zbierania miarki, 19-I) stolica piosenki, 19-X) nasz dwukrotny złoty medalista w boksie, 21-A) gwarancja zapewnienia, 21-J) cyfra pozornie bez znaczenia, 21-V) drapieżny krewniak kota, 23-A) statek nie do remontu, 23-F) najważniejszy w gminie, 23-P) przodek młockarni, 23-T) z mięsiwem na świątecznym stole, 23-X) taniec południowoamerykański, 24-R) marka atramentu, 25-A) na rozpoczęcie świąt, ale wielkanocnych, 25-L) oby nie w świątecznym cieście, 25-T) odmiana jabłek, 27-C) krańcowe ubóstwo, 27-I) organizacja krajów socjalistycznych do wspólnego badania przestrzeni kosmicznej, 27-T) bojowa traba, 28-Z) pływający lód, 29-A) piłkarz — filar srebrnej drużyny Górnika z 1974 roku, 29-J) możliwość, szansa powodzenia.

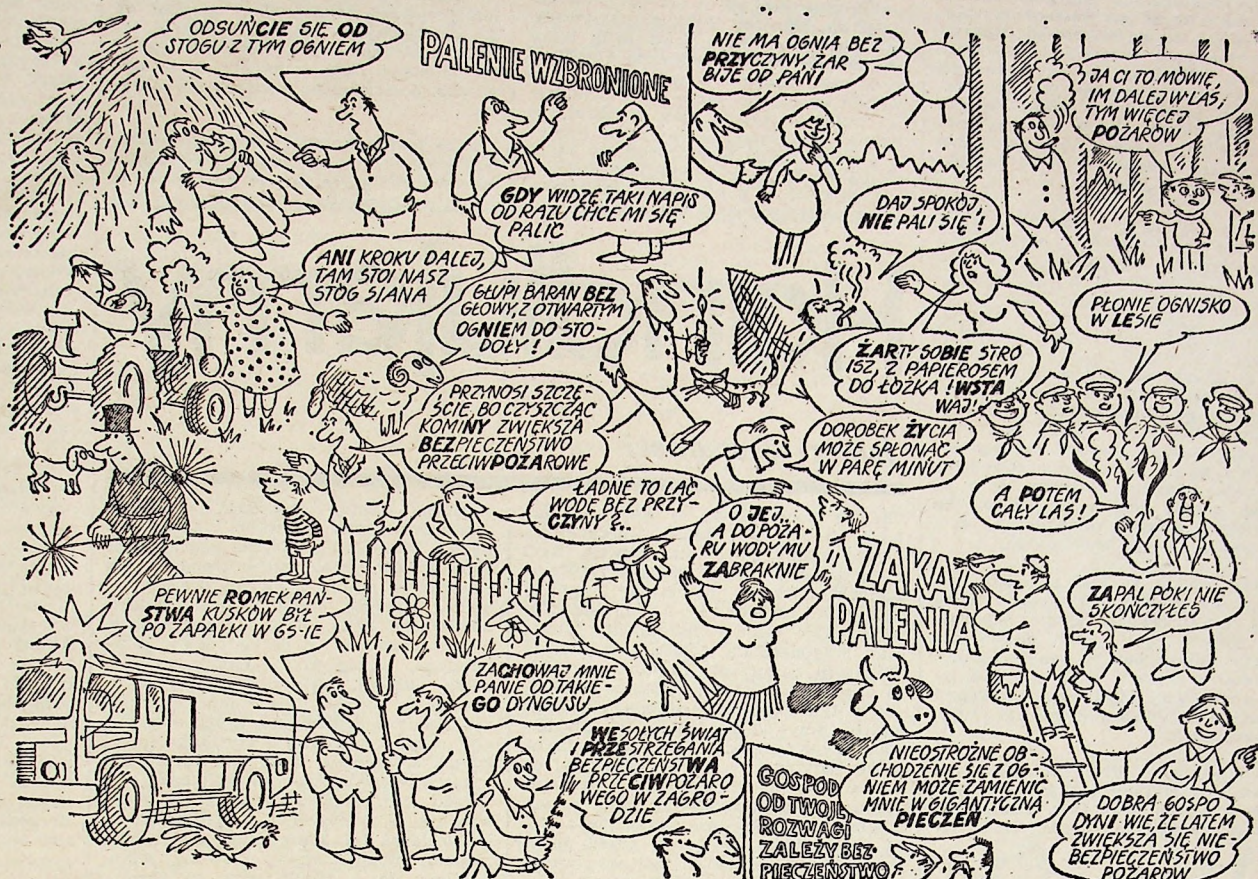
* Hasło stanowi myśl Józefa Weyssenhoffa, pisarza polskiego żyjącego w latach 1869-1932.

Konkurs strażacki

Choć nastąpiła zima, to jednak zagrożenie pożarowe ciągle jest duże. Proponując konkurs chcemy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą nieostrożne obchodzenie się z ogniem. Pamiętajmy, chwila nieuwagi – i z dymem może pójść cały dorobek naszego życia. Konkurs przygotowała redakcja „Konkretów” i Komenda Wojewódzka Straży Pożarnych w Legnicy. Konkurs polega na odgadnięciu dwucyfrowego hasła, które należy złożyć z wytłuszczonych na rysunku sylab. Dla ułatwienia podajemy: 13 słów hasła rozpoczynają się od następujących liter: p,n,p,n,b,p,i,o,c,z,z,b,p.

Rozwiązanie konkursu prosimy przelać do 15 stycznia 1985 roku pod adresem: redakcja „Konkretów”, skrytka pocztowa 145, 59-220 Legnica 2. Na kartce prosimy umieścić dopisek: „Konkurs strażacki”.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozdajemy cenne nagrody rzeczowe: radioodbiornik „Dorota”, gitarę, sprzęt turystyczny, płyty długogrające, albumy i wiele nagród niespodzianek.



PZU Konkurs świąteczny

Proponujemy naszym Czytelnikom wspólną zabawę. Oto w rozmówkach zaszyfrowaliśmy kilka wyrazów. Należy je odgadnąć, a z odnalezionych liter ułożyć zawsze aktualne hasło.

Organizatorami konkursu są: Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Legnicy i redakcja „Konkretów”.

Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 15 stycznia 1985 roku. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, skrytka pocztowa 145, 59-220 Legnica. Na kartce należy umieścić dopisek: „Konkurs świąteczny PZU”.



Ci, którzy przyjechali na ziemię odzyskaną w 1945 r. pamiętają obrazek: rozłożone na chodnikach ulic „towary”, jakieś talerze, wazoniki, różne rupiecie, wysprzedawane przez pozostałych tutaj Niemców. Tak było jednak tylko w większych miastach. W małych albo w tych, które wojna nie oszczędziła, handel rozwijał się bardzo powoli. Wspominałem już, że w Głogowie kwitła tylko wymiana towaru za towar, a funkcję „prywatnego” pieniądza po prostu nie było w obiegu. Powoli jednak zaczęły powstawać sklepy, budki, stragany. Jeden z pierwszych osadników Józef Galszyński tak o tym pisał:

„Handel prywatny i rzemiosło, praca pionierska na ziemiach odzyskanych (jak je wówczas nazywano)... całe ówczesne zaopatrzenie w towar, począwszy od artykułów spożywczych aż do domowych i wszystkich innych, spoczywał na ludziach, którzy ten trud podjęli i byli dostarczani na barkach ludzkich w plecakach, walizkach. Bez tego trudu pierwsze lata na ziemiach zachodnich i północnych, zniszczonych w ogromnej większości, byłyby pod znakiem zapytania, bo przecież ludzie przybywający na te ziemie dla odbudowy przemysłu, rolnictwa, organizowania urzędów, chcieli jeść a na pewno nie czekaliby z pustymi żołądkami na zorganizowanie handlu spółdzielczego”.

Trochę jednak w tym przesady, ale też i dużo prawdy. Prywatny kupiec działał oczywiście dla zysku, ale jego praca była w tych latach niezmiernie użyteczna dla społeczeństwa — wręcz niezbędna w sytuacji kiedy nie było jeszcze rozwiniętej sieci państwowych i spółdzielczych sklepów i zakładów gastronomicznych.

Spróbujmy więc odtworzyć obraz tych sklepów i restauracji tak jak one wyglądały w latach 1945—1948. Tak to zanotowała mieszkanka Legnicy Kaja Sakowicz:

„Ta pierwsza powojenna Legnica była mocno, co tu ukrywać, mieszczańska w swoim kolorystyce: miasto drobnych, średnich i większych posiadaczy, robigroszy i dorobkiewiczów, upstrzone mnóstwem sztyldów i sztyldzików, ręcznie malowanych jaskrawą farbą.

Sektor państwowy nie nadążał za wywołaną energią i inicjatywą prywatniarzy, którzy ściągali tu z pozostałych dzielnic Polski i ze świata — i to nierzadko z poważnym kapitałem. Ulokowanie pieniędzy w „interes” na ziemiach odzyskanych uchodziła za akt odwagi, rozważa i patriotyzmu. Najlepszym interesem była fabryka lub skład hurtowy.

Rodziły się i umierały fortuny. Mieli miejsca krachy i dwa samobójstwa. Przedsiębiorczy pan Szwangiel, właściciel nielegalnego banku i paru fabryczek oficjalnie „ogłosił upadłość”.

Tak to wyglądało w oczach młodzieńczej dziewczyny. W jednym jednak autorka się myli. Słowo „prywatniarz” jest pochodzenia późniejszego z okresu słynnej „bitwy o handel”. W tamtych latach dużo natomiast mówiono o „prywatnej inicjatywie” a właściciele sklepów byli po prostu nazywani kupcami. W Legnicy, Złotorzy i Jaworze istniały Powiatowe Stowarzyszenia Kupców Polskich, a we Wrocławiu działał Wojewódzki Związek Zrzeszeń Kupieckich Dolnego Śląska. Jego wiceprezes Jan Pic de Replonge tak oceniał sytuację prywatnego handlu w 1947 r.:

„Kupiectwo natomiast, najnowsza i najmłodsza w swej większości grupa zawodowa, liczy stosunkowo mniejszą ilość fachowych pracowników handlowych i dawnych kupców samodzielnych, w większości zaś składa się z ludzi nowych. W wyniku rozładowania nadmiaru ludności wiejskiej nastąpił masowy przyrływ mieszkańców wsi do miast, którzy zasilili nowym narybkiem handel prywatny. Wśród szeregu kupiectwa jest sporo dawnych robotników, którzy zajęli się handlem po zniszczeniu dających im zatrudnienie warsztatów pracy, ponadto do handlu weszła pewna ilość ludzi bez określonego zawodu i odpowiedniego, chociażby nawet praktycznego, przygotowania fachowego”.

Wróćmy jednak do Legnicy. W 1947 r. istniało tutaj już bardzo wiele prywatnych sklepów. Najwięcej oczywiście było sklepów spożywczych. Dolnośląski Informator Gospodarczy wymienia ich ponad dwieście. Był wśród nich nawet

Centralny Skład Delikatesów Henryka Bajońskiego przy ul. Złotogórskiej 38, który ogłaszał, że „posiada stale na składzie w bogatym wyborze wszelkie artykuły kolonialno-spożywcze, kawa, herbata, kakao, konserwy, wina, delikatesy, Obsługa szybka — fachowa”. a sklep spożywczy A. Szybińska przy ul. Wrocławskiej Nr 9 tel. 201 „posiada stale na składzie artykuły spożywczo-kolonialne, czekoladę, cukierki”. Sklepów branży papierniczej było 11. Owocarni czyli sklepów z warzywami i owocami aż 51, ale sądzę że w tym były budki i kioski, tym bardziej, że osobno wymienione są sklepy w rubryce „owoce i delikatesy” i jest ich 14. Z innych branż należy wymienić dużą ilość sklepów z przyborami szewskimi

stronomiczne — restauracje, kawiarnie, cukiernie. Nieoceniona Kaja Sakowicz tak wspomina te, które istniały w Legnicy:

„Rozkwitło życie kawiarniane. Na ulicy pojawili się pierwsi eleganci, postawni panowie w błyszczących „szklankach”, w marynarkach wojskowego kroju. Wzięciem cieszyły się oryginalne mundury „od Andersa” i noszone na bakier baskijskie berety. Kobiety zaczęły nosić spiętrzone fryzury i niebotyczne korki. Usta malowało się w serdusko, obowiązywał pieprzek na policzku...”

Poza tym były, oczywiście, eleganckie kawiarnie — popołudniowe i te wydające śniadania, ze swoim specjale de

tym, że kupcy popierali w tym czasie, liczne akcje społeczne i charytatywne, świadcząc na nie znaczne sumy pieniędzy. Pisał o tym wspomniany już Jan Pic de Replonge: „Kupiectwo bierze czynny udział w życiu społecznym i kulturalnym, w radach miejskich i powiatowych i w szeregu komisji, powołanych do odbudowy i zagospodarowania Dolnego Śląska. Obowiązek obywatelski subskrypcji pożyczki na odbudowę kraju kupiectwo wypełniło w stosunku najwyższym. Globalna kwota wpłat na PPOK (Powszechnej Pożyczki Odbudowy Kraju) na Dolnym Śląsku wyniosła tylko dla handlu prywatnego zł 66.000.000, co stanowi 31 proc. ogólnej sumy subskrypcji. Ofiary dobrowolne na cele społeczno-charytatywne stanowią poważną pozycję na: szkolnictwo, przytulki, sierocińce, biblioteki itd. Niektóre zrzeszenia kupieckie utworzyły specjalne fundusze społeczno-charytatywne, na które członkowie wpłacają stałe miesięczne składki w wysokości, ustalonej przez zarządy”. O tym warto wiedzieć. Również i obecnie kupcy zrzeszeni w Wojewódzkim Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług, idąc w ślady swoich poprzedników, fundują sierotom książeczki mieszkaniowe, przeznaczając na ten cel znaczne fundusze.

Na zakończenie chciałbym jeszcze kilka zdań napisać na temat przemysłu prywatnego na naszych ziemiach. Był to oczywiście przemysł drobny, produkujący głównie przedmioty codziennego użytku przeznaczone dla miejscowego odbiorcy. W Legnicy była więc wytwórnia papeterii i torebek „Piaś”. Wytwórnia wyrobów srebrnych, wytwórnia cukrów Alfons Rewald (ul. Wrocławska 95), a 7 wytwórni wód gazowanych, dwie wytwórnie stempli, jedno przedsiębiorstwo budowlane „Spółnia Budowlana” Gólewski i S-a, Długa 7, wytwórnia trumien, wytwórnia prawników do butów, wytwórnia mydła „Piaś” ul. Chojnowska 26, wytwórnia chemiczna „Perla”, a nawet wytwórnia sztucznego lodu (Józef Borgosz, ul. Piotra i Pawła 7). Właściciel wytwórni „Perla” twierdził w dużym ogłoszeniu, że „cały świat używa znakomitej pasty do zębów „Perla”, ja jednak przypuszczam, że była to raczej lekka przesada. W sumie były to wyroby z pewnością potrzebne przybyszącym na te ziemie polskim osadnikom.

Obraz, który przedstawiłem jest jednak bardzo niedoskonały. Czytelnik musi pamiętać, że czasy były wówczas zupełnie inne, inne też warunki pracy i życia. Stan bezpieczeństwa pozostawiał jeszcze wiele do życzenia, a najbardziej byli narażeni ci, którzy dysponowali gotówką i cennymi towarami, a więc kupcy. „Właściciel sklepu ze Lwowa, o niemieckim nazwisku, zdaje się Schnecker, samorzutnie utworzył szkołę kupców w której społecznie kształcił pracowników lady i... domokraców. W cykl lekcji wchodziło zabezpieczenie i ochrona mienia sklepowego: młodzi ludzie uczyli się zasad systemu alarmowego i stania na czatach” — pisze Kaja Danowska. A właścicielka apteki z Głogowa Wiktoria Gadusowa tak opisuje swoje warunki pracy:

„Apteka mieściła się w prywatnym, ciasnym mieszkaniu, przedpokój służył za izbę ekspedycyjną, klientów załatwiano przez okienko w drzwiach. Przynajmniej raz w tygodniu, pozostawiając niewykwalifikowanego i tylko przyuczonego pracownika, musiałam udawać się do Wrocławia lub Poznania i przywozić towar, przeważnie kilka paczek. Najlepiej zilustrować trudności w zaopatrzeniu apteki w początkowym okresie taki fakt. Przyjechałam z Poznania do Grodzka wieczorem z ciężkimi paczkami, padał ulewny deszcz — wszyscy udali się pieszo przez zapadnięty most, przez starą Odrę i dalej promem do Głogowa. Zostałam na stacji Grodziec i dopiero rano udałam się do Głogowa, dźwigając ciężkie pakunki, o transporcie i pomocy nie było mowy. Powstawały dopiero załazki hurtowni, nie można było zamówić leków, trzeba było osobiście wybrać, szukać nawet w drogeriach we Wrocławiu, żeby znośnie zaopatrzyć aptekę”.

Tak to handlowano w trudnych latach 1945—1948 na ziemiach obecnego województwa legnickiego. Myślę, że ten obraz uzupełni nam panoramę tamtych pionierskich czasów.

Handlujemy

Janusz Chutkowski

(18) ale pamiętajmy, że większość fabryk obuwniczych było jeszcze nieczynnych i buty robili po prostu szewcy. Było kilka drogerii i kilka sklepów zatytułowanych „żelazo i porcelana” (osobno „naczynia kuchenne”). Aż 13 sklepów sprzedawało radia i instrumenty muzyczne, przypuszczam jednak, że większość po prostu naprawiała radia, a sprzedawała trudniła się raczej ubocznie. Świadczy o tym ogłoszenie sklepu „Radio-elektro” przy ul. Rycerskiej 37, „fachowa i szybka naprawa radiodbiorników najrozmaitszych typów”. Maszyny do szycia i rowery sprzedawało 7 sklepów. Jeden z nich zafundował sobie nawet piękne, całostronicowe ogłoszenie z parą rowerzystów stojących przed jakąś romantyczną budowlą. Sklepów innych branż było po kilka. Może warto jeszcze wymienić „Dom sportowy” Stefana Koprysa przy ul. Złotogórskiej 35, a w nim artykuły: „foto, radio, technika, filatelistyka i ekwipunek harcerza”. Może któryś z czytelników kupował w nim swój pierwszy harcerski mundur?

A jak wyglądał handel prywatny w innych miastach obecnego województwa

la maison każda, restauracje przeważnie o patriotycznych nazwach, takich jak Patria, Orzeł Biały i lokale nocne, gdzie obowiązywał „strój garniturowy”. Ich elektryczne sztyldy z daleka przyciągały wzrok, mamili złudą unormowanego, dostatniego życia. Może dlatego właśnie były uczęszczane, a nocne cabare przepełnione, szczególnie z soboty na niedzielę publiką, dostosowującą się do obyczajów, wyznaczonych przez jaskrawe sztyldy z dzwonkiem, który obwieszczał przybycie gościa, a nierzadko w lokalach szczególnie wziętych, wywołując z niszcy wygalonowanego portiera”.

Było tych restauracji w Legnicy 17, kawiarni 9, herbaciarni 4, jadalni 5, pasztecjarni 4 i 3 piwiarnie. Był nawet „Moulin Rouge” czyli czerwony młyn, należący do J. Hupki przy ul. Grodzkiej 66, tel. 169 „zakłady gastronomiczne, restauracja, winiarnia, bar, cukiernia”, a „Cukiernia Czesław Wicherski” Legnica, ul. Wrocławska 62/64, tel. 145, reklamuje „znane ze swej jakości wyroby cukiernicze na wszelkie uroczystości rodzinne” i dumnie stwierdza, że jest pierwszą polską cukiernią w Legnicy.

SKLEP SPOŻYWCZY
A. SZYBIŃSKA
LEGNICA - UL. WROCŁAWSKA 9 - TEL. 201

POSIADA STALE NA SKŁADZIE ARTYKUŁY SPOŻYWCZO - KOLONIALNE, CZEKOLADĘ - CUKIERKI

GALANTERIA
MARIA RAJEWSKA
LEGNICA - WROCŁAWSKA 41

GALANTERIA MĘSKA - DAMSKA - DZIECIĘCA

KSIĘGARNIA
OGÓRSKI STEFAN
LEGNICA WROCŁAWSKA 61

MATERIAŁY BIUROWE, TELEFISTYKA

Reklama jest dźwięnią handlu!

PRACOWNIA
OBUWIA
JAROSŁAW JAWORSKI
LEGNICA WROCŁAWSKA 16/18
TELEFON 100

WYKONUJE: OBUWIE MĘSKIE DAMSKE DZIECIĘCE

GALANTERIA
BIELAWY
POLECA W DUŻYM WYBORZE

JÓZEF ŁAKOMSKI
LEGNICA ŚRODKOWA 47

legnickiego? Najwięcej sklepów było w Jaworze. Aż 30 — spożywczych, 19 tekstylnogalanteryjnych, 6 owocarni, dwie drogerie i kilka sklepów innych branż. Zaden z nich się nie ogłaszał, więc nie ciekawego nie można o nich powiedzieć. Nieco mniej sklepów było w Złotorzy bo razem tylko 38. W innych miastach jeszcze mniej. Najgorzej chyba w Głogowie, gdzie z powodu ogromnego zniszczenia miasta nie było ani odpowiednich lokali, ani ludzi. W 1947 r. było tam 7 sklepów prywatnych i to przeważnie małych i bardzo skromnie wyposażonych. Nie dziwnego, że nie dochowały się o nich żadne interesujące informacje, a najstarsi mieszkańcy miasta z trudem tylko mogą je sobie przypomnieć.

Oprócz sklepów istniały oczywiście również i to dosyć licznie, zakłady ga-

Mam nadzieję, że ciastka tam były lepsze niż te które obecnie udaje mi się kupić.

Niestety Dolnośląski Informator Gospodarczy nie wymienia zakładów gastronomicznych w pozostałych miastach naszego województwa. W Głogowie było ich 5, chociaż poza restauracją prowadzoną przez Nikodema Piotrowskiego pozostałe należałoby zaliczyć raczej do kategorii barów. W sumie jednak były to dosyć prężnie prowadzone placówki i jak twierdzą ówczesni bywalcy można w nich było zupełnie dobrze zjeść i wypić.

Na tym wypadaloby, zakończyć, z konieczności bardzo pobieżny i niepełny przegląd placówek polskiego handlu prywatnego na terenie naszego województwa w pierwszych latach po wojnie. Trudno jednak nie wspomnieć o

Gwiazdy mówią o roku 1985

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z co najmniej takim samym przymrużeniem oka, jak nasze cotygodniowe przepowiednie... O tym, że swoich losów gwiazdom powierzać raczej nie należy, przekonał się już chyba każdy...

● **BARAN (21 III—20 IV)**. Dobrze byłoby rozpocząć spotkanie z nowym rokiem od sporządzenia listy tych spraw, które wymagają najwięcej uwagi, a które w tym roku „leżały odłożeniem”. Szczególnie, które na ogół będzie Ci sprzyjać przez całe dwanaście miesięcy sprawi, że łatwo przyjdzie ocenić wagę czekających problemów i wybrać właściwą metodę działania. W pierwszym kwartale roku możesz oczekiwać pomyślnego sfinalizowania sprawy, która zaprzęta Twoje myśli już od dłuższego czasu. Nowy pomysł położy kres dotychczasowym rozterkom... W sprawach sercowych — stabilizacja i niczym nie zakłócone szczęście.

Bardzo ważne dla Ciebie miesiące: marzec, kwiecień, maj i październik.

● **BYK (21 IV—21 V)**. Przez pierwszych kilka tygodni roku dane Ci będzie cieszyć się pogodną i romantyczną stroną swojej natury. Później jednak okoliczności zmuszą Cię do zajęcia się bardziej przyziemnymi problemami. W pierwszym półroczu nastąpi jakiś zupełnie niespodziewany triumf w życiu osobistym. W tym samym czasie spotkasz się z odmienną niż Twoja opinia odnośnie problemów zawodowych. Nie upieraj się przy swoim zdaniu — Twoje stanowisko nie jest zbyt rozsądne.

Miesiące, które okazały się dla Ciebie bardzo ważne to styczeń, marzec, czerwiec, październik i listopad.

● **BLIŹNIĘTA (22 V—20 VI)**. Początek roku przyniesie Ci mocno melancholijny nastrój. Większość czasu będziesz poświęcać myślom o kimś bardzo Ci bliskim i bardzo kochanym. Jeśli zdecydujesz się wyjawiać swoje uczucia i rozterki, wszystko przyjmie obrót wręcz zdumiewający... W połowie roku poczujesz potrzebę odprężenia się. Nie zwlekał wtedy z wypoczynkiem. W przeciwnym wypadku mogą zacząć się kłopoty ze zdrowiem. Pod koniec roku zupełnie niespodziewanie znakomita sytuacja finansowa. Nie zapomnij jednak, że skąpo u Ciebie z oszczędnościami!

Ważne dla Ciebie miesiące to kwiecień, czerwiec, październik i listopad.

● **RAK (21 VI—22 VII)**. Musisz bardzo uważać na początku roku, gdyż będzie to okres Twojej szczególnej podatności na różnego rodzaju zmartwienia. Jedynie zachowanie zdrowego rozsądku może być pomocne przy unikaniu komplikacji. W sferze towarzyskiej, w tym także w kontaktach z najbliższymi, wszystko przebiegać będzie pomyślnie. W drugiej połowie roku jakaś niespodziewana znajomość przetrzebi się w głębsze uczucie, ale warto będzie poczekać z życiową decyzją. Pod koniec roku przekonasz się, że Twoje zawodowe plany były mocno na wyrost i z ich realizacją musisz jeszcze poczekać.

Luty, maj, sierpień i grudzień to miesiące, które będą się szczególnie liczyć w Twoim kalendarzu.

● **LEW (23 VII—23 VIII)**. Twój przyszłowy łut szczęścia tym razem może Cię zawieść już na początku roku, ale nie na długo. Około połowy roku odzyskasz potrzebę aktywniejszego włączenia się w krag spraw zawodowych. Jeżeli odłożysz na bok chorobliwą ambicję, Twoje zamierzenia zakończą się sukcesem... W drugiej połowie roku pojawiają się nowi znajomi, którzy wniosą trochę ożywienia w Twoje monotonne życie. W sprawach sercowych brak kogoś najbliższego da Ci się porządnie we znaki. A może by tak spróbować nawiązać zerwane nici...?

Ważnych wydarzeń możesz oczekiwać, zwłaszcza w styczniu, lutym, czerwcu, lipcu i wrześniu.

● **PANNA (24 VIII—23 IX)**. Pierwsze miesiące roku będą dla Ciebie wyjątkowo korzystne. I to w każdej dziedzinie, także finansowej. Możesz oczekiwać znaczącej poprawy Twojego budżetu domowego. Projekty dotyczące spraw zawodowych należy zrewidować i jak najprędzej nadać im właściwy kierunek. Posłuchaj w tym względzie rady kogoś życzliwego i doświadczonego... W połowie roku dadzą o sobie znać ważne problemy rodzinne, których w żaden sposób nie wolno Ci zaniedbać. Wytrąca Ci niepotrzebnie z równowagi duże zmiany w gronie przyjaciół.

Styczeń, luty, czerwiec, sierpień i grudzień to miesiące dla każdej Panny szczególnie ważne.

● **WAGA (24 IX—23 X)**. Układ planet wskazuje, że początek roku upłynie Ci pod znakiem dwutorowości. Jeden impuls każe Ci iść do przodu, drugi podpowiadać będzie wycofanie się ze spraw, które planujesz. Dopiero w marcu skończą się tego rodzaju rozterki. Jeżeli zadasz sobie trochę trudu, połowa roku przyniesie Ci mnóstwo radości...

Zaplanuj rozsądnie tegoroczny wypoczynek. Nie wybieraj się jednak w dalekie podróże. W tym roku trzymaj się bliżej domu i spraw rodzinnych. W ostatnich miesiącach roku zaskakująca okazja, którą warto będzie wykorzystać.

Kwiecień, maj, listopad i grudzień to dla Ciebie nadzwyczaj ważne miesiące w nadchodzącym roku.

● **SKORPION (24 X—22 XI)**. Niespodziewany splot okoliczności działać będzie na Twoją korzyść. Nie wierz jednak zbyt łatwo — w manę, która bez Twojego udziału spadnie z nieba. Szczęście także trzeba pomóc. Przyda się duża doza ostrożności w podejmowaniu deklaracji. Nie składaj nikomu żadnych obietnic nie mając pewności, że będziesz w stanie dotrzymać słowa. Około połowy roku zapowiada się miły gość... Nie szalej z wydatkami, bo możesz wpaść w kłopoty finansowe. Jeżeli nie zwalczysz swego egoizmu, w sprawach uczuciowych czekać Cię będzie posucha.

Twoje obiecujące miesiące to styczeń, kwiecień, sierpień i wrzesień oraz druga połowa grudnia.

● **STRZELEC (23 XI—22 XII)**. Już od pierwszego dnia nowego roku gwiazdy sprawią, że wszystkie Twoje plany nabiorą specjalnego znaczenia. Wzbogaci to poważnie Twoje doznania, a w końcowym rachunku może przynieść istotne zmiany w życiu. Musisz jednak zachowywać szczególną ostrożność i rozważność, zwłaszcza w sprawach osobistych. Nie ufaj zewnętrznym pozorom i nie daj się złapać na lep miłych słówek. Zaufaj radom bliskich przyjaciół. Pod koniec roku warto będzie wykorzystać olbrzymią szansę zawodową.

Miesiące roku to kwiecień, czerwiec, wrzesień i grudzień.

● **KOZIOROŻEC (23 XII—20 I)**. Miłość to dla Ciebie temat numer jeden. Zwalczająca dotyczy to stycznia. Dojdiesz do wniosku, że Twoje perspektywy, to zmiany w dotychczasowym gronie zna-

jomych. Mniej niż kiedykolwiek liczyć się będzie dla Ciebie praktyczna strona życia... Wiosną musisz o wiele więcej uwagi poświęcać sprawom zdrowia. Dobrze byłoby pomyśleć o wcześniejszym urlopie. Pod jesień duże wydatki, do których już teraz musisz zacząć się przygotowywać. Szczególną troską musisz otoczyć kogoś bliskiego...

Ważne miesiące roku to styczeń, marzec, wrzesień i październik.

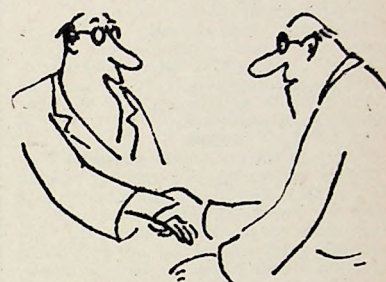
● **WODNIK (21 I—20 II)**. Początek roku przyniesie jeszcze jedno złudzenie, jeśli chodzi o perspektywę bliźszego związania się mocniejszym uczuciem z kimś, na kim bardzo Ci zależy. Ale już po kilku tygodniach może zdarzyć się coś, co spowoduje nawiązanie nowej znajomości z kimś bardzo przedsiębiorczym. W pierwszej połowie roku czeka Cię zawodowy sukces. Sprawi Ci on wiele satysfakcji, ale i wzbudzi trochę zazdrości u innych. Potrzebna będzie wtedy spora doza dyplomacji... U schyłku roku staniesz przed problemami rodzinnymi, których — choć proste — wcale nie będzie łatwo rozwiązać.

Ważne miesiące dla Ciebie: luty, kwiecień, czerwiec, listopad i grudzień.

● **RYBY (21 II—20 III)**. Zapowiada się dobry styczeń i korzystny rok. Wygląda na to, że wreszcie zrealizujesz swoje marzenia o podróży. W sprawach bardzo osobistych nastąpi szansa na dobre układy, chociaż najpierw czeka Cię pewne rozczarowanie, gdyż ktoś bardzo bliski nie spełni Twoich oczekiwań. Bardzo prędko jednak zostanie wypelniona luka, którą zostawił sobie ten ktoś. Nowy związek zapewni Ci pełne bezpieczeństwo i przyniesie uczucie szczęścia.

Miesiące, po których możesz wiele oczekiwać: marzec, czerwiec, sierpień i listopad.

Jujka



-DZIEKUJE, SZEFIE, ZA TE ZYCZENIA, ALE CZY MOGLBYM TO DOSTAC NA PISNIE?

wspomnienia

Boso, ale do Polski

(Ciąg dalszy ze str. 19)

zyn nie jadł, mówi — opanuj się, to może cię zgubić. Trochę zjadłem i od razu wszystko zwróciłem. Byliśmy zagłodzeni, ważyłem 33 kg. Doszliśmy do Falinposten. Chłopi dawali nam prowiant bez oporu. Bali się. Przed nami byli tu już inni w pasiakach — gwałcili, kradli. Na statku rzeczonym w Falinposten znaleźliśmy marynarskie ubranie, pasiaków zrzuciliśmy. Po wielu perypetiach znalazłem się w obozie Bergen-Belsen, gdzie był już polski samorząd i dość jedzenia. Opuszczanie obozu na własną rękę było karalne, zamykali do paki. Mimo to wychodziliśmy. Kiedyś dwóch młodych chłopaków poszło szukać swoich rodziców, którzy byli wywiezieni na roboty gdzieś w tę okolicę. Niemcy zatłukli ich widłami. Nasi dowiedzieli się, wyszli z obozu wieczorem — wybili i spalili wieś, w której się to stało.

Dość miałem tej nowej niewoli za drutami i pod karabinem. Postanowiłem odszukać siostrę Hanke, która była pod Eisenach. Ale tam dowiedziałem się, że już wyjechała transportem do Polski.

Do Kälbfeld było niedaleko. Lina była zaskoczona i przestraszona moją obecnością. Mówi, że męża zabrali na wojnę i jeszcze nie wrócił. Nie wierzyłem, byłem pewien, że kłamie. Przyrzekłem, że nie zamierzam mścić się. Po dwóch dniach Kaiel wyszedł ze stodoły, roztrzęsiony, ale z wyciągniętą ręką. Po dwóch tygodniach pojechałem do Buchenwaldu po jakiś dokument, bo bez tego trudno było poruszać się. Oboz wyzwoływany przez samych więźniów pozostał nietknięty, archiwum zachowało się. Od komitetu obozowego dostałem zaświadczenie, że byłem więźniem Buchenwaldu od 15 stycznia 1942 do 11 kwietnia 1945 roku. Mieszkaliśmy teraz w koszarach poza terenem obozu. Czekaliśmy na transport do Polski. Mieliliśmy bardzo dobre warunki. Nareszcie mogłem się najęść. Dostaliśmy poza normalnymi posiłkami dodatkowe racje żywności: dwa jajka, litr mleka, konserwy z rodzynekami, szynkę w puszcze i bochenek chleba pszennego.

Do obozu przyjeżdżali agitatorzy z Polski i z Anglii. Ci z Polski mówili: „Wracajcie, w kraju brak rąk do pracy. „Wracajcie, w kraju trzeba odbudować”. Ci z Lon-

dynu straszili: „Tam komuna, sowiet”.

Postanowiłem: boso, ale do Polski. Siostra, gdy mnie zobaczyła, zawołała tylko: „Jezus Maria, Janek!” Złapała za rękę, nawet nie przywitała się i ciągnie przez pole na skróty do domu. Wpadła do mieszkania i woła na cały głos: „Mamo, Janek przyjechał”. Matka mówi: „Coś ty oszalała, on nie żyje”. Okazało się, że w 1943 roku z obozu przysłał zawiadomienie, że zmarłem na zapalenie opon mózgowych. Rodzina żałobę po mnie nosiła. Dlaczego Niemcy mnie „uśmiercili”? Po przeniesieniu mnie do „Dory” numer mój otrzymał inny więzień, który za pół roku zmarł. Widocznie w mojej kartotece nie zostało odnotowane, że zmieniłem obóz i że mój numer przejął ktoś inny. Dość, że rodzina już dawno mnie opłakała.

Niemal nazajutrz poszedłem do roboty, na dół do kopalni. W 1946 roku ożeniłem się. Urodziło się dwoje dzieci. Ale małżeństwo rozsypało się. Udziałem się społecznie w organizacji młodzieżowej — OMTUR. W 1947 roku pojechałem do Wilkowa, gdzie mój przyrodni brat pracował „za Niemca” i po wojnie już tam został. Dwa lata pracowałem przy odtapianiu „Leny”. Początkowo robiliśmy to niemal gołymi rękami. Nie było sprzętu, nie było pomp. Dopiero później pompy sprowadzono z Anglii i ZSRR. Szliśmy za wodą. W młaz jak jej ubywało, wymieniaaliśmy przegniłe drewno, wzmacnialiśmy obudowę. Zawał niejednego w tym czasie pogrzebał. W Wilkowie wpisałem się do PPR. Po zjednoczeniu partii wysłano mnie do szkoły partyjnej, do Wrocławia. Po szkole awansowałem na sekretarza gminnego na etacie droźnika z pensją droźnika. W teren jeździłem służbowym rowerem. Miałem też służbową broń, ale nigdy jej nie nosiłem ani nie używałem. Praca nie należała do wdzięcznej. Ludzie nie chcieli kon-

tyngentów zdawać ani podatków płacić, nie mówiąc już o tym, że nie garnęli się do spółdzielni produkcyjnych. A myśmy mieli narzucony przez „góre” plan. Z czterech zaplanowanych spółdzielni udało się na moim terenie założyć jedną. Nie używałem w tych sprawach przemocy. Nie mam na sumieniu żadnej ludzkiej krzywdy. Dziś tam jeżdżę i mogę śmiało patrzeć ludziom w oczy.

Przeżyłem dwie zasadzki na moje życie. Trzeci raz, ale to już w Blachowni w 1947 r. uniknąłem zjedzenia legitymacji partyjnej, a to dlatego, że nosiłem ją w cholewie buta. Szwagier miał ją w kieszeni i musiał zjeść pod groźbą użycia broni.

Ciągle jednak uchodziłem za niepewnego człowieka, bo przyjechałem z Zachodu w amerykańskim mundurze, i w dodatku nie wykonywałem „planu”. Więc pożegnałem się z posadą sekretarza. Najdłuższ pracowałem na Śląsku. W górnictwie mam 25 lat pracy, razem z ratownictwem. W 1965 roku przyjechałem do Lubina. Ale do kopalni już nie nadawałem się — odrzucił podanie — zły stan zdrowia. Wielokrotnie zmieniałem pracę, miałem się różnych zajęć...

Teraz prywatnie wypłacam koszty i czekam na emeryturę. Nie należę do partii ani do ZBoWiD-u, nie mam mieszkania ani książeczki PKO. Nie mam już też nadziei na odmiennie losu, który nie był dla mnie taskawy.

Wspomnienia JANA JAGUSIAKA

spisała Maria Kuncaitis

Praca wyróżniona na konkursie ogłoszonym przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu.

Każdy człowiek ma swój odpowiadnik w jednym z drzew, z którym jest związany podobnymi cechami. Wymyślił tę prawdę druidowie galijscy, a wszyscy Gallowie wierzyli w nią bezkrytycznie. Dla nas jest to jedynie rodzaj zabawy... Z przysmruzeniem oka potraktujemy prawdę, że ludzie dzielą się podobnie jak drzewa...

BRZOZA (24 czerwca)

Urodzeni pod znakiem brzozy są ludźmi inteligentnymi, a ich inteligencja połączona jest z wyobraźnią, intuicją i fantazją. Są lubiani, pożądanymi w towarzystwie, wzbudzają sympatię otoczenia. Wymagają niewiele i swoim współtowarzyszom życia nie rujnują budżetu. Brzozy są eleganckie i subtelne — w żadnej dziedzinie życia nie znoszą wulgarności. Obcy jest im snobizm. Mimo delikatnej powierzchowności potrafią być niesłychanie pracowite.

W sprawach sercowych — stale i wierne, myślące przede wszystkim o szczęściu partnera.

Inteligencja i pracowitość Brzóz sprawiają, że praktycznie wszystkie drzwi stoją przed nimi otworem. Ale Brzozy nie przejawiają zbyt wielkich ambicji. Wystarczy im rodzina, życzliwa atmosfera i dobra książka. Czyli po prostu potrzebują zwykłego ludzkiego szczęścia.

BUK (22 grudnia)

Buki obdarzone są urodą i bardzo dbają — czasem nawet trochę — o tym przesadzają — o swoją powierzchowność. Wykazują dużo dobrego gustu w ubiorze, w urządzeniu domowego wnętrza. Ich życiowe projekty bywają czasami zbyt śmiałe, ale Buk potrafi je zrealizować, gdyż obdarzony jest zdolnościami organizatorskimi. Znakomicie radzi też sobie z gospodarowaniem domowym budżetem — jest oszczędny, ale nie skąpy. Nigdy nie ryzykuje. Zawsze rozważa argumenty za i przeciw.

W miłości Buki kierują się rozsądkiem. Są współmałżonkami bez skazy. Kochają rodzinę. W późnym wieku zdają się im się niegroźne flirty... Przez całe życie dążą do zamożności i w ten sposób osiągają szczęście.

CEDR

(9-18 lutego, 14-23 sierpnia)

Cedry wyróżniają się rzadką, rasową urodą. Mają skłonności do patrzenia z góry na świat. W marzeniach pragną dla siebie najwyższego komfortu, ale potrafią zaadaptować się do wszystkich życiowych warunków. Są pewne siebie, zdecydowane i trochę drażliwe. Każdy Cedr niezachwianie wierzy w siebie i nie zniechęca go żadne niepowodzenie.

W sprawach sercowych jest niesłychanie wybredny — całe życie czeka na jedną wielką miłość. Jego partnerzy znajdują pełne oparcie w jego optymizmie i energii.

W pracy wyróżnia się umiejętnością podejmowania szybkich decyzji... Całe życie tęskni do przygód, do których jest wręcz urodzony. Na ogół prowadzi niezwykle ruchliwe życie zawodowe.

Jest niezwykle umiarkowany, ale rzadko potrafi swój talent umiejętnie wykorzystać.

CYPRYS

(25 stycznia — 3 lutego, 26 lipca — 4 sierpnia)

Mocne, dobrze zbudowane, często o kanciastej powierzchowności. Nie trzeba im wiele do szczęścia. W każdych warunkach potrafią być zadowolone, pogodne i optymistyczne. Takie usposobienie powoduje, że długo zachowują młodość... Nie lubią samotności. Zawsze chcą być otoczone rodziną i przyjaciółmi.

Nie są jednak wcale tak zgodliwe. Od czasu do czasu Cyprysy okazują swój surowy i gwałtowny charakter. Nie znoszą dyskusji, przy czym uwielbiają jednak własne wypowiedzi.

Ich partnerzy życiowi nie mają łatwego życia, gdyż Cyprysy są w miłości gwałtowne i niezaspokojone. Potrafią jednak być wierne w przyjaźni... Przez całe życie czegoś im zawsze brakuje...

DĄB

(21 marca)

Zdecydowanie męski w swej urodzie, co widać nawet u Dębu-kobiety, która często bywa silniejsza pod względem fizycznym i moralnym od swego partnera nie-Dębu. Podstawowe cechy Dębów — to solidność i godność... W przeważającej części nadzwyczaj zdrowe i w tym jest ich szczęście, bo Dęby nie znoszą lekarzy, lekarstw i kwiekania.

Obok siły dysponują odwagą — w każdej okoliczności potrafią wykazać się bohaterstwem... Bezkompromisowy charakter naraża Dęby na rozliczne przykrości, mimo że wobec otoczenia są liberalni i zawsze szanują poglądy innych osób.

Na ogół padają ofiarami gwałtownej

Brzozy, wierzby, graby...

miłości od pierwszego wejrzenia, i tej miłości pozostają wierni przez całe życie, choć później decyduje o tym przede wszystkim rozsądek.

Dąb jest konserwatystą, ale przejawiającym roztropną, mocno stojącą na ziemi intuicję.

Dęby są nadzwyczaj opiekuńcze i szczerzyli ci, którzy w ich cieniu znajdą schronienie.

FIGA

(14-23 czerwca, 12-21 grudnia)

Nie każdy może polubić Figę, choć ona odczuwa mocną potrzebę kochania i ciepła. Ale jest niezależna i nie cierpi sprzeciwu, a swoich przeciwników tropi aż do zniszczenia.

Nadmierna uczuciowość Figi wiąże się, niestety, z drugą jej cechą — niestałością, co przysparza jej wielu kłopotów i cierpień...

Jest niezwykle serdeczna wobec dzieci i zwierząt. W życiu domowym przejawia wygodnictwo i lenistwo, ale jednocześnie potrafi idealnie prowadzić życie z ołówkiem w ręku... Ujemne cechy charakteru znakomicie równoważy rzadko spotykany poczuciem humoru.

W sumie ten, kto łączy swoje życie z Figą, nie żałuje, chociaż cudów po tym życiu nie należy się spodziewać.

GRAB

(4-13 czerwca, 2-11 grudnia)

Grab zwłaszcza w młodości cieszy się dużym powodzeniem. Ale jego urok jest chłodny. Graby są trochę egoistami, pragnącymi jak najwygodniej urządzić swoje życie. Łasę są na poklask, podziw, sławę.

Snują marzenia o szczęściu w miłości, ale rzadko potrafią te marzenia realizować. Nie ufają ludziom, a nawet trochę boją się ich. Stąd rzadko odwzajemniają uczucia.

Przesadna obowiązkowość, na domiar zbyt formalistyczna, ciąży na całym ich życiu.

Grabys są często niezwykle uzdolnione artystycznie, a co najmniej przejawiają artystyczne zainteresowania.

JABŁON

(23 grudnia — 1 stycznia, 25 czerwca — 4 lipca)

Jablonie ujmują nie tyle urodą, co osobistym urokiem i delikatnością. Do późnego wieku cieszą się powodzeniem u płci przeciwnej. Całe też życie są uczuciowe, zakochane, gotowe do nowych flirtów i przygód. Rezygnują jednak z tych ostatnich, jeśli znajdą szczęście w małżeństwie. Jablonie chcą po prostu kochać i być kochane.

Nie są wyrachowane i podzielić się ostatnim groszem z kimś potrzebującym. Ta życzliwość często bywa nadużywana, ale Jablonie nie zrażają się tym.

Każda Jabłoń obdarzona jest zdolnościami naukowymi i jeśli warunki ułożą się pomyślnie, dochodzi do bardzo wysokich zaszczytów... W sumie prowadzi ruchliwe i ciekawe życie niefrasobliwego filozofa obdarzonego fantazją.

JARZĘBINA

(1-10 kwietnia, 4-13 października)

Na oko delikatna i filigranowa, ale w gruncie rzeczy mocna, wytrwała, potrafiąca przeciwstawić się wszelkim burzom i złym kolejom losu. Częściej uśmiechnięta niż zapłakana, choć bardzo głęboko przeżywa zmartwienia — nie tylko swoje, ale i cudze... Lubi skupiać na sobie spojrzenia i działania innych, ale nigdy nie kieruje się egoistycznymi pobudkami. Uwielbia życie wraz z jego ruchem, niepokojem, a nawet komplikacjami. Te ostatnie zresztą sama często wywołuje niepotrzebnym wahaniem lub nadmiarem filozofowania.

Zupełnie zaskakująca w miłości. Gwałtowna, namiętna, uczuciowa, zmienia partnerów z wiecznym niedosytem serca. Wrażliwa z wyrażonymi predyspozycjami do twórczości artystycznej, ale i w innych dziedzinach dochodzi bardzo wysoko... W każdym towarzystwie — jego dusza.

JESION

(25 maja — 3 czerwca, 22 listopada — 1 grudnia)

Jesiony budzą sympatię już na pierwszy rzut oka. Są żywe, impulsywne, robią tylko to, co uważają za słusze. Dość łatwo osiągają wytyczone sobie cele.

Każdy jesion jest ambitny, zdolny i wręcz błyskotliwy. Często egoistycznie nagina otoczenie do swoich żądań. Można mu jednak zaufać i na niego liczyć.

W miłości jest fantastą, ale dochowuje wierności. Jeśli już podejmie decyzję życia we dwoje, traktuje ją poważnie.

Przez całe życie Jesion szuka niezwykłości i żongluje swoim losem. Tym,

którzy zwiążą z Jesionem, nie jest źle, nawet podczas trudnych i burzliwych dni.

JODŁA

(2-11 stycznia, 5-14 lipca)

Jodły mają urodę surową, chłodną, połączoną z oryginalną elegancją. Wyróżniają się w otoczeniu godnością, rozważnością, kulturą. Jodła — kobieta lubi biżuterię, a każda Jodła ładne meble. Kocha piękno w każdej postaci.

Życie z Jodłą (a żyje ona długo, choć często cierpi na jakąś chroniczną chorobę) nie należy do łatwych, gdyż jest kapryśna i uparta. Na dodatek często kieruje się egoizmem, choć nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Gotowa jest jednak do daleko idących poświęceń dla dobra najbliższych.

Małomówność wobec obcych, nawet szorstkość, rekompensowana jest nadzwyczajną pracowitością i wielostronnymi uzdolnieniami.

KASZTAN

(15-24 maja, 12-21 listopada)

Kasztan zyskuje dopiero przy bliższym poznaniu. Sam nigdy nie stara się o względy. Jest urodzonym dyplomata o głębokim poczuciu sprawiedliwości.

Nie jest mu łatwo znaleźć partnera w miłości, choć bardzo tego pragnie. Jeśli kocha — to tylko raz w życiu...

Prawie zupełnie pozbawiony pewności siebie, często przybiera pozę wyższości, cierpiąc wskutek braku zrozumienia w otoczeniu... Kasztany wręcz uwielbiają życie rodzinne, a w domowych pracach są niezwykle zaradne.

Los życiowy Kasztana zależy bardziej od okoliczności i innych ludzi niż od niego samego. W efekcie albo osiąga bardzo wiele, albo walczy z przeciwnikami nie doznając satysfakcji.

KŁON

(11-20 kwietnia, 14-23 października)

Kłon jest zawsze człowiekiem oryginalnym, wyróżniającym się w tłumie. Ogromnie dumny i ambitny, często bywa cyniczny. Czasem — zakochany w sobie, od otoczenia oczekuje tylko pochwał... Jeżeli wymaga tego sytuacja, potrafi być skromnym. W zasadzie cieszy się dobrym zdrowiem, ale bywają okresy złego samopoczucia, a wtedy załamuje się nerwowo.

Sprawy sercowe najczęściej są u Kłonów bardzo skomplikowane. Chcą kochać, a jednocześnie imponować. Lubią narzucać swemu życiowemu partnerowi swą wolę i kaprysy...

Wyróżniają się niezwykle inteligencją i dobrą pamięcią. W sumie życie mają interesujące, choć nie jest ono usłane różami.

LESZCZYNA

(22-31 marca, 24 września — 3 października)

Jest niepozorna, mało efektowna, ale osobisty urok pomaga jej w osiągnięciu życiowych celów. Mało wymagająca dla siebie, wyrozumiała dla innych, pozyskuje sobie ludzi i umie się podobać, jeśli jej na tym zależy. A w cichości serca bardzo jej właśnie zależy na popularności, gdyż często bywa działaczem i społecznikiem. Nieporównywalnie mniej dba o życie osobiste.

W miłości bywa kapryśna, ale jako partner jest uczciwa i tolerancyjna...

Inteligencja i intuicja pomagają jej trafnie oceniać wydarzenia, ale na ogół nie ma życia najłatwiejszego.

LIPA

(11-20 marca, 13-22 września)

Dopiero z wiekiem Lipa zyskuje powodzenie i uznanie zarówno w rodzinie, jak i wśród przyjaciół. Spokojnie przyjmuje to, co niesie życie. Łagodna i uступliwa, przejawia jednak pewną dozę lenistwa i wygodnictwa. Lipy marzą o życiu wygodnym i dostatnym, ale nigdy nie dochodząc do tego celu noszą w sobie ukryty żal do losu i osiągnięć otoczenia. Mimo to życie z Lipą jest mile i łatwe, bo potrafi ona poświęcać się dla bliskich.

Niesłychanie rzadko jest szczęśliwa w miłości. Gdy znajdzie bratnią duszę — życie upływa jej pogodnie, mimo iż bywa bardzo zadziorna. Samotne Lipy w swoich narzekaniach i dziwactwach gorzknieją i dziwaczają.

Mimo uzdolnień rzadko osiągają sukcesy zawodowe, gdyż brakuje im wytrwałości.

OLIWKA

(23 września)

Nie jest pozbawiona wdzięku, mimo zupełnie przeciętnej powierzchowności. Kocha słońce i ciepło — i dopiero wtedy rozkwita. Pozbawiona tych czynników choruje na reumatyzm.

Oliwki są rozsądne i dyskretne — jak ognia unikają ingerencji w życie swego otoczenia. Ale ich tolerancja i delikatność nie mają nic wspólnego z obojętnością, gdyż bardzo głęboko przeżywają problemy bliskich sobie osób. Pogodne, spokojne i sprawiedliwe, starają się zrozumieć swoich bliźnich i wczuwają się w ich położenie.

W miłości Oliwka nigdy nie okazuje zazdrości. Toleruje wolność swego partnera, nawet jeżeli jego wysoki sprawa jej ból.

Inteligentna, refleksyjna, lubi książki i towarzystwo mądrych ludzi.

Oliwka w domu — to szczęście i spokój.

ORZECH

(21-30 kwietnia, 24 października — 2 listopada)

Dumny, twardy, pełen kontrastów charakter. Bywa egoistyczny, agresywny i bezwzględny. Brak elastyczności nie czyni z Orzecha łatwego partnera. Nie zawsze jest też lubiany, ale prawie zawsze wzbudza podziw i cieszy się autorytetem.

W miłości nieprawdopodobnie zazdrośny. Głęboko przeżywa każdą uczuciową historię.

Współżycie z Orzechem to pasmo nie zawsze miłych niespodzianek.

Wszechstronnie inteligentny, w pracy zawodowej jest zazwyczaj genialnym strategiem. Wyróżnia się ambicją i pracowitością, ale jego celem nie jest tania popularność. Nie znosi kompromisów.

SOSNA

(19-28 lutego, 24 sierpnia — 2 września)

Świadoma swego wdzięku, nieco w siebie zapatrzona, mimo pozornych słabości okazuje się w życiu niezwykle twarda. Umie walczyć z trudnościami, ale woli wszystko tak ułożyć, żeby było wygodnie i bez tych trudności. Jest odważna, czasem wręcz zuchwała.

W przyjaźni Sosna okazuje pewną rezerwę i powściągliwość. Natomiast miłości oddaje się bez reszty, tyle że szybko zraża się i zniechęca. Zanim natrafi na odpowiedniego partnera, przeżywa wiele gorzkich rozczarowań... Zadośćuczynienia poszukuje w pracy, gdzie darzona jest szacunkiem i cieszy się zaufaniem. I tak aż do następnego uczucia, które traktuje ogromnie sentymentalnie...

TOPOLA

(4-8 lutego, 1-14 maja, 5-13 sierpnia)

Topole są dekoracyjne i mile dla oka. Sprawiają wrażenie, jakby się nigdy nie miały zestarzeć. Ale czas w ich życiu odgrywa ważną rolę i każdej Topoli zaciąga na ramionach. Topola przebiega w ludziach, szukając optymalnie korzystnego dla siebie otoczenia. Jest przy tym wybredna, stąd często pozostaje samotna. Kontakty z innymi utrudnia jej wielka wrażliwość i uleganie na przemian nastrojom pesymizmu i entuzjazmu. Nie jest łatwo dogodzić jej artystycznej, nieco filozoficznej naturze.

W ciężkich chwilach potrafi być niezastąpioną podporą, a swego partnera traktuje niezwykle poważnie. Stała w uczuciach, nigdy nie chce się godzić na rozbiście małżeństwa... Miękką i uległą, mimo werbalnego podkreślania swej niezależności w miłości.

WIAZ

(15-24 stycznia, 15-25 lipca)

Uroda Wiazu wpada w oko, tym bardziej że łączy się z wytwornością i gustem. Spokojny i opanowany nie cieszy się jednak dobrym zdrowiem. Często choruje, ale niegroźnie.

Lubi kierować ludźmi, trudniej mu słuchać. Ponieważ jest szlachetny i uczynny, otoczenie przyryka czy na pewną jego apodyktyczność. Wzbudza zaufanie i szczególnie w pracy zawodowej cieszy się dużym uznaniem.

Wierny i uczciwy w małżeństwie, bardzo serio traktuje swoje obowiązki rodzinne. Obdarzony poczuciem humoru odznacza się praktyczną inteligencją. Potrafi rozsądnie ułożyć swoje losy...

Życie z Wiazem jest na ogół spokojne, choć nieraz zbyt monotonne...

WIERZBA

(1-10 października, 4-13 marca)

Wierzby są piękne. W Wierzbie-kobiecie uderza naturalny wdzięk. Wierzbomęczyzna cieszy się względami kobiet. Ogromnie wrażliwe w kontaktach z ludźmi i w sferze uczuciowej.

Uzdolnione artystycznie kochają piękno. Marzą o stylowym domu, ładnych strojach, biżuterii itp. Uwielbiają podróżować, a jednocześnie przywiązane są do rodziny i do domu.

Łatwo dają się kierować, ale jednocześnie życie z Wierzbą nie jest łatwe, gdyż — kapryśna, wymagająca, ulega nastrojowi do hysterii włącznie. Często cierpi w miłości, ale bywa także, że znajduje prawdziwą przystań w małżeństwie. W skrytości ducha uważa wtedy, że jest niezrozumiana i niedoceniana. Mimo kapryśnego usposobienia jest rzetelna i ma prawy charakter.

Piątek

PROGRAM I

Dzienniki: 10.50, 16.25, 17.20, 19.30, 21.40, 24.00.

9.40 Dla drugiej zmiany: „Odwieczny zew” — odc. 16 pt. „Opór” — film fab. IV ZSRR. 16.20 Program dnia 16.30 Dla młodych w dzw. Galeria. 16.55 Dla dzieci: Piatek z Pan-kracym 17.30 Związek zawodowy — jaki jest? 18.00 Bez próby: Wieczor w Galerii Inter-press. 19.00 Dobranoc. Chłopiec z plakatu. 19.10 Telekino — mag. filmowy 20.00 Monitor rządowy. 20.30 „Odwieczny zew” — odc. 16 pt. „Opór” — film fab. IV ZSRR. 22.00 Studio sport. Turniej Iwizli w hokeju na lodzie: ZSRR — CSRS. 22.50 Dwadzieścia lat minęło: „Rytm serca” — film fab. TP.

PROGRAM II

17.25 Program dnia. 17.30 Oferty nauki polskiej. 18.00 Spróbuj sam. 18.30 Program lok. 19.00 Obyczaje codzienne: Święta święta. 19.20 Przeboje Dwójki. 19.30 Dziennik. 20.00 Przegląd telewizyjny — rep. 20.30 Jarmark. 20.40 Mag. „Rozrywki”. 21.15 Wydarzenia. 21.30 Galeria świata: Muzeum Rosyjskie w Lenin-gradzie. 22.00 Teatr TV na Świecie: William Szekspir — „Miarka za miarkę” — spektakl BBC. 0.25 Wiadomości.

Sobota

PROGRAM I

Dzienniki: 10.30, 15.00, 19.30.

8.25 Program dnia. 8.30 „Tydzień na dzia-łce”. 9.00 Dla młodych widzów: „Sobótka” — film z serii „Den Kichot z Mancy” (7) — prod. hiszpańskiej. 10.40 Historia dramatu polskiego — Jarosław Abramow — Noweły — „Klik-kłak” — reż. Ryszard Ber. Wyk.: Maria Malicka, Jan Świdwiski, Henryk Borow-ski, Bronisław Pawlik, Jan Prochyma, 11.45 „Na estradzie w zakładzie” — Zielona Gó-za. 12.30 „Hobby” — Przy stole. 13.00 Po-radnik rolniczy — „Telewizyjny klub pro-ducenów zół”. 13.25 „Podróże bez biletu” — „Na ziemiach pradawnej Gondwany” — film dok. ZSRR. 14.30 „Do zwycięstwa” — „Pod Tobruklem” — wojsk. mag. public. 15.10 „W świecie ciszy” — program dla niesłyszących. 16.40 Śladami naszych czasów. 16.20 „Sre-brzysta rewia” — film fab. ZSRR. 17.25 Stuo-dio sport — Polska — Włochy — towarzyski mecz hokeja na lodzie. 18.10 Losowanie Du-żego Lotka. 18.20 „Pegaz”. 19.00 Dobranoc. Bajki Bolka i Lolka. 19.10 „Z kamery sędzi zwiast”. — królowa antytop — Bon-go. 20.00 „Zagraj to jeszcze raz” — komedia prod. USA. Reż. Herbert Ross. Wyk.: Woody Allen, Diane Keaton i in. 21.30 „Na żywo”. 22.00 Wiadomości sportowe. 22.25 35-lecie Es-trady Śląskiej. 23.15 Kino nocne. Długi wee-ken. film australijski. Reż. Colin Eggleston. Wyk.: John Hargreaves, Briony Behets i in.

PROGRAM II

13.00 Wiadomości. 13.10 „5-10-15” — zespół „Dom” przedstawia. 14.40 Reportaże. 16.00 „Wideoeka”. 16.35 Reportaże. 17.35 „Ciało bez tajemnic” (12) — „Wiedza o samym sobie”. 18.30 Program lokalny. 19.00 Reportaże. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.00 „Ze sztuką na ty”. 21.30 „Tydzień w polityce” — komen-tuje Karol Szyndzielorz. 21.40 „Spotkanie po latach” — film produkcji USA. Reż. Russ Mayberry. Wyk.: Kevin Dobson, Joanna Cas-sidy, Linda Hamilton i in. 23.10 Wiadomości. 23.15 „Czas relaksu”.

Niedziela

PROGRAM I

Dzienniki: 10.30, 15.00, 19.30, 22.25.

8.15 Program dnia. 8.20 „Tydzień”. 9.00 Dla młodych widzów: „Telekino” oraz film z se-rii „6 milionów sekund” (17) — „Kuba”. — prod. polskiej. 10.35 „Przygodę roślin” (1) — „Bal ptaków i nietoperzy” — francuski film kł. 11.00 „Estrada folkloru” — Zielona Gó-za. 11.20 „Wesołych świąt” film TP. 12.20 „Sie-dem anten”. 13.20 „Kraj za miastem”. 13.50 Teatr dla dzieci — Halina Górska — „Baśń o Gofrydzie zwycięzcy”. 15.10 Program dnia. 15.15 „Podróż sentymentalna do Sandomie-rza”. 16.50 Teatr telewizyjny — Aleksander Fredro — „Odlutki i poeta” — reż. — Andrzej Łapicki. 16.30 „Polska jesień w Bułgarii” — program publicystyczny. 17.00 „Skarbiec” — magazyn historyczny. 17.40 Studio sport — „O gra ta gra?”. 18.20 „Antena”. 19.00 Wieczoryn-ka „Pszczółka Maja”. 20.00 „Filip z konopi”.

Tydzień w telewizji

od 21 do 28 grudnia 1984 r.

— polska komedia filmowa. Wyk.: Jerzy Boń-czak, Magda Wodłowska, Filip Gebicki, Irena Byrska, Bożena Dykiel, Janusz Kłosiński i in. 21.25 Klub międzynarodowy. 21.55 Sportowa niedziela. 22.30 „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej”.

PROGRAM II

10.00 „Filip z konopi” — polska komedia filmowa (dla niesłyszących). 11.20 „Do zwy-cieństwa” — „Serce pod mundurem” — woj-skowy magazyn publicystyczny. 11.50 Wiado-mości. 12.00 „Kwartas z hejnałem”. 12.15 „Aerobic”. 12.30 „Stu na jednego” — turniej sportowy. 13.05 Niedziela w Zawół — program publicystyczny. 13.50 Kalendarz filmowy — „Kino-Oko”. 14.40 Cały ten polski rock (1). 15.20 Wielka gra — teleturniej. 16.20 Gość „Dwójki”. 16.35 „Wspaniały świat Disney’a”. — „Tajemnica starej kopali” — film fab. USA. 17.20 „Jutro poniedziałek” — magazyn co-dziennych spraw rodzinnych. 17.50 „Shackie-ton” (4) — „Przykład Horn czy Poludniowa Georgia”. — film ang. 18.55 „Grabież kultu-ry” — „Falszerzy, które nie chciały być fal-szerzami”. 20.00 Sport w „Dwójce”. Mecz hokeja na lodzie ZSRR — Europa. 21.00 Spirituality Singers Band i jego goście (2). 21.30 Wiado-mości. 21.55 Wielkie filmy małego ekranu: „Elżbieta królowa Anglii” (2) — film ang.

Poniedziałek

PROGRAM I

Dzienniki: 17.20, 19.30.

8.55 Program dnia. 9.00 Dla dzieci: „Dziki konik Ryan” — czech. film fab. 16.25 Program dnia. 16.30 „Encyklopedia TDC” — „Golem XX wieku”. (3). 16.55 „Ogrody zoologiczne świata” — Barcelona — film dok. RFN. 17.35 Teatr telewizyjny — Aleksander Fredro. „Dwie bliźny” — reż. Andrzej Łapicki. Wyk.: Irena Kwiatkowska, Joanna Nowicka, Grażyna Barszczewska, Jerzy Krzyszak, Janusz Gajos i in. 19.00 Wieczorynka wigilijna. 20.00 „Opo-wieść o dwóch miastach” — film fab. ang. — reż. — Jim Goddard. Wyk. Chris Sarandon, Peter Cushing i in. 22.40 „Muzyczne prezenty pod choinkę” — program z udziałem Polskiej Orkiestry Kameralnej pod dyr. Jerzego Mak-symliuka. 23.15 „Gdynia — Radio”. 23.30 „I stała się nowina” — widowisko poetycko-muzyczne. Wyk.: Halina Rowicka, Piotr Macha-lita, Michał Bajor, Spirituals and Gospels Singers.

PROGRAM II

14.00 Program dnia. 14.15 „Rycerze i rabu-sie” (1) — „W walce z Infamismem” — serial TP wg powieści Józefa Hena „Staroście Wol-ski”. Wyk.: Tomasz Steckinger, Gustaw Lut-kiewicz, Janusz Zerbst, Bożena Adamkówna, Ryszard Dembiński, Stanisław Niwiński, Piotr Skarga i in. 15.00 Teatr dla dzieci: Elżbieta Russold — „Największy krasnal świata”. 16.00 „Zwierzęta mówią” (1). 16.10 „Chodźmy po dolinie” — reportaż. 16.50 „Zwierzęta mówią” (2). 17.00 „Robotnicze koledy”. 17.20 „Zwie-rzęta mówią” (3). 17.30 „Dziadek i... wnucz-ki” — reportaż. 17.45 „Zwierzęta mówią” (4). 17.55 „Czas się dzielić opłatkiem” — widow-sko poetyckie. 18.30 Program lokalny. 19.00 „Zwierzęta mówią” (5). 19.10 „Między” — reportaż. 19.30 Dziennik. 20.00 „GOPR-owska Wigilia” — reportaż. 20.20 „Piosenki pod choi-nkę” — wyk.: grupa „Ad Libitum”. Z. Wo-decki, L. Diugosz, „Pod Budą”. 20.40 „Mój Kraków” — poetycki spacer po Krakowie z Jerzym Harasymowiczem. 21.00 „Spotkanie z Balladą”. — „Ostra zima”. 22.10 „Starszy pan i młodszy” — wyk. Mirosław Fogać, Irena Ro-gowska i balet. 22.50 „Skłamałam” — melo-dramat produkcji polskiej.

Wtorek

PROGRAM I

Dzienniki: 15.00, 19.30. 8.55 Program dnia. 9.00 Dla dzieci: „O czym zumią wierzby” — film fab. ang. 10.20 „Ło-

wickie spotkania” — reportaż o zwyczajach świątecznych. 10.45 W starym kinie „Cesarzski star” — film CSRS. 12.30 „Panda” — super-chin. film przyrodniczy. 12.50 Tele-wizyjny koncert zyczeń. 13.45 Teatr młode-go widza „Królowa śniegu”. 15.10 „Przy ro-dzinny stole” (1). 15.40 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 15.50 „Spacer po War-szawie pana Bolesława Prusa” — film dok. 16.20 Teatr telewizyjny — Aleksander Fredro — „Nocleg w Apenninach” — reż. Ewa Bonecka. Wyk.: Andrzej Stockinger, Jolanta Żykin, Emil Karewicz, Irena Kuśmierska. 17.20 „Kró-low na co dzień” — Anna Dymna. 17.30 „Z Polska w sercu”. 18.10 „Złote płyty PRONIT-u” — wyk. Krystyna Prońko, Bajm, Maanam, Natalia Kukulska. 18.50 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 19.00 Wieczorynka świąteczna. 20.00 „Papierowy księżyc” — film fab. USA. reż. — Peter Bogdanowicz. Wyk.: Ryan O'Neal, Tatum O'Neal i in. 21.40 „Jak-że dzisiaj śpiewny świat” — pr. rozr. 22.10 „Królowa na co dzień” — Anna Dymna. 22.25 „Sportowe pozegnania”. 22.55 „Królowa na co dzień” — Tino Rossi — francuski program rozrywkowy. Wyk.: George Brasseur, Laurent Rossi, Tino Rossi, Mireille Mathieu. 23.55 Ki-no nocne „Flic star” — film fab. francusko-włoski. reż. — Jacques Deray. Wyk.: Alain Delon, Jean-Louis Trintignant, Renato Salva-tore.

PROGRAM II

12.00 Święta w „Dwójce” — pr. dnia. 12.10 „Podróż na tamie filmowej” — pr. dla dzieci. 12.50 „Głędła marzeń — wiersze i pio-senki”. 13.20 „Szczereza” — film fab. franc. reż. — Pierre Huli. Wyk.: Anna Karina, Ge-rard Barry, Antonio Vilar i in. 15.00-19.30 — Bogusław Kaczyński zaprasza. 15.05 Świąteczny gość — Joanna Rawik. 15.20 „Świąteczny konc. koled.”. 16.10 Świątecz-ny gość — Nina Andrycz. 16.20 Gra I. Pade-rewski — II rapsodia Franciszka Liszta. 16.30 Świąteczni goście — Mira Ziminska i Zespół Pieśni i Tańca Mazowsze. 17.00 Spiewa Jan Klepura. 17.10 Świąteczni goście laureaci konkursu im. Jana Kiepury — Krynica 84. 17.30 „Rose Marie” — musical filmowy pro-dukcji USA. 19.00 Świąteczni goście — Grażyna Brodzinska i Jerzy Jeszke. 19.15 „Maria Callas jakiej nie znamy”. 19.30 Dziennik. 20.30 „Wokół estrady” — zespół „Vox”. 20.35 „Roz-mowy przy świątecznym stole” — prof. Ja-nusz Pawełski. 20.45 „Spiewnik domowy”. 21.15 „Władysław Markiewicz. 21.25 „Muzyka małego ekranu”. 22.10 „Kto nie maszeruje, ten ginie” (1) — film fab. ang. w rolach głównych: C. Deneuve, Max Von Sydow, G. Hackman i in.

Środa

PROGRAM I

Dzienniki: 15.00, 19.30.

8.55 Program dnia. 9.00 Dla dzieci: „Rodzi-na Leśniewskich” — polski film fab. reż. — Janusz Łęski. Wyk.: Krystyna Sienkiewicz, Krzysztof Kowalewski, Agata Młynarska, Ma-ciej Stojny i in. 10.30 „Krajobraz polski” — „Daleko i jeszcze dalej”. 10.50 „Różowa Pan-tera” — angielska komedia sensac. reż. — Edward Blake. Wyk.: Peter Sellers, David Niven, Claudia Cardinale i in. 12.45 „Przy ro-dzinny stole”. 13.10 „Tam, gdzie rośnie wanilia” (2) — „Boże Narodzenie w Meksy-ku”. 13.55 Teatr dla dzieci: Pan Twardow-ski. 15.15 „Szkoła pod żaglami” — film dok. 16.00 Teatr telewizyjny — Aleksander Fredro — „Wielki człowiek do małych interesów”. reż. — Krystyna Neisser. Wyk.: Joanna Żółkow-ska, Ewa Dalkowska, Bronisław Pawlik, Zdzisław Mrożewski i in. 17.10 „Muzyczne pre-zenty pod choinkę” (2) — program z udziałem Polskiej Orkiestry Kameralnej pod dyr. Jerzego Maksymliuka. 17.45 „Pamięci ojców twoich” — reportaż. 18.15 „Od kadryla do kung-fu” — angielski program rozrywkowy. 18.50 Losowanie Małego Lotka i Express Lot-

ka. 19.00 Wieczorynka świąteczna. 20.00 „Gdy-by Don Juan był kobietą” — francuski film fabularny. reż. — Roger Vadim. Wyk.: Bri-gitte Bardot, Jane Birkin, Maurice Bonet i in. 21.30 „Jana-Sowa „Rodzenie” — film mu-zyczny-poetycki. 21.55 „Sportowe rekordy ro-ku”. 22.25 „Gwiazdy 84” (1).

PROGRAM II

11.00 Program dnia. 11.10 „Zima pędziem ma-lowana” — etiuda filmowa. 11.20 Sport dla dzieci. „Gwiazdy i gwiazdeczki”. 12.35 Ka-lejdoskop filmowy „Kino — Oko”. — „Czo-wiek, który nie chciał umrzeć”. „Odkrycie Troi”. 13.35 „Sport i muzyka”. 14.30 „Dzieci białe Zanny” — film — przygodowy włoski. 16.00 Piłkarskie wariacje czyli świąteczny „Te-le-gol”. 17.00 Liga orzełków sportowych”. 17.30 Za kulisami — Madame Sans Gene — Program rozrywkowy. 18.15 „Powrót Laudy — czyli talentowe formuły I”. 19.00 Wywia-dy Ireny Dziedzi. 19.30 Dziennik. 20.00 „Szo-lon muzyczny”. — wyk.: Halina Kunicka, ze-spół warszawskiej Opery Narodowej, Anna Maria Stańczyk, Andrzej Holski, Ernest Bryll, Wiesław Ochman. 21.00 „Ze sztuka na ty”. 21.45 „Kto nie maszeruje, ten ginie” (2) — film fabularny ang.

Czwartek

PROGRAM I

Dzienniki: 10.20, 17.20, 21.50, 22.55.

9.00 Kino telefilm „Fortele Jonatana Koota” — film rysunkowy produkcji polskiej. 10.30 Film dla II zmiany — Bergera. 10.50 „Zim-owa panna”. 16.20 Program dnia 16.25 Wiado-mości. 16.30 „O mnie, o tobie o nas” — tur-niej szkół — oraz film RFN-CSRS „Luzie, ostrach ulicy”. (2). 17.30 „Interstudio”. 17.55 „Rzemieślnicy”. 18.05 „Zołnierskie uniwersy-tety” — wojskowy film dok. 18.30 „Sonda”. — „Video 84”. 19.00 Dobranoc: Miś Uszak”. 19.10 Konto „M”. 19.30 Dziennik. 20.00 Publi-cystyka. 20.30 Bergera — „Brylantowa pan-na” — film fab. ang. 22.15 „Świat z bliska” — „Rozwastwienie świata”.

PROGRAM II

17.55 Program dnia. 18.00 „Krajobraz kul-tury”. 18.30 Program lokalny. 19.00 Teletur-niej morski. 19.20 Przeboje „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Gorąca linia”. 20.15 Teatr muzyczny na świecie — Johann Strauss — „Zemsta nietoperza” (1). Wyk.: solista, chór i orkiestra londyńskiej Covent Garden. 21.15 Wydarzenia. 21.30 „Punkt widzenia”. 22.00 Ki-no młodych: „Zamiana” — polski film fa-bularny. reż. — Rafał Kalinowski. Wyk.: Ed-ward Lubaszko, Zofia Niwińska, Mirosław Marcheluk, Ewa Milde i in. 23.20 Wiadomości.

Piątek

PROGRAM I

Dzienniki: 16.25, 17.20, 19.30, 21.35, 23.25.

9.00 Telefilm: „Błękity kobierce” — film CSRS. 9.45 Film dla II zmiany „Odwieczny zew” (17) — „Ból i gniew” — serial ZSRR. 16.20 Program dnia. 16.30 Dla dzieci: „Majster Klepka”. 16.55 Dla dzieci „Piatek z Pankra-cym”. 17.30 „Tele-gol”. 18.00 „Bez próby” — Spotkanie z zespołem „Kombi”. 19.00 Do-branoc: Chłopiec z plakatu. 19.10 „Nie tyl-ko dla wędzarczy”. 20.00 „Monitor rządowy”. 20.30 „Odwieczny zew” (18) — Ból i gniew” — serial ZSRR. 22.05 „Sprawa dla reportera”. 22.45 „Dwadzieścia lat minęło”. — „W do-mu” — film fab. TP. reż. — Andrzej Barań-ski. Wyk.: Hanna Bedryńska, Zygmunt Zin-tel i in.

PROGRAM II

17.25 Program dnia. 17.30 „Śledztwo w spra-wie nauki”. — „Teleskop starożytności”. 18.00 „To trzeba wymyślić”. 18.30 Program lokalny. 19.00 „Pobocza sportu”. — „Na ostrzu ty-zy”. 19.20 Przeboje „Dwójki”. 19.30 Dziennik. 20.00 „Z dymkiem cygara” — w Opolu na ry-neczku. 20.15 „Madre głowie”. — „Przysła-baba do lekarza”. 20.45 „Było nie minęło”. — magazyn filmów dok. 21.25 Wydarzenia. 21.30 Galeria świata: Muzeum Rosyjskie w Le-ningradzie”. — „Na przelocie wieków”. 21.55 Wieczór w teatrze z Andrzejem Żurowskim. Pierre Marivaux — „Igraszki trufu i miłości” — reż. — Anna Polony. Wyk.: Ewa Lejczak-ówna, Włodzimierz Chrenkoff, Krzysztof Wojciechowski i in. 23.25 „Rozmowy intym-ne” — klimakterium (2). 23.55 Wiadomości.

bazar

Ogłoszenia drobne

MOTORYZACYJNE

SPRZEDAM (tanio) syrenę R-20, do małego remontu. Wiadomość: Legnica, tel. 224-27. 20017-g

LOKALE

SPRZEDAM pawilon handlowy wraz z towa-rem i wyposażeniem (nadający się na inną działalność). Wiadomość: Legnica, tel. 289-93, po 18. 20015-g

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM tanio samodzielne gospodarstwo 20 ha, w dogodnym położeniu, Zbigniew War-miński, Nowe Jarosławice 3, 59-700, Bolesła-wiec. 20004-g

UNIEWAŻNIA SIĘ

pieczętą o treści:

GS Lubin,
Sklep z art. do produkcji rolnej
nr 26
w Lubinie.

1364-k

SPRZEDAM działkę budowlaną o powierzeh-ni 26 arów z rozpoczętą budową oraz nad-wolnie nysy. Wiadomość: Motyczyn 24, k. Pro-chowice. 20019-g

SPRZEDAŻ

SPRZEDAM video, typ VHS oraz nowy tele-wizor kolor, zdalnie sterowany, marki Mitsubishi. Oferta: Jawor, skr. poczt. 33. 20002-g

SPRZEDAM magiel elektryczny nowy, typ MG 35 E/A. Wiadomość: Lubin, Sportowa 58/3. 20020-g

SPRZEDAM pilnie dacie, rok 1981, przebieg 80 tys. km. Wiadomość: Legnica, „Bielanska 17/1. 20021-g

ZGUBY

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B, wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Jerzy Skrzętkiewicz, zam. Złotoryja, ul. Górnicza 26/1. 20007-g

ZGUBIONO przepustkę zakładową nr 2028, wydaną przez Zakłady Mechaniczne „Leg-net” w Legnicy oraz prawo jazdy kat. C, nr 664881, wydane przez Wydział Komunikacji w Legnicy na nazwisko Janusz Byczkowski, zam. Legnica, Engelsa 18/1. 20009-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. AB, wydane przez Urząd Miejski w Złotoryi na nazwisko Edward Borecki, zam. Złotoryja, Cmentarna 3. 20012-g

Koleżance BOŻENIE DEMBIŃSKIEJ

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

O J C A — MIECZYSLAWA GRZELCZAKA

składają:

1365-k

koleżanki i koledzy z WIMBP.

Wyrazy współczucia z powodu śmierci

O J C A

towarzyszowi ADAMOWI KAROLAKOWI

I sekretarzowi KM PZPR w Lubinie

składają:

Komitet PZPR w Lubinie, Prezydium Rady Miejskiej PRON w Lubinie, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lubinie, prezydent miasta Lubina.

1366-k

-SPRÓBUJ TY POKROIĆ, MNIE RĘKA DRŻY.